tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 5 (1256)
29.01-4.02.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. ANDRZEJ LEDER JEDNOŚĆ TO UŁUDA

PROF. PIOTR KIMLA CZY CZESI MAJĄ KOMPLEKS POLAKÓW

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI, CZYLI KOLESIOSTWO

PLAGA KRADZIEŻY W SKLEPACH

Rozmowa z Jackiem Braciakiem

PAŃSZCZYZNA JAK NIEWOLNICTWO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
05 >
9 771509 311409

TEATR rampa NA TARGÓWKU × POŻAR W BURDELU

Casanova

WARSZAWSKIE ZAUROCZENIE

PREMIERA 10 LUTEGO 2024 R.

SCENARIUSZ **MACIEJ ŁUBIEŃSKI, MICHAŁ WALCZAK**

REŻYSERIA **MICHAŁ WALCZAK** MUZYKA **WIKTOR STOKOWSKI**

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

TEATR RAMPA NA TARGÓWKU, ul. Kołowa 20, Warszawa, BIURO OBSŁUGI WIDZÓW tel.: +48 22 679 89 76, +48 573 801 004,
SPRZEDAŻ BILETÓW ONLINE: bilety.teatr-rampa.pl oraz www.ebilet.pl, www.kicket.com, teatr-rampa.pl

eprasa.pl ada987d974

Paweł Dybicz

IPN znów hojnie obdarowany

Instytut Pamięci Narodowej ma już 25 lat. Mało kto pamięta jego początki. A także fakt, że ustawy o IPN z grudnia 1998 r. nie tworzyli jedynie politycy. To dzieło trzech profesorów: prawników Witolda Kuleszy i Andrzeja Rzeplińskiego (tak, tak, tego Rzeplińskiego) oraz historyka Andrzeja Paczkowskiego. Nie będę przypominał wad, jakimi ta ustawa jest obarczona – choćby połączenia funkcji historyka z prokuratorem – ale jedno musi zdumiewać: jak późniejszy sędzia i prezes Trybunału Konstytucyjnego mógł współtworzyć prawo, które de facto sankcjonuje odpowiedzialność zbiorową?

Instytut od początku narzucał jeden obraz przeszłości: PRL – czarna dziura, PZPR – pachołki Moskwy, a SB – bandyci. A gdzie bohaterowie? Wiadomo. Chociaż w przypadku np. Solidarności to już nie wszyscy. Jedynie ci, którzy są z nami, czyli z prawicą.

Naszym czytelnikom nie trzeba przypominać, czym się stało to dziecko trójki profesorów. Dziś jest instytucją, w której miłośnicy nazizmu mogą zajmować wysokie stanowiska, a historię traktuje się jako maczugę do okładania myślących inaczej niż wyznawcy polityki historycznej IPN.

Przypominanie największych błędów i wpadek instytutu zajęłoby zbyt wiele miejsca. A ciągle pojawiają się nowe. IPN zamówił u dr. Wojciecha Marciniaka z Uniwersytetu Łódzkiego tekst. Zapłacił, ale nie chce go drukować, bo jego wymowa nie odpowiada przekonaniom kierownictwa. W ich obrazie świata Związek Patriotów Polskich nie mógł dobrze się przysłużyć edukacji Polaków wywiezionych na Syberię. W IPN istnieje tylko jedna narracja, radykalnie prawicowo-nacjonalistyczna. I dlatego IPN powinien zostać zlikwidowany.

Osobny problem to finansowanie tej instytucji. W ostatnich latach jej budżet rósł w niebywałym tempie. W 2015 r. wynosił 249 mln zł, w 2019 już 342 mln, by w 2023 osiągnąć 540 mln. W projekcie budżetu na ten rok IPN miał otrzymać 648 mln zł. Tyle sobie zażyczył prezes Karol Nawrocki. Nie jest tajemnicą, że dodatkowe pieniądze miały ułatwić zatrudnienie ludzi, którzy stracą posady za nowych rządów. Posłowie koalicji rządzącej zmniejszyli ten budżet o ok. 70 mln, mimo to IPN w porównaniu z poprzednim rokiem będzie miał ok. 40 mln więcej. Słowem, żyć nie umierać.

Wielokrotnie słyszałem postulaty likwidacji IPN. Deklaracje padały również ze strony liderów Lewicy i polityków PO. Mogę zrozumieć, że w tak krótkim czasie nie dało się tego dokonać, bo prezydent Duda będzie się kładł Rejtanem. Ale jak uzasadnić dosypywanie pieniędzy właśnie IPN? Przy tak ogromnych lukach w nakładach na naukę i oświatę? Mam nadzieję, że kiedy nowa władza okrzepnie, da w końcu jasny sygnał, jak chce się uporać z tą w gruncie rzeczy antynarodową instytucją, dla której historia nie oznacza prawdy.

BĄKOWSKI

KUP
E-PRENUMERATĘ
PRZEGLĄDU
Co SOBOTA
nowe e-wydanie
Szybciej i taniej
niż w wersji papierowej

Pamiętaj
o bliskich
i kliknij opcję
KUP NA PREZENT
sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

W NUMERZE

KRAJ

8 **Układ zamknięty Kaczyńskiego**
Brudne zagrywki Kani, Janeczka i Rocha

12 **Im się to po prostu należało**
Fundusz Sprawiedliwości, czyli kolesiostwo

15 **Czas złodziei**
Plaga kradzieży w sklepach

40 **Nowoczesne społeczeństwo podzielone**
– rozmowa z prof. Andrzejem Lederem

KULTURA

17 **Dzieje naszych chłopskich przodków są przemilczane albo wyparte**
– rozmowa z Pawłem Maśloną

20 **Stulecia pogardy dla chłopów nadal pokutują**
– rozmowa z Jackiem Braciakiem

58 **Kowary – miasto dywanów i gobelinów**
Przystań artystów

61 **Qulturalia**

66 **Uczta**

ZAGRANICA

24 **Trujący bluszcz**
Kłopoty uczelni w USA

28 **Płacz przy Wrotach Łez**
Ataki Huti na statki

OPINIE

32 **Piotr Kimla**
Czy Czesi mają kompleks Polaków

35 **Jakub Dymek**
Błazen w Davos

37 **Marcin Giełzak**
Ulica i zagranica nie pomogą PiS

PSYCHOLOGIA

44 **Ratujmy nasze dzieci**
Kryzys samobójstw

46 **Chcą być silni i niezależni**
– rozmowa z Teo Łagowsk_ i Bartłomiejem Rydzewskim

ZDROWIE

50 **Kiedy sommelierka traci smak**
W poszukiwaniu diagnozy

ZWIERZĘTA

54 **Skowronek dalekiej północy**
Gdzie można spotkać górniczka?

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Paweł Dybicz**
IPN znów hojnie obdarowany

11 **Jan Widacki**
Bilobil dla polityków

27 **Andrzej Szahaj**
Naprawić polską pracę

31 **Roman Kurkiewicz**
Seryjny ułaskawiacz, czyli wojna masła z margaryną

49 **Tomasz Jastrun**
Bańka pękła

53 **Wojciech Kuczok**
Niepisany los

57 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Płytko wstrzyknięta pogarda

17
KULTURA

DZIEJE NASZYCH CHŁOPSKICH PRZODKÓW SĄ PRZEMILCZANE ALBO WYPARTE
– rozmowa z Pawłem Maśloną

50
ZDROWIE

KIEDY SOMMELIERKA TRACI SMAK
W poszukiwaniu diagnozy

54
ZWIERZĘTA

SKOWRONEK DALEKIEJ PÓŁNOCY
Gdzie można spotkać górniczka?

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ŁUKASZ BĄK/TVP

eprasa.pl ada987d974

Buntownicy Ziobry

Jarosławowi Kaczyńskiemu koszmar 15 października musi się śnić każdej nocy. Mieli wszystkie atuty, a tu suweren dał popis i władza przeszła w inne ręce. Dzisiaj mamy początek nowych rządów, ale ile już wiemy! Każdego dnia będziemy się dowiadywać coraz więcej, a prokuratura nie jest wyjątkiem, bo w innych instytucjach państwa zapewne było tak samo. Liczyli się tylko nasi, a ci nasi, wiadomo, musieli solidnie zarabiać. Zawsze funkcjonuje się od wyborów do wyborów.

Andrzej Kościański

•

Prezydent Duda ułaskawił przestępców i skrytykował Adama Bodnara za to, że nie zwolnił z więzień Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika od razu po wszczęciu procedury ułaskawieniowej.

Był kiedyś czarny wtorek. To dzień największego załamania na giełdzie nowojorskiej – 29 października 1929 r. Teraz w Polsce mieliśmy czarny wtorek praworządności. Prezydent dokonał ostatecznego gwałtu na konstytucji, napluł w twarz Polakom!

Zdaniem prezydenta w celu umocnienia niekontrolowanej władzy PiS można gnoić obywatela bez prawa do obrony. W latach 2007-2009 funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego podsłuchiwali prywatne rozmowy telefoniczne Jolanty Kwaśniewskiej. O ten sam mechanizm prokuratura oskarżyła, a sąd pierwszej instancji skazał Kamińskiego i Wąsika w sprawie afery gruntowej, ale prezydent Duda w sposób skandaliczny ułaskawił ich przed prawomocnym orzeczeniem sądu. Sąd Najwyższy uchylił decyzję i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia w sądzie okręgowym (sygnatura akt: II KK 96/23): „Nieskuteczność zastosowania prawa łaski przed datą prawomocności wyroku dotyczy wszystkich jego aspektów procesowych". Zdaniem sądu „oskarżeni byli urzędnikami szczebla centralnego, zaś ich działalność w istotny sposób ingerowała w prawa i wolności konstytucyjne jednostek".

Podsłuchiwanie, fałszowanie dokumentacji, korupcja polityczna oraz przekraczanie uprawnień stały się w Polsce sposobem sprawowania władzy, a PiS próbowało za pomocą służb specjalnych zawłaszczyć resztki naszej wolności!

Arkadiusz Janowski

Mróz i morze ruin

W nr. 4 PRZEGLĄDU zamieszczono zdjęcia z pierwszych dni po wyzwoleniu Warszawy spod okupacji niemieckiej w 1945 r. Stolica była wyludniona i tylko nieliczni mieszkańcy, tzw. robinsonowie, ukrywali się w ruinach. Na tym pustkowiu odbyła się defilada Wojska Polskiego, kościuszkowców. Byłem tam, mając niespełna 15 lat. W marcu 1945 r. jako pracownik warszawskiej dyrekcji PKP delegowany zostałem do pracy w Prusach Wschodnich (Allenstein i Osterode), ale dopiero w sierpniu te tereny przydzielone zostały Polsce przez ZSRR, USA i Anglię. Szanowni badacze historii, idźcie tymi śladami i nie fałszujcie faktów.

Feliks Walichnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Cel 32. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy to zakup sprzętu do diagnozy, rehabilitacji i monitorowania płuc na szpitalnych oddziałach dla dzieci i dorosłych. Po ośmiu latach wojsko, policja i inne służby mundurowe znów grają z WOŚP.

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

Himalaje bezczelności zademonstrował były wiceminister aktywów państwowych **Artur Soboń** zeznający przed komisją śledczą ds. wyborów kopertowych. Ponad **145 razy** wygłosił formułę: „Wszystko, co miałem do powiedzenia, zawarłem w swobodnej części wypowiedzi”.

•

Jacek Sasin, były wicepremier w rządzie PiS, w czasie zeznań przed komisją ds. wyborów kopertowych poinformował, że **decyzję o ich przeprowadzeniu podjął premier Morawiecki**. Nie zdejmuje to z Sasina odpowiedzialności karnej za wydatkowanie publicznych pieniędzy.

•

Na koniec lipca 2023 r. legalnie pracowało w Polsce **996,5 tys. cudzoziemców**, co stanowi 6,5% ogólnej liczby pracujących. Największą grupą są obywatele Ukrainy – 690,8 tys.

•

W instrukcji Watykanu warunkiem funkcjonowania seminariów duchownych jest **minimum 30 kleryków na uczelni**. Na skutek spadku powołań zamknięto już seminaria w Gnieźnie, Legnicy, Kaliszu, Wronkach, Bydgoszczy i Łowiczu. W kolejce są następne, które nie mają 30 kleryków.

•

Cezary Tomczyk, wiceminister obrony narodowej, poinformował, że **za ochronę Antoniego Macierewicza w latach 2018-2023 budżet państwa zapłacił 1 mln zł**.

•

Jan Edmund Kowalski nie jest już prezesem zarządu spółki Pałac Saski. Został odwołany przez ministra Sienkiewicza wraz z zastępcami, Robertem Cicirką i Robertem Berniszem. Idea odbudowy tego architektonicznego badziewia jednak nie umarła. Każda władza ma ludzi do wykarmienia. I każda chce sobie coś postawić. Nawet jeśli to bez sensu.

•

Jerzy Ziarkiewicz, szef Prokuratury Regionalnej w Lublinie, pod pretekstem nadzoru **przetrzymywał w garażu dokumenty ze śledztw**, w których przewijają się politycy PiS („Gazeta Wyborcza”).

•

Według raportu Barometr AAA Auto w 2023 r. na rynku wtórnym w Polsce oferowano na sprzedaż **ponad 2 mln aut**.

•

11,1 mld zł wart był w 2022 r. rynek reklamowy w Polsce. Największe środki trafiły do internetu (4,87 mld zł), telewizji (prawie 4,5 mld zł) i radia (788 mln zł) – dane KRRiT.

•

Rozbudowana Huta Stalowa Wola ma w ciągu dwóch lat podwoić produkcję. HSW specjalizuje się m.in. w produkcji ciężkiej artylerii, haubic Krab i moździerzy Rak.

•

Najbardziej suchym miastem w Polsce był w 2022 r. Poznań, w którym spadło 415 mm wody na 1 m kw. Kolejne miejsca zajęły Kalisz i Zielona Góra (GUS).

•

Najlepiej zarabiającymi polskimi piłkarzami są: **Szwed Mikael Ishak z Lecha Poznań** (4,180 mln zł), **Artur Jędrzejczyk z Legii Warszawa** (2,370 mln zł) i **Bartosz Salamon z Lecha Poznań** (1,811 mln zł).

PRZEBŁYSKI

Baran, czyli wolny chłopak

„Pozostałem niesfornym chłopakiem”. Któż tak tęskni za młodością? Nie zgadniecie. Ujawniamy więc tego sentymentalnego chłopaka. To Adam Glapiński, prezes NBP, laureat nagrody Człowiek Wolności tygodnika „Sieci”.

Doceniamy poczucie humoru braci Karnowskich, którym Glapiński kojarzy się z wolnością. Bardziej jednak nas wzrusza bezinteresowne wspieranie przez nich PiS w TVP. No bo co to jest skromne 500 zł za komentarz.

Adam Glapiński tak się rozkleił, słuchając laudacji w czasie gali „Sieci”, że wspomniał, jak go nazywali na podwórku: „Mówili o mnie »baran«, bo gdy ktoś mnie prowokuje, to idę głową na śmierć i życie”.

Zaradna rodzina

Co i rusz głosili, że jako obóz propolski kochają naszą ojczyznę miłością tak wielką, że nie ma większej. Z Onetu wiemy, że ta miłość bardzo drogo Polaków kosztowała.

W owym obozie propolskim wielu było takich, którzy łączyli oracje patriotyczne z budowaniem więzi rodzinnych. Oczywiście na fundamencie kasy. Jacek Kurski w trakcie prezesowania TVP zarobił 4,5 mln zł. Jego małżonka, po pierwszym mężu Klimek, za 13 miesięcy pracy w TVP dostała 1,5 mln zł. A jej były mąż, Tomasz Klimek, w latach 2016-2023 zarobił ponad 6 mln zł. Wychodzi więc na to, że z nadwyżką zrealizowali program RODZINA NA SWOIM.

Zdzikot, czyli kto?

Jaki interes mają Polacy w tym, by spółka KGHM ogłaszała się w „Gazecie Polskiej” (17 stycznia)? Z reklamy wykupionej za dużą kwotę dowiadujemy się takich sensacji jak to, że przyszłość jest z miedzi. Oraz że KGHM od ponad 60 lat wydobywa i przetwarza cenne zasoby ziemi. I tak na całej stronie. Przestajemy się dziwić, gdy widzimy, że za tą reklamą stoi Tomasz Zdzikot, jeszcze prezes KGHM. Szczególna postać w ekipie dojnej zmiany. Najbardziej dał się poznać pracownikom Poczty Polskiej, w której zarabiał jako prezes w latach 2020-2022. Listonosze dostawali nędzne pensyjki, a Zdzikot cztery razy tyle co minister. Zostawił Pocztę w tragicznym stanie. Ale jako wierny syn partii trafił na jeszcze lepiej płatną posadę prezesa KGHM. Odwdzięczał się zatrudnianiem kogo trzeba. I… reklamami tam, gdzie trzeba.

Skromna, choć marmurowa

Proboszcza parafii pod wezwaniem św. Marcina w Łebczu (powiat pucki) trudno będzie przebić. No bo kto godniej uczcił wizytę premiera Morawieckiego? Marmurowa tablica szczegółowo oddaje wagę wydarzenia z 16 sierpnia 2020 r. Mamy nadzieję, że ta inwestycja jakoś parafii się zwróciła. Bo teraz o dopływ państwowej kasy nie będzie łatwo.

FOT. ARCHIWUM, MATERIAŁY PRASOWE, YOUTUBE (2)

eprasa.pl ada987d974

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy brak prac domowych obniży poziom wiedzy uczniów?

ANNA SZULC,
nauczycielka, organizatorka konferencji „Empatyczna edukacja"

Po pierwsze, praca domowa jest narzędziem przenoszenia szkoły z miejsca nieefektywnej nauki do domu. Po drugie, pracy domowej oczekują rodzice, którzy są przekonani, że bez nauki w domu dzieci będą się zajmować tym, czym nie powinny. Innym problemem jest fakt, że stawianie stopni za zadania domowe generuje nieetyczne zachowania, takie jak odpisywanie czy wyręczanie się Chatem GPT. Jednak największym problemem jest panująca obecnie „testoza", czyli bezsensowne zaliczanie wyuczonej, właśnie w domu, wiedzy i stawianie za to stopni. O poziomie ucznia decyduje jego rozwój w procesie, który podlega ocenie, ale nie stopniem, lecz informacją dla ucznia, co jest dobrze, a co należy poprawić. Ucząc się efektywnie, uczeń dostaje możliwość wyboru poziomu wiedzy, jaki chce osiągnąć. Powinien dostać możliwość wykonywania zadań, ale wybór należy do niego. Dokona go chętnie, jeśli ta decyzja będzie suwerenna, a poświęcony czas przyniesie wymierne efekty i nie będzie obarczony krytyką ani złym stopniem.

ŁUKASZ KORZENIOWSKI,
Stowarzyszenie Umarłych Statutów

Myślenie, że brak prac domowych cokolwiek obniży, jest kompletnie błędne i pokazuje, że osoby, które wypowiadają się w ten sposób, nie do końca wiedzą, jak to wygląda w praktyce. W wielu przypadkach prace są zadawane bezrefleksyjnie i polegają na przepisywaniu treści podręcznika do zeszytu ucznia. Uczniowie zaś są przepracowani. Czas, który poświęcają na zajęcia w szkole, zsumowany z dojazdami, a później zadaniami domowymi i przygotowaniem się do sprawdzianów, sprawia, że ich nauka jest przez ten natłok zajęć mniej efektywna. Uważam, że odciążenie uczniów brakiem prac domowych sprawi, że będą bardziej wypoczęci, co wpłynie pozytywnie na przyswajanie materiału. Głosy strachu przed obniżeniem poziomu są trochę na wyrost.

MACIEJ SOKÓŁ,
rodzic, aktywista Wolnej Szkoły

Należy zadać sobie pytanie, jaką wiedzę przyswajają dzisiaj uczniowie. W polskiej szkole nacisk kładzie się na uczenie pamięciowe i bezrefleksyjne odtwarzanie tej wiedzy przy tablicy. Brakuje przedmiotów praktycznych i przygotowujących uczniów do życia we współczesnym świecie. Obecna podstawa programowa jest przeładowana informacjami, a uczniowie są przemęczeni. Nie uważam, żeby brak prac domowych był jakąś wielką szkodą dla uczniów. Zapowiadane są zmiany w programie nauczania. Jeśli zostaną przeprowadzone sensownie, z naciskiem na uczenie różnych kompetencji i rozwijanie samej zdolności uczenia się, to uczniowie wyjdą na tym lepiej niż na robieniu zadań domowych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl ada987d974

UKŁAD ZAMKNIĘTY KACZYŃSKIEGO

Jak prokurator Tomasz Janeczek, pisowska dziennikarka Dorota Kania i obecny sędzia Sądu Najwyższego Adam Roch rozbijali mityczny układ III RP

Andrzej Sikorski

Tomasz Janeczek jest zaufanym człowiekiem Zbigniewa Ziobry, członkiem kierownictwa Prokuratury Krajowej, nieuznającym władzy ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara.

Dorota Kania – zblatowana z PiS dziennikarka, zasiada w zarządzie koncernu medialnego Polska Press należącego do Orlenu.

Adam Roch to były prokurator, podwładny Janeczka, który w 2018 r. został sędzią nielegalnej Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Po jej likwidacji orzeka w Izbie Karnej Sądu Najwyższego.

Dorota Kania wyciągała od żony Marka Dochnala informacje, które wykorzystywała w tekstach na temat lobbysty i jego powiązań z politykami lewicy. W „Życiu Warszawy" opublikowała kilkadziesiąt artykułów.

Lobbysta i dziennikarka z koneksjami

Historia ma początek w 2005 r. Po rządach SLD do władzy doszło PiS. Partia Jarosława Kaczyńskiego wypisała sobie na sztandarach walkę z tzw. układem postkomunistycznym. Tworzyć go mieli politycy lewicy, szemrani biznesmeni i agenci peerelowskich służb specjalnych, którzy wykorzystywali swoje wpływy do załatwiania nielegalnych interesów. Nie było żadnych dowodów na istnienie takiego układu, ale – jak mówił Jacek Kurski o wyborcach PiS (w kontekście słynnego „dziadka z Wehrmachtu") – „ciemny lud to kupi".

Akurat w areszcie siedział znany lobbysta Marek Dochnal, oskarżony m.in. o skorumpowanie posła SLD Andrzeja Pęczaka. Dorota Kania (pracowała wówczas w „Życiu Warszawy") zaprzyjaźniła się z żoną Dochnala Aleksandrą. Dziennikarka często odwiedzała ją w domu, gdzie spotykała się też z matką Aleksandry Barbarą Pietrzyk. Filipińska opiekunka dzieci Dochnalów nadała Kani przezwisko „Pani Sernik". „Zapamiętałam tę panią właśnie po tym, że zawsze, jak przychodziła, to dla niej przygotowywany był sernik", stwierdziła.

Dziennikarka zadeklarowała kobietom pomoc w wyciągnięciu Dochnala z aresztu. Mówiła, że przyjaźni się z Lechem Kaczyńskim i jego żoną Marią, że jest z parą prezydencką po imieniu, a Lech załatwił jej mężowi pracę w warszawskim ratuszu. Chwaliła się nawet znajomością z Jadwigą, matką braci Kaczyńskich, oraz tym, że bywa w ich domu na Żoliborzu. Kania twierdziła poza tym, że zna najbardziej wpływowe osoby w państwie i ma do nich numery telefonów. Wymieniła m.in. ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę, prokuratora krajowego Janusza Kaczmarka i koordynatora służb specjalnych Zbigniewa Wassermanna.

> Dorota Kania zadeklarowała pomoc w wyciągnięciu z aresztu lobbysty Marka Dochnala. Mówiła, że przyjaźni się z Lechem i Marią Kaczyńskimi, a Lech załatwił jej mężowi pracę w warszawskim ratuszu.

Brudne zagrywki i żądanie pieniędzy

Aleksandra Dochnal była zauroczona Kanią i jej opowieściami. Perspektywa szybkiego wypuszczenia męża z aresztu była spełnieniem jej marzeń. Przebiegła Kania owinęła sobie wokół palca zrozpaczoną kobietę. Z jednej strony, współczuła jej, dodawała otuchy, zapewniała o swoich znajomościach i udzieleniu pomocy, z drugiej – wyciągała od Aleksandry Dochnal informacje, które

eprasa.pl ada987d974

wykorzystywała w tekstach na temat lobbysty i jego powiązań z politykami lewicy, kreując w ten sposób rzeczywistość. W ciągu kilku miesięcy opublikowała w „Życiu Warszawy" kilkadziesiąt artykułów. Aleksandra Dochnal przekazała Kani m.in. spis darczyńców Fundacji Porozumienie bez Barier Jolanty Kwaśniewskiej, w którym widnieli m.in. biznesmeni i prezesi państwowych spółek.

W końcu zapewnienia Kani o pomocy przerodziły się w czyn. Skłoniła obrońców lobbysty, aby wysłali do prokuratora krajowego Janusza Kaczmarka wniosek o przeniesienie śledztwa z Prokuratury Apelacyjnej w Łodzi do Katowic. Argumentowała to tym, że prokuratorzy z Łodzi tworzą układ z politykami SLD i nie są zainteresowani zeznaniami Dochnala, a prokuratorzy z Katowic byli stronnikami Zbigniewa Ziobry, więc w zamian za obciążenie ludzi związanych z lewicą Dochnal wyszedłby na wolność.

Aby uwiarygodnić swoje słowa, Kania pisała artykuły szkalujące łódzkich prokuratorów, a jednocześnie namawiała Kaczmarka i Ziobrę do przeniesienia śledztwa. Dzięki pośrednictwu Kani obrońcy Dochnala spotkali się z Ziobrą i Kaczmarkiem. Zapadła decyzja, żeby sprawę przekazać do Katowic.

Gdy śledztwo tam trafiło, Aleksandra Dochnal uwierzyła w skuteczność Kani. Ta tymczasem zaczęła się skarżyć na złą sytuację finansową. Potrzebowała pilnie pieniędzy. Zaledwie kilka dni po przeniesieniu sprawy do Katowic Aleksandra Dochnal udzieliła Kani nieoprocentowanej pożyczki w wysokości 100 tys. zł. Ponieważ Kania nie chciała, by na umowie widniało źle się kojarzące nazwisko Dochnal, wpisano Barbarę Pietrzyk. Odbierając pieniądze, Kania zwróciła się do Aleksandry Dochnal: „Nie martw się, Olu, będzie dobrze", co utwierdziło żonę lobbysty w przekonaniu, że wpływowa dziennikarka nadal będzie pomagać w uwolnieniu jej męża.

Kania zaczęła żądać kolejnych pieniędzy. Aleksandra Dochnal ich nie miała, więc sprzedała obrazy, działkę i samochód. Pozbyła się oszczędności. W sumie przekazała Kani w kilku transzach w gotówce 245 tys. zł. „Ja popadłam w błędne koło. (...) Byłam wówczas w dołku psychicznym. Teraz to widzę, że Kania cynicznie mnie wykorzystała. Jej sposób mówienia, jej zachowanie, to, że potrafiła dzwonić wiele razy dziennie, namolnie, kiedy czegoś potrzebowała. To wszystko stwarzało psychiczną presję, której uległam", stwierdziła żona lobbysty.

Prokurator Roch i tortury

Mijały miesiące, a sytuacja Marka Dochnala, zamiast się poprawić, uległa pogorszeniu. Trafił do izolatki, a żonie odmówiono widzeń. Śledztwo utknęło. Prokuratorzy z Katowic musieli się zapoznać z setkami tomów akt. Kania zaś nadal przekonywała Aleksandrę Dochnal o swoich wpływach. Namówiła ją, aby napisała list do prezydenta Lecha Kaczyńskiego z prośbą o interwencję, m.in. w sprawie Marii D., księgowej męża aresztowanej w dziewiątym miesiącu ciąży. Kania zobowiązała się, że list osobiście dostarczy do Pałacu Prezydenckiego. Sprawą wkrótce zainteresowała się Maria Kaczyńska.

I tu pojawia prokurator Adam Roch, teraz neosędzia, który prowadził śledztwo przeciwko Dochnalowi. Otóż Roch nakazał zatrzymanie ciężarnej, a sąd zgodził się na jej aresztowanie, gdyż rzekomo brała udział w przestępstwach finansowych. Aby złamać kobietę i zmusić ją do przyznania się do winy oraz wskazania politycznych powiązań Dochnala, przewieziono ją do aresztu w Grudziądzu (ponad 500 km od Krakowa, gdzie mieszkała). Marii D. odmówiono zmiany obuwia, dostarczenia środków higienicznych, widzenia z rodziną i adwokatem. Kobieta była na skraju wyczerpania. Na salę porodową szpitala przewieziono ją z powodu zagrożenia życia dziecka.

„Rozpoczęto wywoływanie akcji porodowej. Pomimo silnego bólu akcja nie postępowała i po wielu godzinach mordęgi nad ranem 6 grudnia 2006 r. postanowiono przerwać i usłyszałam: proszę się trochę przespać. Około godziny 9.30 na salę porodową weszło dwóch funkcjonariuszy CBŚ przysłanych przez prokuratorów celem wykonania czynności śledczych polegających na pobraniu ode mnie próbek pisma. Pomimo porodu w toku lekarze wyrazili zgodę na czynności, a prokuratorzy, mając świadomość, że jestem w szpitalu, nie odwołali przyjazdu funkcjonariuszy. Miałam regularne skurcze porodowe, w trakcie których czynności przerywaliśmy. Tego samego dnia o 20.25 urodziło się dziecko", napisała później Maria D. w skardze do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Kobieta opuściła areszt trzy miesiące po urodzeniu dziecka. Sprawa przed trybunałem w Strasburgu zakończyła się ugodą, a polski rząd przyznał, że wobec aresztowanej dopuszczono się „nieludzkiego traktowania oraz tortur", przeprosił ją za to i wypłacił odszkodowanie. Za taki numer Roch powinien wylecieć z pracy w prokuraturze. Nie pozbyto się go jednak, a gdy PiS po raz kolejny doszło do władzy, Roch w 2016 r. został wiceszefem Prokuratury Regionalnej w Katowicach, którą kierował Janeczek. W 2018 r. upolityczniona Krajowa Rada Sądownictwa rekomendowała go do Sądu Najwyższego, a prezydent Andrzej Duda wręczył powołanie.

Gdy Kania zaczęła się skarżyć na kłopoty finansowe, Aleksandra Dochnal przekazała jej w gotówce w sumie 245 tys. zł.

Wycofana kasacja i prokurator krajowy

Wróćmy do Kani. Aleksandra Dochnal liczyła na to, że zabiegi dziennikarki okażą się skuteczne, i nie zamierzała żądać zwrotu pożyczonej sumy. Gdy jednak zorientowała się, że została oszukana, zmieniła zdanie. Kania nie miała z czego oddać pożyczki. Zwróciła pieniądze w ratach, po wielu miesiącach i ponagleniach, wystraszona, że sprawa wyjdzie na jaw.

W 2008 r. Marek Dochnal opuścił areszt i zawiadomił prokuraturę, która postawiła dziennikarce zarzut

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

płatnej protekcji i powoływania się na wpływy. Sąd pierwszej instancji uznał, że rzekome pożyczki były w rzeczywistości łapówką za pomoc w wyciągnięciu Dochnala z aresztu, i skazał Kanię na więzienie w zawieszeniu. Sąd drugiej instancji dziennikarkę uniewinnił, argumentując, że czyniła zabiegi o uwolnienie lobbysty z dobrego serca, a pieniądze były przyjacielską pożyczką. Takie tłumaczenie nie miało sensu. Kania nie zgłosiła bowiem rzekomych pożyczek w urzędzie skarbowym i nie zapłaciła od nich podatku, czym dopuściła się przestępstwa karno-skarbowego, żona lobbysty zaś, aby zaspokoić żądania dziennikarki, musiała wyprzedać majątek. A przecież w umowach jako osoba pożyczająca figurowała jej matka.

Prokuratura Okręgowa w Opolu, która oskarżała Kanię, w 2016 r. złożyła do Sądu Najwyższego kasację od wyroku uniewinniającego, która jednak szybko została wycofana. Według nieoficjalnych informacji stało się tak na polecenie ówczesnego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego, który koleguje się z Kanią i został umieszczony przez PiS w Trybunale Konstytucyjnym Julii Przyłębskiej.

Kwaśniewski i kasjer lewicy

Tomasz Janeczek od listopada 2005 r. do grudnia 2007 r. był prokuratorem apelacyjnym w Katowicach, gdzie sprawował nadzór nad najpoważniejszymi śledztwami prowadzonymi w tej prokuraturze i jednostkach podległych. Interesował się także sprawą Dochnala, który podczas przesłuchań snuł różne opowieści, m.in. o tym, że ważni politycy lewicy mieli brać od niego łapówki w zamian za informacje o planach prywatyzacji branży energetycznej. Pieniądze te miały być zdeponowane m.in. w banku Coutts w Zurychu. Pieczę nad nimi sprawował zaś Peter Vogel, nazywany przez media „kasjerem lewicy". Vogel w latach 70. nazywał się Piotr Filipczyński; jako 17-letni chłopak zamordował na tle rabunkowym 75-letnią kobietę. Skazano go na 25 lat więzienia. Po kilku latach wyszedł na tzw. przerwę w karze i w tajemniczych okolicznościach (ponoć z pomocą służb specjalnych PRL) uciekł z kraju. W 1983 r. Rada Państwa zmniejszyła mu wyrok do 15 lat więzienia. Filipczyński odnalazł się w Szwajcarii, gdzie zmienił nazwisko na Vogel. Skończył tam studia, pracował dla koncernów telekomunikacyjnych, a potem zajął się doradztwem biznesowym.

W 1998 r., gdy Vogel starał się o szwajcarskie obywatelstwo, został zatrzymany przez Interpol i przekazany do Polski, by odbył resztę kary. Jego adwokat wystąpił o ułaskawienie.

Prokurator Adam Roch nakazał zatrzymanie księgowej Dochnala, która była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Zastępca prokuratora generalnego w rządzie premiera Jerzego Buzka Stefan Śnieżko wszczął procedurę ułaskawieniową z urzędu i wydał nakaz zwolnienia Vogla z aresztu. Przemawiały za tym trzy argumenty: od zbrodni minęło 28 lat; Vogel odsiedział połowę kary; od 20 lat żył normalnie, robił karierę, miał żonę i dzieci. Prośbę o łaskę dla Vogla pozytywnie zaopiniowały sądy. W 2000 r. prezydent Aleksander Kwaśniewski ułaskawił Vogla – warunkowo (na pięć lat próby) darując wykonanie reszty kary.

O Voglu pisała również Kania, której Aleksandra Dochnal przekazała jego zdjęcia, a także – jak wiele na to wskazuje – informacje o bankierze. Karmiona sensacyjnymi artykułami nadzorowana przez Janeczka prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie okoliczności ułaskawienia Vogla, aby poprzez bankiera zarzucić sieci na Kwaśniewskiego. Podobno w procedurze ułaskawieniowej dopatrzono się nieprawidłowości, wyszło też na jaw, że adwokat Vogla reprezentował prezydenta w głośnym procesie przeciwko redakcji dziennika „Życie". Jedna z zakładanych wersji była taka, że poprzez wspólnego prawnika Vogel załatwił sobie ułaskawienie u Kwaśniewskiego, być może nawet za łapówkę, która została zdeponowana w szwajcarskim banku.

W 2006 r. były prezydent został wezwany do Katowic na przesłuchanie. Janeczek nakazał podwładnemu prokuratorowi nagrać to przesłuchanie. Taka procedura jest stosowana w wyjątkowych okolicznościach, np. gdy gangsterzy obciążają wspólników albo wobec niewiarygodnych świadków, których chce się przyłapać na kłamstwie. Nagranie przesłuchania miało być próbą złapania Kwaśniewskiego na nieścisłości, którą można by potem przeciwko niemu wykorzystać. Jednak przesłuchujący go prokurator nie wykonał polecenia i nagranie nie powstało. Janeczek miał wpaść w furię z tego powodu, nieposłusznemu prokuratorowi zrobił pisemny wytyk, że nie wykonuje poleceń służbowych, i odsunął go od śledztwa (więcej o Janeczku pisaliśmy w artykule „Buntownicy Ziobry", PRZEGLĄD nr 4/2024).

„Nigdy bym na coś takiego nie wpadł. Za tym musi się kryć jakiś powód pozaprocesowy", komentował sprawę prof. Zbigniew Hołda, prawnik Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Śledztwa dotyczące ułaskawienia Vogla oraz rzekomych tajnych kont polityków lewicy w Szwajcarii nie przyniosły oczekiwanych przez PiS rezultatów. Marek Dochnal z powodu intrygi Doroty Kani i przeniesienia jego sprawy z Łodzi do Katowic przesiedział w areszcie dłużej. W sumie było to około trzech i pół roku, co – jak orzekł Europejski Trybunał Praw Człowieka – było naruszeniem Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Trybunał uznał też, że sprzeczne z prawem było odmówienie bez żadnego uzasadnienia Dochnalowi widzenia z rodziną. Za poniesione krzywdy Polska musiała wypłacić lobbyście odszkodowanie w wysokości prawie 9 tys. euro.

Układu, o którym mówił Jarosław Kaczyński, mimo wielu zabiegów nie udało się więc odkryć, za to PiS wykreowało realny układ, który nie tylko sprawuje władzę na różnych poziomach struktur państwowych, ale i czerpie z tego profity.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl ada987d974

Z Galicji

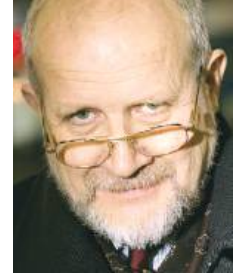

Jan Widacki

Bilobil dla polityków

Jest taki lek Bilobil, wyciąg z miłorzębu japońskiego. Podobno poprawia pamięć. Polecam go tym politykom, którym pamięć wyraźnie nie służy. Ale zanim po niego sięgną, zanim zacznie działać, przypomnę niektóre fakty.

Kiedy „za pierwszego PiS" powoływano Centralne Biuro Antykorupcyjne – formalnie do ścigania korupcji, faktycznie do walki z wyimaginowanym układem, czyli de facto z polityczną konkurencją – ówczesna Platforma też ochoczo głosowała „za". Tak powstała tworzona od podstaw, bez obciążeń postkomunistycznych, policja polityczna. Na jej czele stanął radykalny, by nie powiedzieć fanatyczny, polityk Mariusz Kamiński. Człowiek bez wykształcenia prawniczego, niemający żadnego doświadczenia w ściganiu przestępstw ani – szerzej – w stosowaniu prawa. Aby nowej policji politycznej nadać większe znaczenie, w ustawie nazwano ją „służbą specjalną" (choć ta nazwa zarezerwowana była dotąd dla wywiadu i kontrwywiadu) i wyposażono w szerokie uprawnienia do stosowania czynności operacyjno-rozpoznawczych, a więc posiadania własnych konfidentów, czytania cudzej korespondencji, podsłuchiwania, podglądania, prowokowania.

Przez cały okres działania pod kierownictwem Mariusza Kamińskiego (a był on szefem CBA jeszcze przez jakiś czas za rządów Donalda Tuska) biuro ujawniło nieco ponad 3% wszystkich przestępstw korupcyjnych. Resztę, te prawie 97%, ujawniły inne służby: przede wszystkim policja, ale także Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Straż Graniczna. Wśród owych 3% przestępstw ujawnionych przez CBA nie było żadnej wielkiej afery korupcyjnej. Były za to liczne, prowadzone ze złamaniem prawa prowokacje. W dodatku bezskuteczne, bo żadna nie zakończyła się skazaniem w sądzie, a większość w ogóle do sądu nie doszła. Opinia publiczna poznała część: sprawę przeciw burmistrzowi Helu i posłance Sawickiej, przeciw Weronice Marczuk i prezesowi Wydawnictw Naukowo-Technicznych, sprawę rzekomej willi Kwaśniewskich w Kazimierzu, no i „aferę gruntową" wymierzoną w Andrzeja Leppera. Tylko ta ostatnia doczekała się dotąd rozliczenia, a bezprawie, przekroczenie po wielokroć uprawnień i łamanie praw obywatelskich zostało ukarane przez sąd.

Głównych sprawców, ówczesnych szefów CBA, panów Kamińskiego i Wąsika, właśnie po raz kolejny ułaskawił pan prezydent. Ułaskawić miał prawo, ale on ich jeszcze honoruje, przyjmuje w swoim pałacu, nazywa ludźmi kryształowo uczciwymi, demonstracyjnie zapewnia o swojej z nimi solidarności. Czyli prezydent Rzeczypospolitej tym samym popiera łamanie przez wysokich funkcjonariuszy państwowych prawa, popiera bezprawne wykorzystywanie służb specjalnych, przekraczających swoje uprawnienia, przeciw obywatelom swojego państwa. Solidaryzuje się z po chamsku demonstrowanym, zwłaszcza przez Kamińskiego, lekceważeniem wyroków sądowych wydanych „w imieniu Rzeczypospolitej"! Czy pan prezydent rozumie, co czyni?

A na koniec kilka słów przypomnienia, czym jest ułaskawienie. Ta powszechna dziś w świecie prerogatywa głowy państwa polega na darowaniu prawomocnie orzeczonej kary. Akt prezydenckiej łaski może więc uwolnić od kary w całości, może karę skrócić lub ją złagodzić. Kara jest tu rozumiana szeroko, obejmuje nie tylko karę zasadniczą, ale i to, co kiedyś kodeks nazywał karami dodatkowymi, obecnie zaś nosi nazwę środków karnych, a więc pozbawienie praw publicznych, zakaz prowadzenia określonej działalności, zakaz wstępu na imprezę masową, zakaz prowadzenia pojazdu mechanicznego itd., o ile orzeczone były w wyroku. Bo akt łaski dotyczy tylko treści wyroku! W konkretnym przypadku, gdyby sąd w wyroku pozbawił obu panów prawa piastowania stanowiska posła na Sejm, zakaz ten mógłby być objęty aktem prezydenckiej łaski. Tyle że wyroki skazujące tych panów nic na ten temat nie mówiły. Obydwaj zostali pozbawieni mandatu poselskiego nie wyrokiem sądu, ale z mocy prawa, w chwili uprawomocnienia się wyroku. Po ułaskawieniu mogą się ubiegać o mandat w następnych wyborach. Akt łaski nie przywraca jednak stanu sprzed skazania. Tym ułaskawienie różni się od restytucji czy rehabilitacji.

Polska konstytucja daje prezydentowi prerogatywę, jaką jest korzystanie z prawa łaski, nie daje mu prerogatywy restytucji czy rehabilitacji, podobnie jak nie daje mu prerogatywy abolicji indywidualnej. Ta ostatnia polega na nakazie niewdrażania postępowania karnego, względnie zaniechania czy umorzenia już wdrożonego. W 2015 r. prezydent, w swoim rozumieniu korzystając z prawa łaski, faktycznie wobec panów Kamińskiego i Wąsika zastosował abolicję indywidualną, czym przekroczył swoje uprawnienia. Prawo łaski poszerzone o prawo restytucji i abolicji indywidualnej na ziemiach polskich przysługiwało jeszcze cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Prezydentom niepodległej Rzeczypospolitej już nie. Ale cesarz miał też prawo nadawania swoim poddanym konstytucji. O tym wszystkim warto pamiętać dziś, w czasach największego kryzysu konstytucyjnego w dziejach III RP. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Im się to po prostu należało

Fundusz Sprawiedliwości, czyli jak działało zaplecze finansowe Suwerennej Polski

Marek Czarkowski

20 października 2012 r. toyota yaris, za kierownicą której siedział biskup pomocniczy archidiecezji warszawskiej Piotr J., wyrżnęła w latarnię na jednej ze stołecznych ulic. 2,5 promila alkoholu we krwi zapewniło hierarsze wyrok sześciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata, zakaz prowadzenia pojazdów na cztery lata oraz 2,4 tys. zł grzywny i 4 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, popularnie nazywanego Funduszem Sprawiedliwości. Był to rzadki przypadek, gdy duchowny przekazywał środki na rzecz owego funduszu, a nie sięgał po nie.

Inspektorzy NIK ustalili, że środki z Funduszu Sprawiedliwości wydawano na działania niezwiązane z celami, dla których został on powołany. Raport zaprezentował wiceprezes NIK Michał Jędrzejczyk, 30 września 2021 r.

Dla strażaków i na zapobieganie wypadkom

W założeniach fundusz, którym zarządzał minister sprawiedliwości, miał służyć ofiarom przestępstw oraz pomagać w resocjalizacji więźniów. Za rządów Prawa i Sprawiedliwości zmienił się on w swoiste zaplecze finansowe wtedy Solidarnej, a dziś Suwerennej Polski.

O tym, że PiS z budżetowych pieniędzy pośrednio finansuje kampanie wyborcze, wiedzieli prawie wszyscy. Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry w ramach podziału łupów także coś dostała. W 2017 r. ministrowi sprawiedliwości nie udało się obronić prezesa PZU Michała Krupińskiego, którego uważano za jego człowieka, przed odwołaniem go przez ludzi ówczesnego wicepremiera Mateusza Morawieckiego. Trudno zaś uznać, by kontrola nad Lasami Państwowymi zaspokajała ambicje ministra. Rozwiązaniem okazał się Fundusz Sprawiedliwości. Z tego źródła Zbigniew Ziobro mógł wspierać inicjatywy ludzi Solidarnej Polski i nie tylko.

Było to możliwe dzięki rozporządzeniu ministra Ziobry z 2017 r., w którym znalazło się stwierdzenie, iż jednym z zadań funduszu jest „przeciwdziałanie przyczynom przestępczości". Na tyle poszerzało ono zakres finansowanych projektów, że właściwie każda inicjatywa mogła liczyć na hojność sponsora. Na ten fakt zwróciła uwagę Najwyższa Izba Kontroli w opublikowanym w 2021 r. raporcie, opisującym nieprawidłowości, do jakich dochodziło w funduszu.

Inspektorzy NIK ustalili, że środki, którymi dysponował minister Ziobro, wydawano na działania zupełnie niezwiązane z celami, dla których fundusz został powołany. Gospodarka finansowa Funduszu Sprawiedliwości była prowadzona z naruszeniem podstawowych zasad wydatków publicznych, tj. jawności, celowości i oszczędności. Z 681,4 mln zł dotacji przyznanych ze środków funduszu w okresie objętym kontrolą jedynie 228,5 mln zł przeznaczono na pomoc bezpośrednio ofiarom przestępstw. W ocenie inspektorów 280 mln zł wydano niecelowo i nieprawidłowo. Kontrola objęła 16 konkursów o dotacje z FS (z których 13 oceniono jako niecelowe i niegospodarne) oraz 35 umów między Ministerstwem Sprawiedliwości a beneficjentami.

Rażącymi przykładami braku monitorowania efektów wydatkowanych środków publicznych były wsparcie w kwocie 140,8 mln zł udzielone ochotniczym strażom pożarnym oraz kampania społeczna mająca na celu poprawę bezpieczeństwa

eprasa.pl ada987d974

niechronionych uczestników ruchu drogowego, na którą przekazano 24,1 mln zł. Jak wskazywały dane uzyskane przez NIK z Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej, mimo przekazania strażakom nowego sprzętu wzrosła liczba wypadków, do których druhowie z OSP pomimo wezwania nie wyjechali. W odniesieniu do wypadków drogowych nie wykonano analiz, które pozwoliłyby określić wpływ kampanii społecznych finansowanych ze środków funduszu na poziom bezpieczeństwa dzieci i młodzieży.

Wyszła też na jaw życzliwość Funduszu Sprawiedliwości wobec organizacji związanych z Kościołem. Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (związana z o. Tadeuszem Rydzykiem) tylko w 2017 r. otrzymała prawie 1,4 mln zł. Stowarzyszenie Misja Miłosierdzia zadowoliło się w tym czasie 460 tys. zł, a Stowarzyszenie Diakonia Ruchu Światło-Życie – 350 tys. zł.

Była to rozgrzewka zarówno dla kierujących funduszem, jak i dla beneficjentów. Podwładni ministra Ziobry dopiero uczyli się trudnej sztuki rozdawnictwa. Gdy na czerwiec 2021 r. zapowiedziano przedterminowe wybory prezydenta Rzeszowa, ubiegający się o to stanowisko wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł w ramach swojej kampanii wręczył dyrektorom dwóch miejscowych szpitali czeki na kwotę 500 tys. zł. Pieniądze pochodziły z Funduszu Sprawiedliwości. Tego rodzaju prezenty stały się czymś powszechnym w ostatniej kampanii wyborczej. Członek Suwerennej Polski Sebastian Łukaszewicz, ubiegający się o mandat do Sejmu, hojnie rozdawał je gminom na Podlasiu. Metoda okazała się skuteczna, Łukaszewicz trafił na Wiejską.

Dzieła ojca Tadeusza

Oczywiste jest, że Fundacja Lux Veritatis Tadeusza Rydzyka oraz Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu mogły liczyć na hojność wszystkich ministrów w kolejnych rządach Zjednoczonej Prawicy. Ale w Funduszu Sprawiedliwości były tylko jednym z wielu wywianowanych katolickich podmiotów.

Na przykład w 2018 r. fundusz przyznał ponad 24 mln zł Stowarzyszeniu Muza Dei z Czeladzi. Tą niewielką organizacją zarządzał Andrzej Dubiel, współpracownik Marka Jurka oraz członek założonej przez niego partii Prawica RP. Był on również jednym z organizatorów III Chrześcijańskiego Kongresu Społecznego, który postulował zaostrzenie regulacji prawnych dotyczących aborcji oraz wypowiedzenie przez Polskę konwencji stambulskiej.

Na drugim dotacyjnym biegunie znalazły się m.in. Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy im. Świętej Siostry Faustyny – 75 tys. zł, Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy Księży Orionistów – 99 tys. zł, Caritas Archidiecezji Gdańskiej – prawie 155 tys. zł, Stowarzyszenie Katolickie – Szkoła Nowej Ewangelizacji Jezusa Zmartwychwstałego Oddział Gliwice – niemal 201 tys. zł. O wiele zacniej wyglądała dotacja dla Stowarzyszenia Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna w Gorzowie Wielkopolskim – 1,2 mln zł. W latach 2018-2023 wybiły się: Fundacja św. Benedykta – łącznie 4,4 mln zł, Fundacja Mocni w Duchu – 4,2 mln zł, Towarzystwo Salezjańskie – Inspektoria (prowincja) św. Stanisława Kostki w Warszawie – 3,5 mln zł oraz Fundacja Światło-Życie – 2,9 mln zł.

Fundusz Sprawiedliwości wykazał się hojnością wobec Caritasu. Na lata 2022-2025 kościelnej organizacji charytatywnej w czterech diecezjach przyznano łącznie ponad 18 mln zł (w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej – 5,3 mln zł, siedleckiej – 5,2 mln zł, sandomierskiej – 4 mln zł, bielsko-żywieckiej – 3,7 mln zł). Mniej znane organizacje związane z Kościołem też zostały wywianowane: Katolickie Stowarzyszenie Pomocy Osobom Potrzebującym Agape – 9,1 mln zł, Diecezjalna Fundacja Ochrony Życia z siedzibą w Opolu – 6,5 mln zł. Do dziś wypłacono tym instytucjom mniej więcej połowę środków. Nowe kierownictwo resortu sprawiedliwości będzie musiało zdecydować, czy powinno dalej – i w jakim zakresie – wspierać te inicjatywy.

Telewizja egzorcysty

W 2020 r. gruchnęła wieść, że resort sprawiedliwości przyznał 100 mln zł Fundacji Profeto, kierowanej przez sercanina, ks. Michała Olszewskiego, który zasłynął jako egzorcysta wypędzający za pomocą salcesonu „demony wegetarianizmu"! Dziś ks. Olszewski odszedł od praktyk egzorcysty, by wkroczyć na ścieżkę przetartą przez ojca dyrektora z Torunia. Plany miał ambitne, chciał stworzyć sieć radiową, a nawet telewizję internetową. Inspektorzy NIK podkreślili, że z owych 100 mln zł jedynie 3 mln miały być przeznaczone na pomoc ofiarom przestępstw.

Caritas w czterech diecezjach wywianowano z Funduszu Sprawiedliwości sumą ponad 18 mln zł.

Niezrażeni tym sercanie złożyli w Urzędzie Dzielnicy Wilanów wniosek o pozwolenie na budowę obiektu kościelnego. Urzędnicy odmówili, powołując się na obowiązujący plan zagospodarowania przestrzennego. Ich sprzeciw wobec zbożnego dzieła wywołał reakcję władz. Wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł uchylił decyzję i podpisał pozwolenie na budowę. W sprawę włączyła się też prokuratura, wszczynając śledztwo w związku z podejrzeniem niedopełnienia obowiązków lub przekroczenia uprawnień przez samorządowców.

Dziś w okolicach ulic Przyczółkowej i Dobrodzieja trwa budowa sporego obiektu, w którym, jeśli wierzyć pogłoskom, znajdą się studia nagraniowe, reżyserki, maszynownia, biura itp. Obok ma powstać budynek, w którym znajdzie siedzibę szkoła francuska. Jeżeli inwestycja zostanie zakończona, to czy jej utrzymanie bez wsparcia groszem publicznym będzie możliwe? Dlatego rzutem na taśmę Fundusz Sprawiedliwości zaplanował wydatki na lata 2024-2026. Pierwsze miejsce zajęła, a jakże, Fundacja Lux

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

Veritatis, której przyznano 7,1 mln zł. Tuż za nią ulokowała się Fundacja Profeto – 4,5 mln zł.

Obecne kierownictwo resortu sprawiedliwości, z ministrem Adamem Bodnarem na czele, wstrzymało do wyjaśnienia wypłaty środków z funduszu. Nie jest to dobra wiadomość dla kręgów kościelnych, że o osobach związanych z Suwerenną Polską nie wspomnę.

Strażnik pamięci „Do Rzeczy"

Na publiczny grosz mogły liczyć organizacje, których szef Adam Surmacz dobrze zna się z Dariuszem Mateckim, w przeszłości szczecińskim radnym Solidarnej Polski i pracownikiem Lasów Państwowych, a dziś posłem PiS, znanym ze skandalicznych wypowiedzi, m.in. w stosunku do posłanki Magdaleny Filiks czy Agnieszki Holland i aktorów występujących w filmie „Zielona granica". I tak Stowarzyszenie Fidei Defensor otrzymało ponad 9 mln zł, a Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia – 7,7 mln zł.

Stołeczna Fundacja Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Życia dostała z Funduszu Sprawiedliwości ok. 24 mln zł na zakup kamizelek odblaskowych dla uczniów i zakończyła działalność 20 października ub.r., pięć dni po przegranych przez PiS wyborach. Przypadek?

Uznaniem dysponentów Funduszu Sprawiedliwości cieszyła się też Fundacja Rozwoju Patria z Jaworzna, której na lata 2022-2025 przyznano 11,5 mln zł. Nie ma czemu się dziwić, w 2011 r. zorganizowała ona pokaz filmu dokumentalnego Anity Gargas o tematyce smoleńskiej „10.04.10", po którym odbyło się spotkanie z autorką. Z kolei w maju 2016 r. z inicjatywy fundacji w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Jaworznie odbyło się spotkanie promujące książkę „Rodzice prezydenta", na którym gośćmi byli prof. Janina Milewska-Duda oraz prof. Jan Tadeusz Duda, rodzice prezydenta RP.

Dotychczas Fundacji Rozwoju Patria wypłacono 5,4 mln zł.

Na początku stycznia 2019 r. biskup tarnowski Andrzej Jeż pobłogosławił Fundację Alegoria, która w Tarnowie otworzyła Centrum Dialogu, Formacji i Misji. „Chcemy, żeby to miejsce przyciągało różne osoby, także pozostające obojętnie na poboczu Kościoła. Będzie możliwość prowadzenia otwartych dyskusji. Chcemy, żeby również było to miejsce przygotowania liderów, którzy później będą wspierać ewangelizację", powiedział bp Jeż. „Będziemy prowokować do wymiany myśli i zachęcać do dialogu", dodawał prezes Alegorii Marcin Lewandowski. Słusznie! Powstała we wrześniu 2017 r. fundacja do roku 2023 na „przeciwdziałanie przestępczości" otrzymała z FS ponad 12 mln zł.

W lipcu 2019 r. posłanka Joanna Mucha złożyła w Sejmie interpelację w sprawie warszawskiej Fundacji Altum, która została wpisana do KRS 30 stycznia 2019 r., dwa dni przed ogłoszeniem przez fundusz konkursu na pomoc pokrzywdzonym. Nie powinno być zaskoczeniem, że przyznano jej dotację w kwocie 4,2 mln zł. W sumie ta instytucja zainkasowała z resortu sprawiedliwości ponad 12 mln zł. Z wpisów w Krajowym Rejestrze Sądowym wynika, że od chwili powstania fundacja miała siedmiu prezesów i czterokrotnie zmieniła siedzibę. Znalazłem stronę internetową „Lekcje z Temidą" (https://lekcjeztemida.pl/) informującą o nieodpłatnym programie edukacyjnym, którego celem jest podnoszenie poziomu wiedzy oraz świadomości prawnej wśród dzieci i młodzieży.

Interesujący jest przypadek Fundacji Strażnik Pamięci, której prezesuje Paweł Andrzej Lisicki, tożsamy z Pawłem Andrzejem Lisickim, redaktorem naczelnym tygodnika „Do Rzeczy". Otrzymała ona z Funduszu Sprawiedliwości nieco ponad 8 mln zł. W radzie fundacji zasiadają znani z łamów tygodnika redaktorzy Piotr Gabryel i Piotr Zychowicz. I oczywiście fakt ten nie ma nic wspólnego z publikacjami krytycznymi wobec rządzącej obecnie Koalicji 15 Października. Tytuły tekstów są aż nazbyt wymowne: „W imieniu bezprawia. Minister Sprawiedliwości Adam Bodnar »szuka jakiejś podstawy prawnej«", „Opozycja dyszy zemstą", „Sorosowie w polskich mediach. Teraz przejmują kontrolę nad »Rzeczpospolitą«".

W czerwcu 2021 r. grupa publicystów tygodnika „Do Rzeczy" powołała Fundację Instytut Suwerenności i Dziedzictwa w Europie, która otrzymała dwie skromne dotacje z Funduszu Sprawiedliwości – 234,4 tys. zł w 2022 r. i 544,2 tys. zł rok później.

W przeszłości nieraz zaprzyjaźnione media, sprzyjające partiom politycznym tzw. autorytety, działacze partyjni, aktywiści czy lokalni samorządowcy mogli liczyć na gratyfikacje, ogłoszenia reklamowe, odpowiednio wynagradzane posady itp. Jednak skala owych bonusów nigdy nie była tak wielka jak w ostatnich latach rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Fundusz Sprawiedliwości rozdał setki milionów złotych. Musimy jednak pamiętać, że niemal każdy minister w rządach Mateusza Morawieckiego miał do dyspozycji własny „fundusz". I hojną ręką wspierał swojaków. Oczywiście zgodnie z prawem!

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

PS Ze środków Funduszu Sprawiedliwości sfinansowano też zakup systemu Pegasus, który był wykorzystywany do inwigilacji opozycji. Ale to zupełnie inna historia.

Krystynie i Robertowi Walenciakom

składamy serdeczne wyrazy współczucia

po śmierci

MAMY i TEŚCIOWEJ

przyjaciele z „Przeglądu"

eprasa.pl ada987d974

Czas złodziei

Kradzieże w sklepach stały się plagą. Handlowcy apelują, by jako przestępstwo traktować kradzież za 500 zł, a nie za 800 zł

Kornel Wawrzyniak

Tuż przed wyborami, 1 października 2023 r., pisowska władza zwiększyła limit, od którego kradzież ściga się jako przestępstwo, a nie wykroczenie. Z dotychczasowych 500 zł próg podniesiono do 800 zł. Handlowcy twierdzą, że ruch ten rozzuchwalił złodziei. Ponieważ nie dają już sobie rady ze skalą zjawiska, w styczniu zaapelowali do ministra sprawiedliwości o przywrócenie poprzedniego limitu.

Coraz częstszym zjawiskiem jest oszukiwanie przy kasach samoobsługowych.

Setki tysięcy kradzieży

Obecnie za kradzież przedmiotów o łącznej wartości do 800 zł grozi jedynie grzywna. Można więc ukraść cały koszyk zakupów, dobrą whisky lub taniego smartfona i pozostanie to wykroczeniem. Według danych zebranych przez dziennik „Rzeczpospolita" 80% tego typu czynów przypada na sklepy wielkopowierzchniowe. Eksperci tłumaczą, że to rezultat m.in. ciągle rosnących cen. „W pewnym stopniu jest to efekt wysokiej inflacji. Społeczeństwo zubożało, a więc mogło dochodzić do większej liczby kradzieży", przyznaje w rozmowie z dziennikiem Robert Biegaj, ekspert rynku handlowego z Grupy Offerista. Wielu Polaków jest dziś zmuszonych do łamania prawa, bo nie może spiąć domowego budżetu. W pierwszych trzech kwartałach 2023 r. odnotowano 33 tys. przestępstw, czyli kradzieży powyżej limitu ustalonego w prawie. To, jak wskazują dane Komendy Głównej Policji, wzrost o 40% rok do roku. Wykroczeń, czyli kradzieży poniżej limitu, było zaś ponad 204 tys., a to oznacza wzrost z roku na rok o ponad 20%.

Zmiana w prawie jest o tyle niezrozumiała, że statystyki dotyczące kradzieży sklepowych dynamicznie rosły nie tylko przez ostatnie miesiące, ale i przez ostatnie lata. Według danych KGP w całym 2022 r. przestępstw kradzieży było więcej o 31%, a wykroczeń o 21,5%. W 2021 r. odnotowano zaś rok do roku wzrost o 21%, jeśli chodzi o przestępstwa, i o 6,5%, jeśli chodzi o wykroczenia. Skąd zatem taka decyzja? Jedną z możliwych interpretacji jest pokrętna logika Prawa i Sprawiedliwości. Partia Jarosława Kaczyńskiego nie poradziła sobie z inflacją. Zwiększenie limitu kwotowego dla kradzieży mogło więc być swoistym ukłonem w stronę społeczeństwa.

Tuż przed wyborami, 1 października 2023 r., pisowska władza zwiększyła limit, od którego kradzież ściga się jako przestępstwo, a nie wykroczenie.

Handlowcy ostrzegali, że zachęci to złodziei i odbije się na wszystkich. Teraz apelują do ministra sprawiedliwości Adama Bodnara o powrót do poprzedniego progu 500 zł, od którego kradzież będzie traktowana jako przestępstwo. Nalegają również na zapewnienie firmom handlowym pomocy w obronie przed kradzieżami. Prezes Północnej Izby Gospodarczej w Szczecinie Hanna Mojsiuk podkreśla na

FOT. TADEUSZ WYPYCH/REPORTER

eprasa.pl ada987d974

łamach „Pulsu Biznesu", że kradzież „to przestępstwo, firmy muszą mieć możliwość obrony, a przepisy nie zmierzają w stronę niwelowania oszustw – wręcz przeciwnie".

Podobnie argumentowała prezes Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji Renata Juszkiewicz, która przypominała, że handlowcy w obliczu zmian prawnych zostali sami. Musieli zainwestować ogromne kwoty w zabezpieczenie towaru i rozbudowanie systemów antykradzieżowych. Zdaniem Renaty Juszkiewicz tracą na tym przede wszystkim sklepy spożywcze, elektroniczne i odzieżowe.

Gorący towar

Eksperci zwracają uwagę, że jeśli nie odwróci się trendu rosnącej przestępczości, może to mieć długofalowe skutki, łącznie ze wzrostem radykalizmów społecznych. Przykładem mogą być ostatnie wydarzenia z Poznania. W galerii handlowej Posnania miał się pojawić gang nastolatków terroryzujący klientów. Doszło do tego, że policja zaczęła na wszelki wypadek wysyłać do sklepu patrole.

Inflacja nie jest jedynym powodem, dla którego liczba kradzieży wzrasta. Handlowcy wskazują, że rozwinęły się w ostatnim czasie wyspecjalizowane w sklepowych kradzieżach grupy przestępcze. „Mówiąc wprost, ludzie zaczęli częściej kraść, bo nie stać ich na robienie zakupów na takim poziomie jak przed inflacją. Trzeba też dodać, że w ostatnim czasie Polacy zaczęli kraść rzeczy, które do tej pory masowo nie ginęły ze sklepów. To z kolei pokazuje, że społeczeństwo poważnie odczuwa skutki wysokiej inflacji. Widać, że giną głównie dwie kategorie towarów. Pierwsza to żywność i wszystko to, co jest szybko zbywalne. I za tym przeważnie stoją osoby, które robią to z biedy i z przymusu. Natomiast druga grupa to towary luksusowe, w tym drogie alkohole, perfumy, elektronika itp. Te rzeczy kradną raczej zorganizowane grupy przestępcze, które uczyniły sobie z tego źródło dochodu", wyjaśniał Biegaj w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

Złodziej rejestrowany

Prawdziwym rajem dla złodziei stały się kasy samoobsługowe. Ekspert ds. zapobiegania kradzieżom sklepowym Łukasz Grzesik potwierdza, że oszukiwanie przy kasach samoobsługowych coraz częściej trafia do policyjnych akt. Problem dotyka zwłaszcza dyskonty, gdzie najtrudniej złapać sprawcę na gorącym uczynku. Sklepy ze względu na zbyt małą liczbę pracowników, w szczególności ochroniarzy, nie są w stanie zapanować nad kradzieżami przy kasach. Specjaliści podkreślają jednak, że złodzieje zostawiają masę śladów, ponieważ sklepy mają monitoring, a płatność w kasie samoobsługowej wiąże się z użyciem karty kredytowej lub innej formy bankowości elektronicznej.

Najczęstszym procederem jest nabijanie przy kasie tańszych produktów niż te, które wzięło się do koszyka. Według prawa taka praktyka również jest kradzieżą, chociaż, jak mówi Robert Biegaj, niektórzy złodzieje oszukują się, że „robią to w kategoriach mniejszej szkodliwości czynu, co jest naciąganą teorią i próbą usprawiedliwiania samego siebie". W ostatnim czasie zatrzymano dwoje mieszkańców Lublina, którzy przed wizytą w sklepie przygotowali kody kreskowe tańszych produktów i nakleili je na wybrany asortyment. Według wstępnych szacunków straty sklepu wyniosły ponad 5 tys. zł. Teraz złodziejom grozi do ośmiu lat więzienia.

W listopadzie 2019 r. uruchomiono elektroniczny rejestr wykroczeń. Niektórzy nazwali go żartobliwie rejestrem złodziei. Trafiają tam wszystkie odnotowane wykroczenia. Muszą one jednak albo być naocznie stwierdzone przez policjanta, albo sprawca musi zostać schwytany na gorącym uczynku lub bezpośrednio po nim. Trzecią opcją jest otrzymanie przez odpowiednie organy informacji o popełnionym wykroczeniu. Ewentualnie można przedstawić policji informacje, najlepiej w formie obrazu i dźwięku. Według przepisów odnotowane wykroczenia muszą zostać usunięte z rejestru po trzech latach od dnia ich wprowadzenia. Dane mogą zniknąć też wcześniej, m.in. w przypadku uniewinnienia, umorzenia postępowania lub odmowy jego wszczęcia.

Kolejny system teleinformatyczny jawi się jednak jako proteza niepasująca do obrażeń. Nie dość, że zmagamy się obecnie z bałaganem prawnym, to mierzymy się z brakami kadrowymi w policji. Dziś na 107 tys. miejsc w policji obsadzonych jest 96 tys. W 2023 r. ze służby zrezygnowało 5 tys. mundurowych, a już na początku tego roku nieoficjalnie mówiło się o odejściu kolejnych 8 tys. osób. Gdy doda się te wszystkie czynniki, można odnieść wrażenie, że w najbliższym czasie nie poradzimy sobie jako społeczeństwo nie tylko z narastającą falą kradzieży, ale przede wszystkim ze wzbierającą falą frustracji, bo bałagan i degrengolada dotknęły przez ostatnich osiem lat wszystkie aspekty naszego życia. Nawet te, o których na co dzień nie myślimy.

W pierwszych trzech kwartałach 2023 r. odnotowano 33 tys. przestępstw kradzieży. To wzrost o 40% rok do roku.

Wykroczeń, czyli kradzieży poniżej limitu, było ponad 204 tys., a to oznacza wzrost z roku na rok o ponad 20%.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Dzieje naszych chłopskich przodków są przemilczane albo wyparte

Jako wspólnota narodowa jesteśmy dzisiaj w punkcie, w którym coś szczęśliwie runęło

Paweł Maślona na planie filmu „Kos".

Rozmawia Wojciech Tutaj

PAWEŁ MAŚLONA
– reżyser i scenarzysta filmowy

Zabrałeś się do opowieści historycznej o Tadeuszu Kościuszce. Jak to się stało, że zostałeś reżyserem „Kosa"?

– Długo fantazjowałem o stworzeniu filmu gatunkowego w scenerii XVIII- lub XIX-wiecznej Polski, dotykającego tematu pańszczyzny. Kiedy Michał A. Zieliński pojawił się z pomysłem zrobienia „westernu kościuszkowskiego", pomyślałem, że może wreszcie znalazłem odpowiedni materiał. Dostałem szansę na zrealizowanie filmu, którego sam nigdy bym nie napisał. Nie wiedziałbym, jak się odnaleźć w tak odległych realiach historycznych. Dość szybko przekonałem do tego projektu producentów, Leszka Bodzaka i Anetę Hickinbotham. Leszek przeczytał wstępną wersję scenariusza i zaczęliśmy rozmowy o kształcie filmu. Michał kontaktował się wcześniej z kilkoma producentami, którzy chwalili jego koncepcję, ale twierdzili, że jest zbyt trudna do zrealizowania w polskich warunkach. Leszek widział to trochę inaczej. Kolejne dwa lata pracowaliśmy nad scenariuszem, a w międzyczasie przygotowywaliśmy się do zdjęć. Od spotkania z Michałem do premiery minęły dokładnie cztery lata.

Co było najbardziej fascynujące i zaskakujące w scenariuszu?

– Przede wszystkim fakt, że przez opowieść o Kościuszce udało mu się zaadresować temat pańszczyzny i włączyć film w nurt ludowych historii Polski. Scenarzysta użył do tego narzędzi kina gatunkowego. Przyłożenie matrycy westernu do realiów XVIII-wiecznej Polski wydało mi się świetnym pretekstem, żeby zmierzyć się z mitologią sienkiewiczowską, nadal kształtującą nasze myślenie o przeszłości. Drugim wielkim atutem scenariusza jest postać Dominga, czarnego adiutanta Kościuszki, który istniał naprawdę i odwiedził nasz kraj. Obecność przybysza z zewnątrz daje sposobność do tego, żeby sprowokować widza, stawiając znak równości między amerykańskim niewolnictwem a polską pańszczyzną. W dodatku Michałowi udało się stworzyć bardzo oryginalną strukturę opowieści. Można powiedzieć, że „Kos" ma dwóch głównych bohaterów,

FOT. ŁUKASZ BĄK/TVP

eprasa.pl ada987d974

Tadeusza Kościuszkę i chłopa Ignaca Sikorę, których drogi się krzyżują i nawzajem komentują. To był bardzo trudny koncept do przeprowadzenia i myślę, że wyszło znakomicie.

Z jakich źródeł czerpałeś wiedzę o Kościuszce i jego epoce?

– Przeczytałem biografię Kościuszki i zrozumiałem, z jak ważną i nietuzinkową postacią mam do czynienia. Poza pracami o polskim dowódcy studiowałem większość książek na temat pańszczyzny, które ukazały się w ostatnich latach. Miałem w ręku „Ludową historię Polski" Adama Leszczyńskiego, „Chamstwo" Kacpra Pobłockiego i „Pańszczyznę. Prawdziwą historię polskiego niewolnictwa" Kamila Janickiego. W podobnym czasie wyszła także powieść Radka Raka „Baśń o wężowym sercu albo Wtóre słowo o Jakóbie Szeli". Nie będę jednak udawał, że poznałem dogłębnie tamten wycinek dziejów. Nie jestem typem mola książkowego, który chciałby się przebić przez wszystkie opracowania historyczne. Sporą część pracy wykonywała też moja ekipa, np. cały pion scenograficzny był obłożony książkami i przekazywał mi wiele niezbędnych informacji. Podobnie działali kostiumografka Dorota Roqueplo i jej współpracownicy, którzy sami zamawiali konsultacje historyczne. Najbardziej palącą kwestią było dla mnie zrozumienie rzeczywistości, o której opowiada „Kos", poznanie obyczajów panujących w 1794 r. Nie chodziło nam o dokładne odtwarzanie realiów, o których czytaliśmy, tylko o sprawdzanie, jak daleko możemy się posunąć w fantazjach na temat tamtego okresu.

Jak zwrot ludowy w humanistyce zmienił twoje myślenie o historii Polski?

– Zwrot ludowy rozbroił pewien mit, na którym się wychowałem, a który zawsze wzbudzał moje wątpliwości. Kończyłem szkołę z przekonaniem, że chłopi byli krnąbrnymi, leniwymi ludźmi, niezainteresowanymi państwowością i niepodległością. Nie chcieli brać udziału w powstaniach, do tego zdarzały im się krwawe jatki w postaci rabacji galicyjskiej. Mój obraz przeszłości, zbudowany przez podręczniki do historii, był pełen białych plam i niezrozumienia dla dawnych stosunków społecznych. Nagle, gdy ukazały się książki Leszczyńskiego czy Pobłockiego, wszystko wróciło na miejsce i nabrało dla mnie głębszego sensu. Zrozumiałem, jak bardzo potrzebujemy opowieści, która upodmiotowi w końcu naszych przodków. Funkcjonowaliśmy dotąd w fałszywej i cudzej narracji, przeżywaliśmy historię klasy panującej, która była promilem całego społeczeństwa. Dzieje naszych chłopskich przodków są zaś przemilczane i wyparte. A to jedna z najważniejszych historii do opowiedzenia i wstęp do budowania zdrowej wspólnoty opartej na prawdzie. Nie na dość naiwnej mitologii, która powstała ku pokrzepieniu serc i przypominała o państwowości, której nie mieliśmy w XIX w. Można zrozumieć motywacje Sienkiewicza i uznać siłę jego literackich mitów, ale warto dziś spojrzeć na nie krytycznie.

Dlaczego w centrum filmu są dwa konflikty: polsko-rosyjski i chłopsko-szlachecki?

– W centrum mamy temat rozerwanej wspólnoty i wojny polsko-polskiej. Dzisiaj najłatwiej tak odczytywać „Kosa", a konflikty, o których wspomniałeś, nadal kształtują naszą rzeczywistość. Na Wschodzie czyha poważne zagrożenie, ale nie przeszkadza nam to we wzajemnej wrogości i walce. Nie powstrzymuje niektórych organów i instytucji przed nadużywaniem władzy, nieszanowaniem mechanizmów demokratycznych i lekceważeniem pojęcia wspólnoty. W takich warunkach funkcjonowaliśmy przez lata. Nie wiem, kiedy nastąpi moment, że wszyscy poczujemy się częścią narodowej wspólnoty. Kiedy zrozumiemy, że powinniśmy się nawzajem szanować, nie traktować państwa jak prywatnego folwarku, a podwładnych jak chłopów pańszczyźnianych. W namalowanym przez nas obrazie Polski możemy się teraz przejrzeć jak w lustrze. Realizując filmy, chcę, żeby odnosiły się do współczesności i ją komentowały, bo średnio interesowałoby mnie robienie pocztówki z historii. Ciekawie robi się dopiero wtedy, gdy wchodzimy z widzami w dialog na temat tego, co jest ważne tu i teraz.

Czy kino historyczne i zabawa gatunkiem nie wchodzą ze sobą w konflikt? Jak połączyć te dwa porządki?

– Kilkukrotnie musiałem wybierać między dobrem i atrakcyjnością opowieści a wiernością historii. Prawie zawsze stawałem po stronie filmu, dość luźno traktując fakty. Podam przykład. Pałacyk, który pojawia się w pierwszej części „Kosa", został wzniesiony po powstaniu kościuszkowskim. Około 1794 r. budowano jednak podobne rezydencje w Wielkiej Brytanii. Wyszedłem więc z założenia, że jakiś polski szlachcic mógł wrócić z zagranicznej podróży i zażyczyć sobie postawienia identycznej siedziby. Samo prawdopodobieństwo opisanej sytuacji wystarczy. W filmie gatunkowym cudzysłów jest na tyle duży, że można sobie pozwolić na więcej. Już w pierwszych scenach dajemy do zrozumienia, że nie będziemy z aptekarską dokładnością relacjonować przeszłości, tylko proponujemy fantazję na jej temat. Pojawia się choćby motyw wydania za Kościuszką listu gończego, o którym nikt wtedy nie słyszał. Zakładam, że publiczność nie będzie miała o to pretensji. Jako twórcy filmowi dysponujemy licencją na zmyślanie i opowiadanie o rzeczywistości po swojemu. Na końcu i tak zostajemy rozliczeni

Kończyłem szkołę z przekonaniem, że chłopi byli krnąbrni, leniwi, niezainteresowani państwowością i niepodległością.

Paweł Maślona – (ur. w 1983 r.) ukończył politologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem reżyserię na Uniwersytecie Śląskim. Pracował na planie seriali „Motyw", „Mąż czy nie mąż" i „Pisarze. Serial na krótko". Jego pełnometrażowy debiut, „Atak paniki", zdobył nagrody na festiwalach w Gdyni, Koszalinie i Krakowie. „Kos" przyniósł mu Złote Lwy i Paszport „Polityki" w kategorii film.

eprasa.pl ada987d974

z tego, czy stworzyliśmy emocjonującą, poruszającą historię, która jest spójna i sensowna.

Jakie filmy były dla ciebie punktami odniesienia podczas realizacji „Kosa”?

– Filmem, który obejrzałem najwięcej razy, były „Nędzne psy” Sama Peckinpaha. Inspirowałem się nim przede wszystkim w odniesieniu do finałowej sekwencji „Kosa”, która pierwotnie miała się rozgrywać w plenerze. Chciałem ją przenieść do wnętrza dworku i nadać scenom walki bardziej intymny charakter, na wzór filmów z kategorii Home Invasion. Ten podgatunek horroru i thrillera mocno wpływał na moją wyobraźnię. Kiedy poszukiwałem odpowiedniej konwencji dla naszej opowieści, platforma The Criterion Channel zrobiła przegląd tego rodzaju kina. Od amerykańskich filmów noir po „Funny Games” Michaela Hanekego. Dostałem gotową mapę inspiracji na etapie przygotowań. W sytuacji naruszenia przestrzeni domowej i zburzenia jej spokoju widzę coś fascynującego. Dworek pułkownikowej, do którego przybywa Kościuszko, a potem rosyjski oddział, jest przecież symbolem Polski. Przez akt obrony tego miejsca można opowiedzieć o epizodach, których nie mogliśmy bezpośrednio przedstawić. Choćby o słynnej bitwie pod Racławicami. Kiedy posługujesz się sugestywną metaforą, nie potrzebujesz wielkich inscenizacji, żeby przekazać sens wydarzeń z końca XVIII w.

A co z kinem Quentina Tarantina, do którego twój film jest porównywany?

– Twórczość Tarantina była naturalnym punktem odniesienia, ale do jego filmów nie musiałem nawet wracać. Wpływ tego reżysera jest oczywisty już w założeniach wyjściowych „Kosa”. Choćby w duecie Kościuszko-Domingo, który od razu przywołuje na myśl postacie grane przez Christopha Waltza i Jamiego Foxxa w „Django”. Mierzymy się też z kwestią pańszczyzny, nawiązując do amerykańskiego niewolnictwa, o którym odważnie opowiadał Tarantino. Gdyby nie rewizjonistyczne dzieła kultowego twórcy, Michał prawdopodobnie nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby tak bezczelnie skonfrontować się z polską historią. Tarantino jest więc ojcem chrzestnym naszego filmu.

Przeczytałem gdzieś, że w pierwotnej wersji scenariusza „Kos” miał być filmem dużo lżejszym. Postawiłeś jednak na poważniejszą i brutalniejszą narrację o przeszłości.

– W pierwszej wersji scenariusza historia przypominała opowieść łotrzykowską i była zanurzona w konwencji filmu płaszcza i szpady znanej z takich klasyków jak „Zorro”. Michał dużo czerpał również z komedii omyłek i pokazywał losy Kościuszki z przymrużeniem oka. Uznaliśmy jednak, że historia pańszczyzny i związanej z nią przemocy zasługuje na trochę poważniejsze potraktowanie. Przesunęliśmy więc kilka akcentów w scenariuszu. Nie dlatego, że tak wypada, tylko przez moją fascynację innym rodzajem kina. Chciałem zbliżyć „Kosa” do tradycji antywesternu spod znaku Sama Peckinpaha czy Clinta Eastwooda. Dzięki temu nadajemy ekranowym zdarzeniom odpowiedni ciężar, zderzamy widza z prawdziwym okrucieństwem i nie podchodzimy do historycznych tematów lekko czy niezobowiązująco.

Wystarczy przywołać zakończenie, wyjątkowo gorzkie i pesymistyczne jak na polskie kino historyczne.

– Finał nie jest może optymistyczny, ale cały czas dostrzegam tam odrobinę światła. Oglądamy zgliszcza dworku, a więc naszego państwa, wspólnoty. Są jednak ludzie, w których tli się nadzieja, ludzie, którzy towarzyszą Kościuszce w jego podróży i za którymi chce się podążać. Dla mnie właśnie w tych jednostkowych portretach kryje się światło. Film można czytać przez pryzmat historii Polski, ale i na bardziej kameralnym poziomie, śledząc drogę wybranych bohaterów. Sam interpretuję „Kosa” bardzo osobiście, bo koresponduje z pewnym procesem, który we mnie się wydarzał. Czułem, że w moim życiu doszło do totalnego przesilenia i trzeba było zburzyć jakąś strukturę, żeby na jej zgliszczach postawić nową. Jako wspólnota narodowa też jesteśmy dzisiaj w punkcie, w którym coś szczęśliwie runęło, system budowany przez ostatnie lata spłonął. I podobnie jak filmowy Kos stajemy przed pytaniem, co dalej. Musimy spojrzeć na nasze poobijane twarze i ocenić, jaką mamy szansę stworzyć razem coś naprawdę wartościowego.

Wojciech Tutaj

Nie wiem, kiedy zrozumiemy, że powinniśmy się szanować, nie traktować państwa jak prywatnego folwarku, a podwładnych jak chłopów pańszczyźnianych.

TEKSTY PROF. BRONISŁAWA ŁAGOWSKIEGO PISANE DLA PRZEGLĄDU

Dla postsolidarnościowych partii najchlubniejszymi kartami polskiej historii są przegrane powstania

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka**
listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

37 zł ~~47 zł~~

eprasa.pl ada987d974

Stulecia pogardy dla chłopów nadal pokutują

Jeśli chodzi o upokorzenie i wyzysk, to nie ma różnicy między tymi, którzy pracowali przy bawełnie i kukurydzy, a tymi, którzy pracowali tutaj przy zbożu

Rozmawia Artur Zaborski

JACEK BRACIAK
– aktor teatralny, filmowy i dubbingowy

Tadeusz Kościuszko należy do panteonu polskich postaci historycznych. Wielu osobom pewnie trudno sobie nawet wyobrazić, że można mówić o nim inaczej niż jako o bohaterze narodowym. Wy poszliście w stronę popkultury, bawicie się tą postacią i okolicznościami, w jakich przyszło jej działać. Nie bałeś się, że konserwatywni patrioci się wkurzą, że pozwalacie sobie na coś tak śmiałego?

– Nie myślałem tak daleko do przodu. Pamiętam, że jak z propozycją roli zadzwonili do mnie producenci Aneta Hickinbotham i Leszek Bodzak, to ja się przede wszystkim przestraszyłem tego Kościuszki.

Dlaczego?

– Dlatego że my w polskiej kinematografii mamy złe doświadczenia przy portretowaniu takich postaci. To było dosyć przytłaczające, do tego stopnia, że poprosiłem, żebyśmy zrobili próby kamerowe i sprawdzili, czy ja się po prostu nadaję do tego. No i uznali, że tak. Zresztą ja też nie najgorzej się poczułem na zdjęciach próbnych. Zgodziłem się zagrać tę postać, ale zaraz zaznaczyłem, że najistotniejszy jest scenariusz. I kiedy przeczytałem, uznałem, że to jest szansa, żeby to było po prostu interesujące, nie hieratyczne. Nie interesował mnie tekst w stylu: „Urodził się, poszedł do szkoły rycerskiej i umarł w Szwajcarii". Zawartość scenariusza miała być pretekstem: kto ciekawy Kościuszki, to sięgnie, przeczyta i dowie się więcej.

Nie postawiliście Kościuszce pomnika, to raczej portret człowieka ambitnego i inteligentnego, który nie jest w stanie wszystkiego przewidzieć.

– Mnie się to spodobało w tej postaci. Staraliśmy się z reżyserem Pawłem Maśloną poprowadzić postać naczelnika tak, żeby to był człowiek mający wątpliwości, często nieprzygotowany na to, co zastanie. Kościuszko wywodzący się z Rzeczypospolitej znał szlachtę i magnatów. Myślę, że nie miał o nich najlepszego zdania. Jednak jakby zapomniał o tym podczas pobytu w Ameryce. A potem, wracając przez Francję, zetknął się z tym, co okazało się niezmienne i co, śmiem twierdzić, w wielu przypadkach trwa do dziś, czyli lenistwo, pogarda dla pracy u podstaw i do takich codziennych drobnych rzeczy, które nas budują, tylko tak: „Zerwijmy się!".

Dzisiaj też się tak zrywamy?

– Nie chcę się rozwodzić, ale przykład najbliższy to nasz stosunek do wojny w Ukrainie. Na początku wszyscy otwierali domy i portfele, a w tej chwili jesteśmy – i mamy do tego prawo – zmęczeni, ale też niechętni ludziom, którzy tutaj przyjeżdżają.

eprasa.pl ada987d974

To są oczywiście różni ludzie, ale zapał był znowu słomiany.

Też mam wrażenie, że mimo upływu wieków zachowała się nasza skłonność do działania pod wpływem emocji. Wasz film, choć osadzony w przeszłości, jest dobrym lustrem dla współczesności. Możemy się w nim przejrzeć, zobaczyć nasze przywary na wesoło.

– O tym, o czym mówisz, pisał i Pasek, i teraz się pojawiły różne książki na temat pańszczyzny, warcholstwa i sarmatyzmu. Sarmatyzmu wymyślonego chyba, bo to jakaś idea kompletnie fantastyczna, że jesteśmy potomkami sarmatów. Bzdury, bzdury, bzdury. Nie wiem, dlaczego mówi się dziś o naszym chłopskim pochodzeniu jako o czymś aż tak odkrywczym. Ja się zgadzam co do tego, że nasz film obnaża nas również dzisiaj, ale ja sobie przypominam i wszyscy pamiętamy np. te kompanie Kmicica z „Potopu". I w książce, i w filmie Hoffmana było świetnie zobrazowane to pijane warcholstwo. „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie, Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie".

W dyskusję o naszych chłopskich korzeniach, o której mówisz, „Kos" dobrze się wpisuje. Wasz film to dopełnienie takich książek jak „Chłopki", „Ludowa historia Polski" czy robiącego furorę filmu animowanego „Chłopi". Mit sarmaty chyba powoli odchodzi w zapomnienie?

– Być może, aczkolwiek stulecia pogardy dla tej – jak się mówiło wtedy – najniższej warstwy chłopskiej do tej pory pokutują. Ja jestem z chłopów z dziada pradziada. Cała rodzina po kądzieli to Pawlakowie. Jak przyjechałem do Warszawy do szkoły teatralnej, byłem święcie przekonany, że spotkam ludzi światłych i tolerancyjnych. Ale niestety w wielu przypadkach dano mi odczuć, że moje korzenie nie są mile widziane zarówno wśród wykładowców, jak i osób tutaj spotkanych, w Warszawie. I wstydziłem się swojego pochodzenia przez lata, aż wreszcie uznałem, że to jest mój atut. To moja zaleta, tylko że niezupełnie wyjątkowa. I tak całe szczęście jest do dzisiaj. Jest to na pewno wartością.

Jak dano ci odczuć, że nie pasujesz ze swoim pochodzeniem do miastowych?

– Pamiętam, jak na studiach jakaś pani profesor zapytała mnie o pieśni legionowe. Powiedziałem, że nie znam pieśni legionowych. „A dlaczego?". „Nie wiem. U nas się nie śpiewało". U nas się wstawało rano. Trzeba było zadbać o inwentarz, wydoić krowy czy wyprowadzić na pastwisko. Potem było pole, na nic innego nie było czasu. Moja mama, pamiętam, jak zapadał zmrok zimą, to o godz. 16-17 już spała, bo musiała wstać o czwartej rano, żeby doić krowy. Oby było tak, jak ty mówisz, bo my jesteśmy z chłopów. Nasze społeczeństwo w większości wywodzi się z chłopów.

Też jestem z małej miejscowości na Podhalu, która ma 1,8 tys. mieszkańców.

– Moja, Rzekcin, ma 12 domów.

Dla mnie uderzające po przeprowadzce do Warszawy było to, że tu nadal funkcjonuje mit warszawiaka z dziada pradziada.

– Większość warszawiaków to przyjezdni. I ambicja i pracowitość tych przyjezdnych napędza to miasto. Mnie też napędzała. Bardzo. Wiedziałem, że muszę pokonać wiele trudności, że muszę więcej czytać, więcej oglądać, więcej się dowiadywać, żeby dorównać. Jak się okazało, nie ma za bardzo do czego, bo tu gnuśność i lenistwo.

To też dobrze „Kos" pokazuje. W filmie warstwa chłopska zazdrości szlachcie i chciałaby się z nią zamienić rolami, ale tak naprawdę szlachta nie przebija jej w niczym poza bardziej suto zastawionym stołem.

– Oczywiście. Mało tego, jeśli mówimy o Kościuszce, to on był z takiej bardzo zubożałej szlachty. Więc to też go napędzało, żeby ambicją, pracowitością i talentem, którym był niewątpliwie obdarzony w wielu dziedzinach, nadrobić braki domowe. A tu nie było do czego równać.

Ja jestem z chłopów z dziada pradziada.

Jest w „Kosie" kapitalna scena, w której polski chłop pańszczyźniany i czarny niewolnik z Ameryki podnoszą koszule i porównują blizny na plecach. Okazuje się, że jedyne różnice są takie, że jednego bili batem, a drugiego kijem, jednego przy bawełnie, a drugiego przy ziemniakach. Dla ciebie to prowokacja czy stawiasz znak równości pomiędzy tym, jak traktowano polskich chłopów i amerykańskich niewolników?

– Żadna prowokacja. Oczywiście można by tam szukać subtelności, kogo traktowano gorzej, ale myślę, że jeśli chodzi o upokorzenie, o wyzysk, o odmawianie człowieczeństwa, pozbawienie wolności, co jest największą opresją, to nie ma różnicy między tymi, którzy pracowali przy bawełnie i kukurydzy, a tymi, którzy pracowali tutaj przy zbożu. Świat był po prostu pełen zniewolenia. Tylko jakiś ułamek ludzi mógł sobie robić to, co chciał. Sytuacja dla mnie osobiście zupełnie koszmarna. Najgorszą rzeczą, jaką sobie wyobrażam, jest rodzaj śmierci w pozbawieniu wolności. Towarzyszyła mi, jak miałem zdjęcia w zakładach karnych.

Jakiego rodzaju wolność jest dla ciebie najważniejsza?

– Wolność najprostszych rzeczy: gdzie sobie chcę pójść, co chcę sobie obejrzeć, przeczytać. Najczęściej to są takie rzeczy, których

Jacek Braciak – (ur. w 1968 r. w Drezdenku, wychowany we wsi Rzekcin) absolwent warszawskiej PWST, po ukończeniu studiów związał się z Teatrem Powszechnym w Warszawie, gdzie grał do 2015 r. Na wielkim ekranie zadebiutował w 1989 r. w filmie „Z soboty na poniedziałek", popularność przyniosły mu takie produkcje jak „Kler", „Róża", „Drogówka", „Edi". Laureat wielu nagród filmowych.

eprasa.pl ada987d974

się nie ogląda teraz albo nie czyta. Ja w ogóle nie wiem, co teraz jest modne, co wypada oglądać, co należałoby czytać. Jak czasem idę do teatru, koledzy i koleżanki mówią mi, że jest nowa proza. „Nie czytałeś? Wszyscy czytali". „Nie, nie czytałem". Uważam, że wolność aż po wybory zawodowe – to, że mogę decydować o tym, co robię, kiedy i z kim – to dorobek mojego życia.

Jak się czułeś przez osiem lat rządów ludzi, którzy ograniczali wolność obywatelską?

– To było straszne. Chodzi mi o taki poziom nienawiści, wszechobecny właściwie. Widziałem, jak ludzie się traktowali, co płynęło z telewizji. Bo celowo śledziłem tę gadzinówkę, tę szczekaczkę ideologiczną, czyli TVP Info.

Celowo to oglądałeś?

– Tak. Nie wiedziałem, że w ogóle tak można, ale też chciałem to zapamiętać. Tak, chciałem to zapamiętać, żeby to już nigdy nie wróciło. To był bardzo smutny okres, takiego wstecznictwa. W jakimś sensie cofnęliśmy się do czasów tego warcholstwa, które też jest w „Kosie".

W dyskusji na temat pańszczyzny niekiedy powraca porównanie ze współczesnością. Porównuje się kapitalistyczny wyzysk korporacji z tym, jak szlachta wyzyskiwała chłopów. Też dostrzegasz takie podobieństwo?

– No nie, jednak uważam, że, zachowując wszelkie proporcje, żyjemy w innych czasach, jeżeli idzie o wolność. Chociażby z tego powodu, że to my decydujemy, czy chcemy być niewolnikami korporacji i pieniędzy. To tylko my mówimy sobie: „No nie mam innego wyjścia". Otóż nie, my mamy wyjście. Do nas należy wybór, czy będę niewolnikiem Instagrama, Facebooka, komórki. Do nas należy wybór, czy będę robił wszystko w imię tego, że przecież na tym polega mój zawód. Do nas należy wybór, czy moje życie będzie zawodem, czy też zawód będzie po prostu zawodem, a życie to życie. Życie będzie zwykłe, takie jak inne. To do mnie należy decyzja, czy będę traktował sam siebie jak aktora, pana z telewizji czy jako bliźniego. Znam wiele osób, które dokonują takich wyborów i tak się trochę odstrychają od tego świata. On jest, jaki jest. Czy można go zmienić? W najbliższym otoczeniu można go zmieniać, ale na dłuższą metę nie. Ale ja sobie mogę wybrać taką ścieżkę, niszę, azyl, jak zwał, tak zwał, i to ja to wybieram, a nie świat za mnie.

„Kos"

To postawa, którą reprezentowałeś od młodych lat, czy musiałeś się nauczyć skręcać w inne drogi niż te, którymi wszyscy idą?

– Różnie z tym było. Czasem nie miałem odwagi, czasem były to konieczności ekonomiczne, rodzinne. Ale kiedy odczułem opresję tego zawodu i tego środowiska i właściwie już stan psychiczny mi nie pozwalał, a już nie żyłem w biedzie, to jednak postanowiłem, że nie chcę tak żyć. Że nie mogę tak żyć, bo mnie to niszczy. Niszczy mnie dosłownie – fizycznie i psychicznie, strąca mnie w jakieś przepaści. No i uznałem, że jeżeli chcę się uratować, chcę się wydobyć, to muszę robić to, co mnie ocali, czyli być wolnym człowiekiem i żyć higienicznie i nie poświęcać temu zawodowi wszystkiego, bo nie warto.

Naprawdę nie warto?

– Absolutnie nie warto, bo on jest niesprawiedliwy. Natomiast jeżeli już coś robię, robię to całym sobą, poświęcam temu swoje serce, myślenie, wszystko, wszystko, wszystko. Ale po pracy wezmę schabowego z kartoflami z bufetu, pojadę do domu, obejrzę telewizję, może gdzieś wyjdę – a do sklepu trzeba chodzić – przeczytam coś i zdrzemnę się.

Za angażowanie się w pracę na całego trzeba zapłacić jakąś cenę emocjonalną?

– Oczywiście, że tak, ale to się dzieje w pracy. Nie pielęgnuję w sobie bohatera. Czasem mi coś przychodzi do głowy, jak sobie robię takie zwykłe rzeczy.

I co ci przychodziło do głowy na temat Kościuszki, jak kreowałeś tę rolę?

– Że to jest skupiony człowiek, a nie ktoś, kto chce sprawiać wrażenie przywódcy, naczelnika i ma pretensje do wielkości, tylko zajmuje się trudnością, z jaką można połączyć te wszystkie wątki, na które on liczył w tej Rzeczypospolitej. Że jest taktowny, że zwraca uwagę na innych i że jest wyczulony na niesprawiedliwość szalenie i właściwie tylko w takich momentach, kiedy komuś się dzieje krzywda przy nim,

Kościuszko wywodzący się z Rzeczypospolitej znał szlachtę i magnatów. Myślę, że nie miał o nich najlepszego zdania.

eprasa.pl ada987d974

dostaje białej gorączki i może zabić. Tak, to takie jedyne momenty jego nieobliczalności.

W filmie bardzo uderzyło mnie to, że wasz Kos jest inny od tego Kościuszki, którego zapamiętałem z podręczników do historii. Kos jest rozczarowany otoczeniem, tym, co w Polsce zastaje. A w podręcznikach Kościuszko to przecież wielka ambicja i realizowanie planów za wszelką cenę.

– Nasz film to wycinek z życia Kościuszki. I jego rozczarowanie, o którym mówisz, wynika z postawy tych wszystkich, na których liczył, niewywiązywania się z pewnych umów, takich najprostszych. Mnie się wydaje, że to dobrze, że myśmy tak chcieli, żeby on właśnie był niepewny, rozczarowany, żeby czuł się zawiedziony. Ale, jak wiemy, ponad to przedkładał jednak tę wielką ideę wolności dla kraju. I, co równie ważne, dla tych warstw najuboższych, najniższych.

Kościuszko upomina się o chłopstwo, ale wy tej warstwy społecznej nie faworyzujecie na ekranie. Naśmiewacie się z nich tak samo jak ze szlachty.

– „Kos" to portret całej Polski na tyle, na ile się da w tym wycinku. Cieszy mnie to, co mówisz, bo to, co mi się podobało w tym filmie, to poczucie humoru. To historia tragiczna i sensacyjna, ale z dystansem. Ja uważam, że poczucie humoru jest szalenie istotne w filmie, w teatrze, w życiu, w radzeniu sobie z wieloma rzeczami. Poczucie humoru to coś, co nas ocala. Nie da się duć przez dwie godziny w jakąś patriotyczną nutę, co często bywa naszą specjalnością, bo to jest po prostu nie do zniesienia. Widz nie wytrzymuje takich rzeczy.

Nie masz wrażenia, że teraz coraz trudniej robi się komedie, bo dzisiaj już wszyscy o wszystko się obrażają? O to, że kogoś niesprawiedliwie pokazano, że o kimś niewłaściwie powiedziano. Wszędzie wyszukujemy sobie problem, zwłaszcza w żartach.

– Moje przekonanie jest takie, że myślenie o tym, komu się to spodoba, komu się nie spodoba, a kto przyjdzie, a do kogo to skierować, jest błędne. Przy całym szacunku dla pieniędzy, które się angażuje w filmy czy w przedstawienie, jednak musi to być wypowiedź autorska twórców. No trudno, takim mówię językiem. Nie da się zadowolić wszystkich i zawsze będą tacy, co jest truizmem oczywiście, którym się coś nie spodoba. Ostatnio oglądałem stand-up Ricky'ego Gervaisa.

Świetny jest! Odważnie pogrywa sobie z poprawnością polityczną.

– Znakomity, ale już w pewnych momentach grubo przesadził. Jednak to, co on robi, to jest to, czego my nie mieliśmy przez ostatnich osiem lat, jeśli pozwolisz, że wrócę do tego wątku. To mi się może nie podobać, ale swoboda wypowiedzi daje absolutne prawo wszystkim do wypowiadania się, również w sensie artystycznym. Na jakiejś platformie, chyba na Netfliksie, jak jest jakiś film, to obok są takie opisy, np. „Mocny dramat". To zabawne, ale już najbardziej mnie nie ubawił, tylko zasmucił taki dopisek: „Udawana powaga", co znaczy, żebyś ty, widzu, nie miał wątpliwości, że to, co oglądasz, jest śmieszne. Dla mnie to też jest temat o wolności, o schematach myślenia i o niewoli intelektualnej w korporacyjnym myśleniu. Jak oglądasz serial w TVN, to wiesz, o czym będzie. Wiesz, że będzie kobieta, że będą pastelowe kolory, że ona w męskiej koszuli będzie piła wieczorem wino i będzie piękna panorama mostu Siekierkowskiego. Jak obejrzysz w Polsacie serial, to nie będziesz miał wątpliwości, że to jest śmieszne, bo aktorzy śmiesznie grają. Tylko że to nie jest śmieszne. Jesteśmy w tym sensie trochę w dupie.

Za to „Kos" jest czymś, czego się nie spodziewaliśmy. Liczysz na to, że wywoła dyskusję?

– Ja się za bardzo nad tym nie zastanawiam, niech się tym zajmują krytycy, niech reżyser mówi, co miał na myśli. Ja przyszedłem do pracy, miałem ogromną tremę pierwszego dnia, właściwie byłbym szczęśliwy, gdyby ten pierwszy dzień zdjęciowy można było przekręcić, bo miałem wrażenie, że mam wszystko z drewna i coś wypowiadam jak w Teatrze Wielkim.

Skąd ta trema się wzięła?

– Zawsze mam tremę. Zawsze jak coś zaczynam, to jestem niepewny siebie, boję się. Tego pierwszego dnia mi towarzyszy niewiara. Wszystko, co robię, wydaje mi się jakieś przegrane albo jakieś takie nic. A potem już zapominam o tym, rozgrzewam się, lepiej się czuję. Ale tak naprawdę to pierwszy naleśnik jest zawsze do wyrzucenia.

Ale to też pokazuje, że nadal ci zależy, że nadal chcesz, żeby to, co robisz, miało wysoką wartość i jakość.

– No tak, oczywiście zależy mi, pracuje przy tym mnóstwo ludzi, ktoś włożył w to swój czas, energię i pieniądze, więc po prostu nie można inaczej. Jeżeli coś mi się podoba i chcę w tym wziąć udział, to po prostu pracuję. Nie zastanawiam się w ogóle nad wydźwiękiem, nad zasięgiem, tylko czy to jest coś, co mnie interesuje. Tak było przy „Kosie", tak było kiedyś przy „Klerze", po którym potem burza się rozpętała.

Oberwałeś piorunem?

– Nie, nic złego mnie nie spotkało. Myślę, że Polacy chyba nie są na tyle odważni, żeby demonstrować i prywatnie podejść i powiedzieć komuś w oczy: „No wie pan co, no nie". W większości dostawałem gratulacje, a ci, którym się nie podobało, nie mieli odwagi tego powiedzieć. Nie, był jeden pan, który na targu jakimś, chyba staroci, bardzo taktownie mówił: „Panie Jacku, nie może pan powiedzieć Smarzowskiemu, że wśród tego kleru też są dobrzy ludzie? Może o tym by zrobić film?". „No może i tak, ale nie sądzę, żeby Smarzowski przejął się moim zdaniem ani pana".

Artur Zaborski

Dlaczego o naszym chłopskim pochodzeniu mówi się dziś jako o czymś aż tak odkrywczym?

FOT. MICHAŁ MUTOR, ŁUKASZ BĄK/TVP

eprasa.pl ada987d974

Mateusz Mazzini

Była rektor Harvardu Claudine Gay podczas przesłuchania w Izbie Reprezentantów. Waszyngton, 5 grudnia 2023 r.

Trujący bluszcz

Najlepsze uczelnie USA mają spory problem – przestają być uczelniami

– Zapytam panią ostatni raz: czy nawoływania do ludobójstwa wobec Żydów naruszają panujące na Uniwersytecie Harvarda zasady odnośnie do zastraszania i molestowania studentów? Tak czy nie? – nacierała Elise Stefanik, republikańska członkini Izby Reprezentantów, w czasie grudniowego przesłuchania z udziałem władz najważniejszych uczelni w USA. Atak był wymierzony w Claudine Gay, rektor Harvardu. Odpowiedź nie miała w sumie wielkiego znaczenia, bo wyrok na Gay, która zrezygnowała z funkcji na początku stycznia br., pod wieloma względami już dawno został wydany. Sam fakt, że naukowczyni musiała ze swoich działań tłumaczyć się przed Kongresem, pokazywał, że spora część amerykańskiego społeczeństwa, na co dzień i tak coraz mniej przychylna elitarnym szkołom ze Wschodniego Wybrzeża, powoli traci do tych „wież z kości słoniowej" cierpliwość. Od 7 października ub.r., kiedy Hamas wystrzelił ponad 5 tys. rakiet w kierunku Izraela, dokonując najbrutalniejszego w skutkach ataku na żydowską populację od II wojny światowej, kampusy najlepszych amerykańskich uczelni stały się zaś polem bitwy o wolność słowa.

Wrzenie na uniwersytetach

Postronni obserwatorzy mogą stwierdzić, że to przecież nic nowego, bo wojny kulturowe, pikiety przeciwko konserwatywnym prelegentom i apele o stworzenie „bezpiecznych przestrzeni" to chleb powszedni amerykańskiej rzeczywistości uczelnianej. Cokolwiek jednak działo się tam przez ostatnie kilka lat, od października weszło kilka poziomów wyżej. Najpierw, 10 października, 33 stowarzyszenia studenckie na Harvardzie opublikowały wspólny list otwarty, w którym ani słowem nie napomknęły o terrorze ze strony Hamasu. W liście przeczytać można było natomiast, że „jedyną stroną ponoszącą winę jest apartheidowski reżim", co oczywiście dotyczyło Izraela i Beniamina Netanjahu. Pomijając już samo użycie słowa apartheid, z którym w kontekście działań Izraela w Palestynie nie zgadza się wielu badaczy, całkowicie jednostronne oświadczenie wywołało ogromny sprzeciw zwłaszcza ze strony starszej kadry naukowej uczelni. Chwilę później na kampusie New York University lewicowi aktywiści zdarli z drzwi jednego z wydziałów zdjęcia Izraelczyków przetrzymywanych przez Hamas. Szybko okazało się, że to tylko uwertura, bo im bardziej intensywna była ofensywa Sił Obronnych Izraela w Strefie Gazy, tym głośniejsze były antyizraelskie protesty na amerykańskich uczelniach. Ich głównym hasłem stało się: „Od morza po rzekę (Jordan) istnieć będzie wolna Palestyna", co przez wielu komentatorów, nie tylko proizraelskich, odbierane jest jako wezwanie do likwidacji niepodległego Państwa Izrael.

Na całym Wschodnim Wybrzeżu, gdzie mieści się osiem „bluszczowych" uniwersytetów, dochodziło do czynów jawnie antysemickich. Na Cornell University aresztowany został student, który w mediach społecznościowych zapowiadał strzelanie do żydowskich studentów. Zareena Grewal, antropolożka z Yale, napisała na swoim profilu na platformie X (dawniej Twitter), że „osadnicy nie są cywilami", odnosząc się w ten sposób do Izraelczyków zasiedlających okupowane terytoria palestyńskie. W reakcji w ciągu kilku dni powstała petycja o wyrzucenie jej z uczeni, którą podpisało 16 tys. osób. Temperatura sporu rosła, dyskusja wylała się poza kampusy, często przyjmując karykaturalne formy w mediach. CNN przygotowała nawet reportaż o żydowskich rodzicach licealistów z całego kraju, którzy w rozgorączkowaniu zmieniali podania swoich pociech, adresując je nie do uczelni

eprasa.pl ada987d974

najlepszych, tylko tych, które obiecywały zapewnić najwyższy poziom bezpieczeństwa studentom wyznającym judaizm. Ameryka, rozkołysana już do granic możliwości, weszła w stan społecznej histerii.

Przed Kongresem

W takim klimacie odbywały się przesłuchania przed Kongresem, w trakcie których trójka szefów ważnych uczelni: Harvardu, University of Pennsylvania i MIT, tłumaczyła się ze swoich reakcji – lub ich braku, przynajmniej zdaniem republikanów – na antysemickie zachowania na kampusach. Trudno właściwie wskazać, kto z tej trójki wypadł gorzej, ale najwięcej gromów posypało się na Claudine Gay z Harvardu i Liz Magill z Penn. Obie poległy na banalnym wydawałoby się pytaniu Elise Stefanik o nawoływanie do ludobójstwa będące ewentualnym naruszeniem uczelnianych zasad. Samo pytanie było jednak pułapką, bo cokolwiek obie naukowczynie by odpowiedziały, i tak nie zadowoliłoby to Stefanik. W przypadku odpowiedzi twierdzącej republikanka zadałaby kolejne pytanie, równie mocno nacechowane emocjonalnie, prawdopodobnie wskazujące na bezczynność władz uczelni. Skoro jest to naruszenie, dlaczego pozwalacie, by wasze bractwa studenckie wzywały do intifady? To jednak wszystko gdybanie, bo Gay i Magill zaczęły kluczyć. Tłumaczyły, że zakwalifikowanie danego okrzyku jako przemocy zależy od kontekstu, że musi być on wielokrotnie powtarzany, a Gay dodała, że „słowa muszą przeistoczyć się w czyny", by stanowiło to naruszenie zasad Harvardu.

Bez względu na merytoryczną ocenę wydarzeń na kampusie i zachowanie władz uczelni – przesłuchania były wizerunkową katastrofą. Do mediów, zwłaszcza społecznościowych, przebiły się głównie te fragmenty nagrań, na których przedstawiciele liberalnych elit wyglądają, jakby po prostu nie umieli nazwać rzeczy po imieniu. Mało kto wgłębiał się w szczegóły i dochodził, czy rzeczywiście ktokolwiek wzywał do ludobójstwa – liczył się brak konkretnej odpowiedzi. I trudno się dziwić takiej reakcji, w końcu pytanie Elise Stefanik mogło być czysto hipotetyczne, a nawet wówczas nie pozostawiałoby wiele przestrzeni do interpretacji. Nie było więc specjalnym zaskoczeniem dla nikogo, że Magill podała się do dymisji niecały tydzień po wystąpieniu przed komisją ds. edukacji w Kongresie. Dużo więcej osób zdziwiło się, że Claudine Gay pozostała na stanowisku.

Im bardziej intensywna była ofensywa Sił Obronnych Izraela w Strefie Gazy, tym głośniejsze były antyizraelskie protesty na amerykańskich uczelniach.

Nie na długo jednak. 2 stycznia br. Gay zrezygnowała, a dzień później na łamach „New York Timesa" opublikowała długi esej, w którym tłumaczyła swoją decyzję. Przyznała, że jej reakcja na wydarzenia po 7 października była niewystarczająca, zabrakło jej zdecydowania, by stanąć „po stronie ludzi o czystym sumieniu". Nie odpierała też specjalnie zarzutów o plagiat w swoich pracach naukowych, zwłaszcza w rozprawie doktorskiej. To kwestia zasługująca na osobne omówienie, bo ataki za akademicką nierzetelność formułowano pod jej adresem długo przed wybuchem antysemityzmu spowodowanym odpowiedzią Izraela na atak Hamasu. Tu jednak obraz się zagęszcza, bo specjalnie powołana w tym celu komisja na Harvardzie nie znalazła żadnych przekonujących dowodów na to, że Claudine Gay coś od kogoś skopiowała bez podania źródła. Owszem, sporo było w jej pracach niedokładności, ale czy za takie niedociągnięcia należy kogoś pozbawiać stanowiska? Tym bardziej że w amerykańskim systemie edukacji wyższej bycie tzw. prezydentem, czyli rektorem uczelni, niewiele ma wspólnego z pracą naukową, to raczej stanowisko menedżerskie, zarządcze. Stosunek do plagiatu w karierze Gay podzielił amerykańskich naukowców i publicystów. Dlatego znacznie ciekawsze jest to, co działo się już po rezygnacji badaczki.

Jej linia obrony była przewidywalna, presję, aby odeszła, ubrała w barwy rasowe, pisząc w „NYT", że ataki na nią to „coś więcej niż branie na cel jednej osoby czy jednego uniwersytetu". Twierdziła, że we współczesnych Stanach nie ma dobrego klimatu dla nauki, a ekspertyza akademicka straciła społeczny prestiż, bo używana jest do partykularnych celów politycznych. Kończyła tekst apelem, by kampusy uniwersyteckie pozostały przestrzenią, w której „studenci mogą wspólnie uczyć się, dzielić doświadczeniami i rosnąć intelektualnie, a nie miejscem, w którym rozgrywają się polityczne wojny zastępcze".

Łapanka na rektora

Reakcje na esej badaczki były dość skrajne, i to z obu stron. Konserwatywny komentator Daniel Drezner, wykładający stosunki międzynarodowe na prestiżowym bostońskim Tufts University, uznał ataki na Gay za politycznie motywowane polowanie na czarownice, bo skoro nie znaleziono żadnych dowodów na plagiat, należało ją zostawić w spokoju. Zwracał też uwagę na problem strukturalny, jaki amerykańskie uczelnie zaczynają mieć z zapewnieniem kadry kierowniczej. Ktokolwiek zajmuje stanowisko rektorskie, pisze Drezner, natychmiast staje się

Szefowie Harvardu, University of Pennsylvania i MIT tłumaczyli się przed Kongresem ze swoich reakcji – lub ich braku – na antysemickie zachowania na kampusach.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

celem medialnej ofensywy, właściwie ze wszystkich stron. Kobiety, osoby pochodzące z mniejszości etnicznych, naukowcy o lewicowych przekonaniach są natychmiast określani przez konserwatywne lobby jako niekompetentni, wywindowani na świecznik nie za dorobek, tylko za tożsamość. Z kolei powrót do lat minionych, kiedy wszystkimi najlepszymi szkołami kierowali biali, heteroseksualni mężczyźni, na dodatek katapultowani tam często z Kongresu czy nawet Białego Domu, to krok wstecz dla progresywnej rewolucji, która na dobre i na złe kontroluje dziś w USA rząd studenckich dusz. Albo więc zdenerwują się konserwatywni sponsorzy, albo lewicująca młodzież. Kiedyś można byłoby z tego powodu zacierać ręce, bo w końcu o to chodzi – żeby uniwersytety były miejscem intelektualnego fermentu, a nawet gniewu. Byleby tylko gniew ten był uargumentowany merytorycznie, a nie stawał się po prostu wyrazem plemiennego oburzenia, w ramach którego krytykuje się wszystko, co nie ma stuprocentowej zgodności narracyjnej i ideologicznej z naszym własnym przekazem. W rezultacie, konkludował Drezner, żeby ściągnąć na stanowisko rektora kogokolwiek o odpowiednim profilu, trzeba będzie mu podnieść pensję, po prostu go przekupić. Co znowu wywoła falę krytyki, najpewniej z obu stron. I koło nienawiści kręcić się będzie dalej, aż w końcu wszyscy zapomną, że na uniwersytecie chodzi nie o pieniądze, lecz o doświadczenia, również te mało komfortowe intelektualnie.

Uczniowie chcą iść na Harvard czy Yale nie z intelektualnej ciekawości, tylko dla prestiżu. Harvard dostaje najlepszych, bo to Harvard, a nie dlatego, że to najlepsza szkoła.

Odmiennego zdania był Tom Nichols z magazynu „The Atlantic", co już samo w sobie jest ciekawe, bo to medium raczej liberalne, a więc można by się spodziewać reakcji odwrotnych. Nichols, który przez lata wykładał na Harvardzie, uznał, że rezygnacja Gay nastąpiła zdecydowanie za późno, bo nieprawidłowości w jej publikacjach akademickich było po prostu zbyt wiele. Wydaje się, że publicysta ganił ją de facto za sumę małych grzechów, które razem wzięte zaważyły na negatywnej opinii. Jego argumentom też trudno odmówić siły i prawdziwości – skoro, pisał Nichols, nakładamy kary na studentów za takie same wykroczenia, hipokryzją byłoby ignorować je u kogoś, kto ma świecić przykładem. Najciekawszy był jednak zarzut naiwności, który autor wystosował pod adresem Gay. Napisał, że nie jest w stanie dobrze się wypowiedzieć o percepcji świata, jaką ma osoba „przyjmująca zaproszenie do dyskusji z kimś takim jak Elise Stefanik", bo takiej dyskusji – a raczej pyskówki – po prostu nie da się wygrać, zwłaszcza kiedy to polityczka kontroluje przebieg spotkania.

Konkluzja tej awantury jest niestety mało pozytywna, bez względu na to, czy ktoś Claudine Gay kibicował, czy chciał jej odejścia. Szybko bowiem środek ciężkości w debacie przesunął się z kwestii izraelsko-palestyńskiej i wolności słowa na dużo szerszy temat – czym dzisiaj są uniwersytety w USA, zwłaszcza te najlepsze. Prawie dwie dekady temu na łamach magazynu „New Yorker" doskonale podsumował to, w sposób niemal profetyczny, kanadyjski antropolog Malcolm Gladwell. W eseju „On Getting In" (ang. O dostawaniu się na uczelnie) rozłożył na czynniki pierwsze różnice pomiędzy elitarnymi szkołami w Wielkiej Brytanii i w USA. Te drugie, zauważał, nie inwestują tak naprawdę w swoich studentów. W procesie selekcji skupiają się na wybraniu nie tych kandydatów, którzy mają największy potencjał dalszego rozwoju, ale tych, którzy gwarantują odniesienie „sukcesu" – tu celowo wziętego w cudzysłów, odnoszącego się bowiem do amerykańskiego rozumienia tego zjawiska. Chodzi zatem o pewność siebie, osiągnięcia w sporcie, charyzmę – niekoniecznie o wyniki w nauce lub gotowość do ciężkiej pracy. Harvard czy Yale, analizował Gladwell, decydują się na takich studentów, bo walczą nie o wybitność, ale o zachowanie statusu marki luksusowej. A potem uczniowie chcą iść na Harvard bądź Yale nie z intelektualnej ciekawości, tylko dla prestiżu. Harvard dostaje najlepszych, bo to Harvard, a nie dlatego, że to najlepsza szkoła. W obecnym klimacie społecznym należy jednak zadać pytanie, jak długo na tym szczycie się utrzyma.

Ktokolwiek zajmuje stanowisko rektorskie, natychmiast staje się celem medialnej ofensywy, właściwie ze wszystkich stron.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Naprawić polską pracę

Nowa władza – nowe nadzieje. W tym przypadku dotyczące naprawy polskiej pracy. Jej stan od dawna budzi poważne zastrzeżenia. Pracownicy najemni stali się ofiarami nader brutalnego systemu społeczno-ekonomicznego. Nikt nie występował w ich obronie. Pozostali sami ze swoimi problemami. Wciąż wprawdzie istniały pewne zabezpieczenia przed niesprawiedliwością i bezlitosnym wyzyskiem, np. Kodeks pracy czy Państwowa Inspekcja Pracy, ale raczej jako wydmuszki, a nie realna siła. Ustalił się amerykański model relacji pracodawca-pracownik – indywidualne porozumienia, w których pracownik nie ma odpowiedniej siły przetargowej, często znajdując się w sytuacji przymusu ekonomicznego. Dziś jego pozycja jest korzystniejsza, ponieważ po okresach ogromnego bezrobocia, które w latach 2001-2002 sięgało 20%, zatrudnienie stało się nieomal pełne. Czy to znaczy, że nie ma już nic do zrobienia w dziedzinie pracy? Nie sądzę.

Po kolei. Najważniejsza sprawa to odejście od dominacji modelu indywidualnych porozumień na linii pracodawca-pracownik i rozwinięcie wzorem krajów skandynawskich czy Niemiec rozległego systemu układów zbiorowych. Tylko one dobrze zabezpieczają interesy pracowników, zdejmując z ich barków ciężar nierównej walki o swoje z pracodawcą, który z reguły jest stroną silniejszą. System ten zapewnia także równą płacę za tę samą pracę, co jest znakiem sprawiedliwości społecznej.

Dalej – niezwykle ważna jest ochrona interesów pracowników przez silne związki zawodowe. Nie przesadzę, jeśli powiem, że w ciągu ostatnich ponad 30 lat wszystkie rządy robiły, co mogły, aby ich pozycję osłabić. Panowała cicha zgoda co do tego, że związki zawodowe są szkodliwe dla gospodarki, egoistyczne i skorumpowane. Tymczasem pracownicy nie mają lepszego narzędzia walki o swoje prawa jak tylko zrzeszanie się w organizacjach chroniących ich interesy, realizujących zasady solidarności, pomocy wzajemnej i wsparcia. Wiadomo o tym od XIX w. Fenomen Polski polega na tym, że przeszliśmy od sytuacji dominacji społecznej i politycznej ogromnego związku zawodowego, jakim była Solidarność, do stanu powszechnej niechęci do związków jako takich. Było i jest tak, że jeśli jakiś pracodawca nie życzy sobie ich istnienia w przedsiębiorstwie, to ich nie będzie. Państwo stanie raczej po jego stronie, a nie po stronie pracowników, którzy chcą wspólnie walczyć o swoje prawa. W tym sensie cofnęliśmy się o sto kilkadziesiąt lat, do początków kapitalizmu.

Postuluję, aby pójść śladem Szwecji i wprowadzić zasadę, że każdy pracownik wraz z dokumentami związanymi z rozpoczęciem pracy otrzymuje deklarację członkostwa w związku zawodowym. Jeśli chce, to ją wypełni, jeśli nie chce, wyrzuci do kosza. Ale niech ma szansę zostać członkiem związku i wie, że on istnieje. W ten sposób położymy również kres idei znanej z samych początków kapitalizmu, że firma jest jak rodzina i pracownicy nie potrzebują żadnych związków zawodowych, bo najlepiej o ich interes troszczy się pracodawca („dobry ojciec"). Bajeczka, która na Zachodzie została wyśmiana już w XIX w., u nas wciąż jest powtarzana z całą powagą. To żenujące.

Kolejna rzecz to położenie kresu uberyzacji gospodarki. Walka z tzw. gig economy, czyli ekonomią fuchy, w ramach której ludzie niezwiązani umowami o pracę realizują jakieś zadania wtedy, gdy te się pojawiają, i pozostają bez pracy, gdy ich nie ma. Nie mają stałych umów, są na tzw. śmieciówkach. Wciąż jest tego w Polsce sporo, o wiele za dużo. Sprawa ta jest elementem szerszej układanki – generalnego obniżenia poczucia bezpieczeństwa pracowników i narodzin klasy tzw. prekariatu. Nowa władza powinna postawić sobie za zadanie naprawę tej sytuacji, także przez eliminację patologicznych i niesprawiedliwych społecznie form samozatrudnienia służących wyłącznie obniżce płaconych podatków (tzw. złote śmieciówki).

I na koniec problem tzw. kultury harówki. Skala zmęczenia pracą polskich pracowników jest rekordowa, podobnie jak statystyki wypalenia zawodowego oraz depresji, których przyczyny tkwią w warunkach pracy. Nie tak dawne badania wykazały, że gigantyczna jest też skala nienawiści do pracy, którą się wykonuje. Coś tu nie gra. Nie każda praca musi być ukochanym zajęciem, to jasne. Ale nie może być tak, że jest w skali masowej czymś znienawidzonym. Sytuacja ta bowiem rzutuje na ogólny dobrostan społeczny, na jakość życia.

Sprawą kluczową byłaby zmiana kultury pracy w Polsce. Z pewnością dokonał się tutaj pewien postęp. Ale wciąż za dużo jest zjawisk negatywnych, takich jak mobbing czy pomiatanie pracownikami („folwarczna kultura pracy"). Dlatego jak najszybciej trzeba poprawić pozycję Państwowej Inspekcji Pracy, również materialną (pensje inspektorów). Pracownicy muszą wiedzieć, że gdy dzieje im się krzywda, nie zostaną sami, ponieważ państwo stanie po ich stronie. Inaczej, niż działo się to przez ostatnie dziesięciolecia, gdy bezwstydnie stawało po stronie silniejszych. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Płacz przy Wrotach Łez

Zakłócenia dostaw wywołane atakami Huti doprowadzą do wzrostu cen żywności, głównie ryżu, herbaty, kawy, mięsa i ryb

Chrystian Ślusarczyk

Wystarczy rzut oka na mapę, by uświadomić sobie, którędy przebiega najkrótsza droga morska z Azji do Europy. Wodny szlak z Chin prowadzi przez cieśninę Bab al-Mandab (arab.: Wrota Łez, Wrota Boleści), prawdopodobnie najważniejsze dziś dla transportu miejsce na świecie, i Morze Czerwone. Droga wokół Afryki oznacza bowiem tysiące dodatkowych kilometrów i dziesiątki straconych dni. Po 7 października 2023 r., gdy Hamas zaatakował Izrael, a dokładniej od listopada ub.r., globalny transport towarów ze wschodu na zachód dostaje ciężkie ciosy. Firmy transportujące paliwa i towary do Europy muszą zadać sobie pytanie, czy warto ryzykować ludzkie życie i zdrowie, by atrakcyjne cenowo dobra dotarły do Europy. Odpowiedź zaś staje się coraz trudniejsza. Powód? Bojownicy Huti, Jemeńczycy (i nie tylko), których działania w cieśninie Bab al-Mandab są wyrazem wsparcia dla walczącego z Izraelem Hamasu. Od wielu już dni marynarki wojenne USA i Wielkiej Brytanii usiłują sobie poradzić z pociskami i dronami, którymi Huti zaskakująco skutecznie atakują statki na „ich wodach".

Kim są Huti?

„Allahu Akbar. Al-maut Amrika, wa al-maut Israil" (Bóg jest wielki, śmierć Ameryce i śmierć Izraelowi". Tak brzmi deklaracja ruchu Huti (Husi), wypisana na zielono-czerwonej tablicy będącej i jego politycznym kredo, i symbolem. Polityczno-militarny ruch skupia plemiona zajdyckie (zbliżona do sunnizmu grupa szyitów) zamieszkujące północ i zachód Jemenu, czyli obszary położone nad cieśniną Bab al-Mandab. Współczesny ruch zajdytów powstał w roku 1994 w regionie Sada. Pierwszym jego przywódcą, od którego wzięła się nazwa organizacji, był Husajn Badreddin al-Huti – Jemeńczyk, który wychował się w Iranie i pozostawał w bliskich stosunkach z ajatollahem Alim Chameneim, najwyższym przywódcą Islamskiej Republiki Iranu. Huti od lat zachowują, a w ostatnim czasie pogłębiają, dobre kontakty z szyickim Iranem.

Przez prawie 20 lat świat o Jemenie wiedział niewiele. Znikoma była też wiedza przeciętnego Europejczyka o pokojowych i dość umiarkowanych działaniach jemeńskich Huti. Nikt nie widział zagrożenia, które mogłoby się zrodzić w tym regionie.

Sytuację zmieniły amerykańska interwencja w Iraku w 2003 r., niezadowolenie z sunnickich władz w Jemenie oraz zamordowanie przez jemeńską bezpiekę Al-Hutiego w 2004 r. Władzę po nim przejmowali kolejno trzej jego bracia. W 2015 r. Huti dokonali zamachu stanu, a ich milicja stała się jedną z najbardziej niebezpiecznych grup bojowych. Do tego stopnia, że niektóre kraje, m.in. Stany Zjednoczone, uznają ruch Huti za organizację terrorystyczną.

Arsenał bojowników

Huti są określani jako ruch antyamerykański i antyizraelski. Sami nie stanowiliby aż takiego zagrożenia. To wsparcie Iranu czyni z nich niezwykle groźnych przeciwników. Ich arsenał jest zaskakująco bogaty i urozmaicony. Oddziały dysponują bronią jeszcze z czasów sowieckich, a także rosyjską, chińską i irańską. Mają samoloty wojskowe oraz rakiety balistyczne i manewrujące średniego i krótkiego zasięgu, jak również drony. Według moskiewskiej gazety „Izwiestija" Huti cały czas utrzymują w gotowości do lotu 14 myśliwców taktycznych MiG-29SMT, które Rosja sprzedała rządowi Jemenu na początku XXI w. Wraz z myśliwcami Federacja Rosyjska przekazała 60 pocisków przeciwokrętowych Ch-31A, przeznaczonych do niszczenia celów chronionych przez systemy obrony powietrznej. Teheran tradycyjnie nie ujawnia liczby ani rodzaju broni przekazywanej swoim sojusznikom, jednak Huti wielokrotnie, m.in. w czasie parad wojskowych, chwalili się nową irańską bronią. Były to np. zbliżone do balistycznych pociski Khalij Fars, zdolne za pomocą głowicy o masie 650 kg razić cele z odległości 300 km. Mają poza tym przeciwokrętowe pociski Ghader o zasięgu 250 km. Huti mogą też wystrzelić pociski z helikoptera Mi-171. Ponadto dysponują bezzałogowymi statkami powietrznymi Samad-1, 2 i 3 z głowicami bojowymi, które są zdolne do lotu na odległość powyżej 1 tys. km. Ich skuteczność świat mógł obserwować w czasie ataku

Cieśnina Bab al-Mandab to prawdopodobnie najważniejsze dziś dla transportu miejsce na świecie.

eprasa.pl ada987d974

Antyizraelska i antyamerykańska demonstracja Huti w Sanie, 19 stycznia 2024 r.

na pole naftowe Shaybah w Arabii Saudyjskiej.

Z kolei siły lądowe to lekkie, zmechanizowane, nieregularne jednostki posiadające artylerię, dość dużą liczbę rakiet przeciwlotniczych, czołgi i bojowe wozy opancerzone. Według różnych źródeł liczebność tych oddziałów waha się od 30 do 60 tys. członków. W szeregach Huti nie brakuje instruktorów z Hezbollahu i irańskiej Gwardii Rewolucyjnej. Eksperci są zgodni co do wysokiej oceny zdolności bojowej Huti.

Bojownicy szczególnie dumni są z porwania pod koniec listopada 2023 r. transportującego samochody statku Galaxy Leader. Przewoził on ładunek z Turcji do Indii. Galaxy Leader jest własnością firmy Ray Shipping Ltd. z siedzibą w Tel Awiwie. Porwany statek szybko stał się… lokalną atrakcją turystyczną. Jemeńczycy podpływają do niego małymi łodziami, wchodzą na pokład, spacerują i robią sobie selfie. Co bardziej agresywni depczą znajdujące się tam flagi USA i Izraela. Z głośników słychać „podnoszące ducha i morale" patriotyczne jemeńskie i palestyńskie pieśni.

Niektóre tankowce płynące do Europy wybierają drogę wokół Afryki. Może to wydłużyć rejs nawet o trzy tygodnie.

W sumie od listopada 2023 r. Huti, solidaryzując się z walczącym z Izraelem Hamasem, przeprowadzili 27 ataków na statki.

Gniew Zachodu, efekty znikome

18 grudnia 2023 r. szef Pentagonu Lloyd Austin ogłosił powstanie morskiej koalicji do zwalczania bojowników Huti, której celem jest ochrona potężnych statków handlowych w rejonie cieśniny Bab al-Mandab i Morza Czerwonego. Zawiązały ją USA i Wielka Brytania, ale na początku stycznia dołączyła do niej Holandia, a 19 stycznia decyzję o wysłaniu okrętu wojennego przeciwko piratom-terrorystom podjęła Belgia. W skład koalicji oficjalnie wchodzi dziewięć krajów (nieoficjalnie jest ich nawet 20). USA wysłały w zapalny rejon Jemenu aż pięć swoich niszczycieli. Na wodach w pobliżu Dżibuti stacjonuje natomiast wielki lotniskowiec Dwight Eisenhower.

Jemeńscy piraci XXI w., spodziewając się, że Zachód skończy z pasywną postawą, już w pierwszych dniach stycznia rozpoczęli wzmacnianie i przegrupowywanie swoich pozycji. Przenoszono broń, stacje radarowe i miejsca startu dronów bojowych. Jak donosił „Times of Israel", Huti przenieśli część swoich rakiet do bunkrów w samym centrum gęsto zaludnionej stolicy Jemenu, Sany.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

Antypiracka koalicja podjęła działania militarne 11 stycznia. W czasie pierwszego ataku zniszczono 21 dronów oraz pocisków manewrujących i balistycznych. 20 stycznia w wyniku tzw. ataku prewencyjnego i amerykańskiego ostrzału zniszczono trzy gotowe do wystrzelenia jemeńskie rakiety przeciwokrętowe. W sumie od 11 do 23 stycznia koalicja dokonała ośmiu ataków na pozycje Huti.

Szybko jednak okazało się, że operacja nie przynosi oczekiwanych efektów. Mało tego, rzecznik bojowników Nasraludin Amir oświadczył, że „po akcji jednostek z napisem »USA« teraz atakować będziemy także statki amerykańskie". A że nie były to czcze pogróżki, świadczyć może atak z 18 stycznia, kiedy Huti wystrzelili dwie rakiety przeciwokrętowe w kierunku amerykańskiego tankowca z grecką załogą.

Jest drogo, będzie drożej

Jak podaje saudyjska stacja Al-Arabijja, wielu światowych armatorów obawia się ataków Huti i cały czas omija rejon Jemenu. Płyną wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki, od 14 do 16 dni dłużej niż krótszym szlakiem przez Wrota Łez. Dla średniej wielkości statku, na który towar załadowany został w Chinach, koszty takiej podróży mogą być wyższe nawet o 1 mln dol.! Agencja Reutera informuje z kolei, że stawki za transport ładunków z Azji (głównie z Chin) do Europy Zachodniej w pierwszym tygodniu stycznia wzrosły dwukrotnie – z 2 do 4 tys. dol. za typowy 12-metrowy kontener. Stawka za transport z Azji do krajów basenu Morza Śródziemnego wynosi już 5175 dol. za taki sam kontener. Jak podaje izraelski portal internetowy „Globes", ataki Huti doprowadziły (po 7 października) do wzrostu cen transportu towarów z Chin do Izraela o ok. 14%. Warto dodać, że część armatorów już zapowiedziała kolejne podwyżki – prawdopodobnie pod koniec stycznia. Jak podaje Agencja Reutera, „ataki Huti poważnie opóźniają dostawy produktów, na które czekają światowi giganci, m.in. IKEA, Amazon czy Walmart".

Problem ten dotknie też tankujących benzynę czy ropę na naszych stacjach. Niektóre tankowce płynące do Europy wybierają drogę wokół Afryki. Może to wydłużyć rejs aż o trzy tygodnie i znacznie podnieść koszty frachtu z Bliskiego i Środkowego Wschodu. W związku z sytuacją w rejonie Jemenu spodziewane są spore podwyżki cen paliwa lotniczego, a co za tym idzie biletów na samoloty.

Jeden ze światowych gigantów specjalizujących się w transporcie towarów drogą morską, firma Maersk, jeszcze przed amerykańsko-brytyjskim atakiem na bojowników Huti zapowiedział powrót na szlak przez cieśninę Bab al-Mandab i Kanał Sueski. Zarząd duńskiej firmy dość odważnie doszedł do wniosku, że działania USA i sojuszników w regionie okażą się na tyle skuteczne, że przepłynięcie wzdłuż wybrzeża Jemenu będzie bezpieczne. Innego zdania jest niemiecki Hapag-Lloyd, także liczący się w branży. W tej firmie uważają, że ryzyko było, jest i wciąż będzie zbyt duże, aby płynąć krótszą (i tańszą) drogą.

Znawcy problematyki bliskowschodniej są przekonani, że wraz ze wzrostem zagrożenia firmy ubezpieczeniowe będą windowały ceny swoich usług. Portal Money.pl cytuje prognozy brytyjskiego Instytutu Eksportu i Handlu Międzynarodowego, według których zakłócenia dostaw związane z sytuacją w rejonie cieśniny Bab al-Mandab doprowadzą do wzrostu cen artykułów żywnościowych, głównie ryżu (cały czas drożeje), herbaty, kawy, mięsa i ryb.

Jak widać, współcześni piraci mimo prób ich wyeliminowania przez anglosaską koalicję mają się całkiem dobrze. I to oni decydują, kiedy, jak, za ile i czy w ogóle świat zachodni cieszyć się będzie dobrami, które płyną ze wschodu. O tym, czy i kiedy w rejonie Bramy Łez będzie bezpiecznie, decyduje sytuacja w Strefie Gazy i konflikt z Hamasem. Niczego dobrego dla nas to nie wróży.

Chrystian Ślusarczyk

Od listopada 2023 r. bojownicy Huti, solidaryzując się z walczącym z Izraelem Hamasem, przeprowadzili 27 ataków na statki.

eprasa.pl ada987d974

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Seryjny ułaskawiacz, czyli wojna masła z margaryną

Kilka dekad temu pracowałem przy dużym programie telewizyjnym w formule talk-show, w którym pierwszą częścią zawsze był jakiś „większy temat". Reprezentowane w nim były trzy strony: tzw. eksperci, „zwykli" ludzie i duża publiczność. Zapamiętałem odcinek, w którym starły się racje producentów masła i margaryny w wyniszczającej wojnie reklamowej. Jedni i drudzy mieli za sobą profesorskie autorytety i badania naukowe na poparcie własnych tez. Nie muszę dodawać, że – nazwijmy go w skrócie – profesor Masło wygłaszał twierdzenia całkowicie odmienne niż zdanie profesora (profesory?) Margaryny. Nikomu oczywiście nie przeszkadzało, że nikt na sali nie miał kompetencji, aby opowiedzieć się po jednej ze stron, a drugą celnie i „po naukowemu" skrytykować. Monologi tłuszczowe poruszały się po dwóch równoległych, nigdzie się nie przecinały. Dialog był czystym pozorem, nie istniała żadna możliwość ustąpienia pod wpływem argumentów, wyników badań, większego autorytetu. Maślano-margarynowy pat w tłustej, czyli doskonałej formie. I wtedy wkraczała publiczność, która wszakże wiedziała jeszcze mniej, i głosowała. Ręka za masłem, ręka za margaryną. Ówczesne moje zdumienie, bezradność wobec niemożności skonfrontowania wizji wedle wspólnych założeń mnie samego wtedy zadziwiały.

Przypomniałem je sobie teraz, kiedy w metafizyczne (czytaj: mroczne, zagmatwane) odmęty pogrąża się „debata" wokół byłych lub wiecznych, z łaski prezydenckiej, posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Strona dzisiejszej – nazwijmy ją – władzy twardo trzyma się konstytucji, gdzie w art. 99 ust. 3 czytamy, że „wybraną do Sejmu lub do Senatu nie może być osoba skazana prawomocnym wyrokiem na karę pozbawienia wolności za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego". A obaj byli szefowie służb zostali w grudniu 2023 r. skazani na karę bezwzględnego więzienia za takie właśnie przestępstwo. I dlatego trafili za kraty 9 stycznia po parogodzinnym azylowaniu się w Pałacu Prezydenckim. W tle całego „sporu" jest jeszcze ułaskawienie lub jego nieudana próba w roku 2015, kiedy Andrzej Duda tak się śpieszył, żeby można było Kamińskiego zaprzysiąc jako ministra, że nie czekał na uprawomocnienie się wyroku.

Prawnicy, autorytety, Sąd Najwyższy, tzw. Trybunał Julii Przyłębskiej (w miejsce Trybunału Konstytucyjnego) przeciągali linę, jak się dało, po paroletniej obstrukcji Sąd Najwyższy przejął inicjatywę i zwrócił sprawę do sądu okręgowego, który ostatecznie w grudniu skazał Wąsika i Kamińskiego prawomocnie, tym samym wygaszając ich mandaty. Pisowska opozycja poczuła w tej historii polityczną krew i bez żadnych skrupułów usiłowała skazanych przywrócić do stanu poselskiego, co miało wsparcie prezydenta Dudy, który w swoich pokracznych formach reakcji prawnych uważał równocześnie, że już skutecznie ich ułaskawił w 2015 r., że teraz ich nie ułaskawi wprost na mocy konstytucji, tylko wszczynając inną procedurę, wymagającą choćby formalnego zaangażowania ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego. Wąsik i Kamiński trafili zatem do cel, gdzie podobno podjęli głodówkę.

W całej baśniowej narracji PiS o losie udręczonych prześladowaniami niezłomnych rycerzy walki z korupcją zniknął oczywiście sąd, który wydał prawomocny wyrok. Stosując interpretację polityki w wydaniu Jarosława Kaczyńskiego, w myśl której za każdą decyzją, którą można by odczytać jako wymierzoną w PiS, stoi Donald Tusk, za winnych uznano właśnie premiera, a także Hołownię i Bodnara. I choć oczywiście Tusk podejmuje decyzje osobiście i bezpośrednio (Kaczyński: „Tusk kazał torturować Kamińskiego poprzez dokarmianie sondą w więzieniu"), to jednocześnie jest sterowany z Niemiec... Ręce nawet nie mają gdzie opaść.

Po wyjściu z zakładów karnych na podstawie decyzji seryjnego ułaskawiacza z Pałacu Prezydenckiego, podczas tournée po prawicowych, propisowskich mediach Kamiński i Wąsik wyglądali jak pączki w maśle, rumiani bardziej niż zwykle i pucułowaci. Żadnego śladu dwutygodniowej głodówki nie sposób było dostrzec. Usłyszeć natomiast można było, że obaj uważają się wciąż za posłów i wracają na Wiejską do pracy, głosowań, immunitetów, apanaży. Ale na czwartkowe posiedzenie nie dotarli. Pogłoski, że przemyci ich do gmachu Sejmu ich łaskawca (udawany, bo realnym jest przecież Kaczyński) Duda, okazały się plotką. Przynajmniej do chwili, kiedy pisałem te słowa.

Czytając dziesiątki tekstów o tej historii, cały czas natykam się na „wojnę poglądów" – profesor Masło swoje, a profesor Margaryna swoje. Oglądamy na gorąco efekty rozmontowania przez PiS konstytucyjnych instytucji: Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego czy prokuratora generalnego. Media lubią taką wojnę. Masło maślane jest przecież nudne i nieseksowne. Tymczasem kolejny mądrala dzieli się tym, co uważa. Każdy uważa coś. Czy taki byt jak państwo polskie jeszcze istnieje? Nawet państwu nie napiszę, co myślę. Polacy wam powiedzą w sondażu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Czy Czesi mają kompleks Polaków?

Młodzi Czesi zdają się oddalać od rodzimego dziedzictwa wartości mieszczańskich

Piotr Kimla

Prawdopodobnie tytuł tego tekstu dla większości Czechów brzmiałby prowokacyjnie. Nie mówią o tym głośno, lecz przecież wielu ma poczucie bycia Słowianami lepszymi od Polaków, bardziej zaawansowanymi cywilizacyjnie. Nie tylko zresztą od Polaków, ale także od Słowaków. Nawiasem mówiąc, młodzi, ambitni Słowacy masowo emigrują do Czech – mogą tam studiować za darmo – a następnie robią wszystko, by nad Wełtawą pozostać. Jest to znaczący zastrzyk sił dla czeskiej gospodarki i kultury, a zarazem drenaż mózgów i poważne osłabienie Słowacji.

Chcąc być sprawiedliwym, wypada się zgodzić, że Czesi mają państwo lepiej zorganizowane niż Polacy, z wciąż wyżej rozwiniętą kulturą materialną. Można jednocześnie wskazywać, nie będąc na bakier z obiektywizmem, że różnice w poziomie kultury materialnej pomiędzy Republiką Czeską a Rzecząpospolitą w ostatnich latach zaczęły nie tylko się zmniejszać, lecz nawet wyraźnie zacierać. Ostrawa – czeskie Katowice – z której niedawno wróciłem, została już za Katowicami w tyle. Nie sądzę, by większość Czechów była świadoma tych zmian – skoku w zakresie kultury materialnej dokonanego przez ich północnych sąsiadów. Aby to wiedzieć, musieliby wykazywać nami większe zainteresowanie. Pytanie, czy są do tego sprzyjające warunki.

Warunki do wzmożonego zainteresowania tym, co się dzieje w kulturze i nauce nad Wisłą, istniały nad Wełtawą przed 1989 r. Czesi złaknieni byli wówczas polskich książek, filmów, publikacji naukowych. W rzeczywistości złaknieni byli wolności. Polska kultura była wówczas dla Czechów atrakcyjna, bo z nią docierał powiew wolności, której w Polsce było więcej. Dzisiaj z tego zainteresowania nie pozostało prawie nic. W pewnym stopniu zdaje się bronić tylko polski film, który czasem gości w czeskiej telewizji.

Heroizm ma wysoką cenę w postaci strat w ludziach i w kulturze materialnej – dla porównania: 6 mln zabitych Polaków, 300 tys. Czechów.

Osobną kwestią byłoby zastanowienie się, dlaczego sąsiadujące ze sobą narody są w gruncie rzeczy mało sobą zainteresowane. Ich los jest przecież powiązany. Sama bliskość geograficzna powoduje, że korzystna koniunktura dla jednego kraju oznacza zazwyczaj dobrą koniunkturę dla drugiego. Nieszczęście jednego odbija się zaś na kondycji drugiego. Wydaje się ponadto, że oba narody mogłyby na intensywniejszych kontaktach zyskać. Wiele się od siebie nauczyć. Wszystko to jednak jest skomplikowane, bo czy czeska kultura mieszczańska lub postmieszczańska pragnie czerpać z polskiej kultury szlacheckiej lub postszlacheckiej (reprezentowanej zresztą przez chłopstwo, jako że większość Polaków ma chłopskie korzenie)? Dlaczego miałaby otwierać się na opozycyjny w niejednym punkcie katalog wartości? Weźmy naturalny egalitaryzm widoczny w obcowaniu Czechów ze sobą oraz częste pośród Polaków próby wywyższania, „puszenia się", używając frazy Witkacego.

A jednak młode pokolenie Czechów zdaje się zdradzać symptomy tęsknoty do heroizmu zrodzonego przez szlachecką, romantyczną, polską kulturę. Można czasem odnieść wrażenie, że nie do końca komfortowo czuje się w dążącej stale do dostosowania się, konformistycznej skórze kultury mieszczańskiej. Tytułowe pytanie odnosi się zatem w największej mierze do młodego pokolenia Czechów. Czy po ponad 80 latach od wybuchu II wojny światowej nie wytworzyło ono w sobie czegoś na kształt kompleksu wobec Polaków? A jeśli w jakimś stopniu tak jest, to co mogło być tego przyczyną? Co sprawia, że młodzi Czesi mentalnie zdają się oddalać od rodzimego dziedzictwa wartości mieszczańskich? Wartości, które uchroniły ich dziadów od niemieckiej eksterminacji, jakiej doświadczyli Polacy? Czyżby uniknięcie pędzenia na mróz, rozstrzeliwań, gazowania w obozach koncentracyjnych i umieranie we własnych łóżkach było dla młodego, rozbudzonego intelektualnie pokolenia Czechów nie źródłem dumy z politycznej roztropności ich przodków, lecz powodem do wstydu?

Czesi i Polacy wobec zagrożenia ze strony III Rzeszy

W dyskusjach z przedstawicielami młodego pokolenia Czechów – kilka interesujących odbyłem na Uniwersytecie Karola w Pradze podczas prowadzonych tam wykładów

eprasa.pl ada987d974

– dawał się zauważyć rodzaj podziwu dla Polaków. Polaków, którzy w obliczu zagrożenia stworzonego przez III Rzeszę nie złożyli broni, lecz przyjęli postawę konfrontacji. Dawał się także zauważyć rodzaj żalu, że Czesi nie zdobyli się na heroizm, lecz ustąpili przed przeważającą i bezwzględną siłą. W oczach młodych Czechów było to przejawem nie rozwagi, ale tchórzostwa. Przyznam, że z dużym zaskoczeniem przyjmowałem opinie studentów, iż postawa Czechów wobec polityki Hitlera była niewłaściwa, że – cytując z pamięci jedną z opinii wyróżniającego się przyszłego politologa – „Polska dziś tak wiele znaczy w świecie, ponieważ Polacy nigdy się nie poddają. Obowiązkiem Czechów było walczyć z Niemcami w 1938 r., tak jak zrobili to Polacy w roku 1939". Mój kontrargument, zmierzający do wyjaśnienia, że jeśli Polska znaczy trochę więcej w dzisiejszym świecie aniżeli Czechy, to dlatego, że jest krajem większym i liczebniejszym, zdawał się nie robić specjalnego wrażenia.

Powyższa wymiana zdań dała mi do myślenia, tym bardziej że i w rozmowie z przedstawicielami świata akademickiego usłyszałem, iż tęsknota za heroicznością na wzór polski nie jest pośród Czechów postawą odosobnioną.

Jeśli istotnie pociąg do heroizmu zagościł w horyzoncie myślowym nade wszystko młodych Czechów, to w jaki sposób go interpretować? Czy to po prostu syndrom walki pokoleniowej, ataku młodych na starych? Atak ten jest zazwyczaj tym zajadlejszy, im dalej od niebezpieczeństwa. Wraz z upływem lat, wraz z oddalaniem się od dramatycznych wydarzeń zmuszających do trudnych wyborów egzystencjalnych wzrasta poziom heroizmu pośród młodych pokoleń. W latach 90. XX w. można to było obserwować we Francji, kiedy ludzie 20-, 30-letni występowali z pretensjami i oskarżeniami pod adresem starszych generacji o kolaborację z Niemcami. W przeświadczeniu naturalnie, że oni sami nigdy nie skalaliby się kolaboracją.

Nasuwa się pytanie, czy w związku z tą tęsknotą pewnej części młodej czeskiej inteligencji do heroizmu można mówić o jakiejś zmianie kulturowej. Zmianie, która podawałaby w wątpliwość mieszczańską, realistyczną tożsamość czeskiej kultury politycznej. Jeśli tak, to czym byłaby spowodowana? Mam pewne hipotezy, które wysunę, choć w trybie mocno przypuszczającym.

Zanim jednak do tego przejdę, warto podkreślić, że czeskie tęsknoty za heroizmem, jeśli są czymś realnym, dobitnie ukazują, że kolaboracja, kapitulanctwo także mają swoją cenę. Generalnie rzecz biorąc, cenę zakwaszenia stosunków w obrębie wspólnoty. Nawet w obrębie tego samego pokolenia, które zna realia z pierwszej ręki, powstają grupy i środowiska, które kwestionują postawę ugody, kolaboracji, ustępowania przed siłą. Pojawiają się niezłomni, którzy domagają się obrony sprawiedliwości za wszelką cenę. Z upływem czasu, gdy obraz sytuacji zaczyna pochodzić z drugiej, a potem z trzeciej ręki, nastrój heroiczny potęguje się, ponieważ z przekazów ulatują niuanse oddające dramatyzm ludzkich wyborów. Decyzje, rozstrzygnięcia zaczynają się jawić jako coś prostego, oczywistego, po manichejsku czarno-białego. Młodzi ludzie dziwią się, dlaczego ich dziadowie przeżywali wahania w sytuacjach, gdy ich zdaniem od początku było widoczne jak na dłoni, gdzie leży dobro, a gdzie zło.

Heroizm rodzi odmienne problemy. Ma rzecz jasna wysoką cenę w postaci strat w ludziach i w kulturze materialnej (dla porównania: 6 mln zabitych Polaków, 300 tys. Czechów). Pokolenie zmuszone do przyjęcia heroicznego boju z przeważającymi siłami i pobite najczęściej przeklina ten heroizm z uwagi na poniesione straty. „Prosty człowiek warczy na »sanację«, przeklina nawet Starzyńskiego", pisze o mieszkańcach Warszawy po kapitulacji stolicy we wrześniu 1939 r. Ferdynand Goetel („Czasy wojny", s. 15). Im bardziej jednak oddalamy się czasowo od klęski, tym samopoczucie następnych generacji się poprawia. Przestają one myśleć o skrzywdzonych ludziach, bo ci nie byli im znani. Przestają myśleć o utraconych, zdewastowanych skarbach kultury materialnej, bo z nimi nie obcowały. Przestają się zastanawiać, ilu np. obywateli polskich żydowskiego pochodzenia byłoby dzisiaj laureatami Nagrody Nobla, gdyby nie zostali zagazowani w obozach koncentracyjnych, rozstrzelani na ulicach czy uśmierceni w inny sposób. I że gdyby nie II wojna światowa, byłoby dziś na świecie więcej Polaków niż Niemców. Te straty przestają być odczuwane, uświadamiane sobie. Pozostaje natomiast słodycz i nimb heroizmu. Nie zmienia tego fakt, że ów heroizm jest jedynie stereotypem. Jak ujął rzecz angielski powieściopisarz i poeta George Meredith, „żaden naród nie istnieje mocą tych cech, za które kocha się go po śmierci" (cytuję za „Idee i ludzie. Próba autobiografii" nieocenionego Andrzeja Walickiego). Meredith pragnie udobitnić, że nie istnieją narody herosów. Także Polacy takiego narodu nie tworzą. Poszczególni ludzie mogą w określonych okolicznościach zachować się heroicznie z pobudek religijnych, patriotycznych i nie wiem jeszcze jakich. W obrębie większości zwycięża jednak zawsze duch kolaboracji, dostosowania się, konformizmu.

Czeska klasa polityczna świetnie rozumiała, że sympatia zachodniej opinii publicznej nie zda się na nic w obliczu realnego, wojennego zagrożenia.

Stworzyliśmy mit naszego powszechnego bohaterstwa i jesteśmy zdumieni, że nie wszyscy chcą w niego wierzyć bez zastrzeżeń.

eprasa.pl ada987d974

Te słowa mają w języku polskim wybitnie pejoratywny wydźwięk, lecz przyjmując polityczny punkt widzenia, nie trzeba ich wartościować, tylko spokojnie pogodzić się z tym faktem.

Czeska i polska postawa w czasie II wojny z perspektywy realistycznej

Patrząc przez pryzmat politycznego realizmu, Czesi w obliczu zagrożenia ze strony Hitlera zachowali się jak najbardziej prawidłowo. Czeskie elity, rozumiejąc, że polityka nie jest pojedynkiem rycerskim, lecz działaniami, od których zależy ostatecznie życie lub śmierć setek tysięcy, a może nawet milionów obywateli, postanowili ustąpić przed miażdżącą przewagą przeciwnika. Ustąpili, orientując się doskonale, że Zachód nie zrobi nic, by im pomóc. Warto jednocześnie nadmienić, że w międzywojniu Czechosłowacja cieszyła się na Zachodzie o wiele większą sympatią aniżeli Polska. A jednak czeska klasa polityczna świetnie rozumiała, że sympatia zachodniej opinii publicznej nie zda się na nic w obliczu realnego, wojennego zagrożenia. Poprawnie odczytywała prawa statyki politycznej i kapitulowała przed przeważającą siłą. Znalazła swojego Quislinga, który przeprowadził Czechów przez okres wojny z czeskimi szkołami, gazetami, praktycznie nienaruszoną kulturą materialną. George F. Kennan – jeden nielicznych zachodnich dyplomatów, którzy z bliska obserwowali wydarzenia w Czechosłowacji w latach 1938-1939 – nie miał wątpliwości, że skapitulowanie, dostosowanie się do narzuconej siłą sytuacji „uchroniło i usposobiło do przyszłych wielkich zadań wspaniałą młodszą generację – zdyscyplinowaną, pracowitą, sprawną fizycznie – która bez wątpienia zostałaby poświęcona, gdyby przyjęto romantyczne rozwiązanie beznadziejnego oporu, a nie upokarzające, lecz prawdziwie heroiczne, realistyczne wyjście z sytuacji" („Memoirs 1925-1950", s. 95). To godne podkreślenia, że dla Kennana – realisty politycznego – heroizm wiąże się nie z wyprowadzeniem na rzeź setek tysięcy własnych obywateli, lecz z przyjęciem przez polityka odium zdrajcy, zaprzańca. Wszystko w imię ochrony substancji biologicznej narodu – jak lubią mówić konserwatyści. Oto prawdziwie trudne zadanie ukazujące surowe wymogi, ale i wielkość polityki. Przychodzi w tym kontekście na myśl postać Philippe'a Pétaina i jego słynne zdanie, wypowiedziane w przemówieniu do Francuzów: „Składam swą osobę Francji w ofierze, celem pomniejszenia jej cierpień".

Tymczasem Polacy, jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz, zrobili wszystko, żeby mieć dobrą, heroiczną propagandę. „Nie mieliśmy Quislinga, mordowani byliśmy przez Niemców rekordowo, spaliliśmy Warszawę, otworzyliśmy Sowietom bramy Wilna. Armia Krajowa była przednią strażą wojsk sowieckich, które wkraczały do Polski, aby ją uciemiężyć, innym słowy, dla dobrej propagandy przestępowaliśmy przez próg domu wariatów". Naturalnie, jak na możliwości pobitego narodu, polski wysiłek wojenny był bardzo duży. Nie ten wysiłek jednakże przesądził o wyniku wojny. Jej losy rozstrzygnęły się w starciu dywizji pancernych i lotnictwa, pancerników, krążowników i okrętów podwodnych. Innymi słowy, w starciach nowoczesnej broni, w której posiadaniu – jako państwo pobite – nie byliśmy, o ile nie przekazali jej nam sojusznicy. Jednocześnie stworzyliśmy mit naszego powszechnego bohaterstwa i jesteśmy nieraz zdumieni, że nie wszyscy chcą w ten mit bohaterstwa polskiego narodu wierzyć bez zastrzeżeń.

Przyczyny rozbratu młodych Czechów z realizmem

Wydaje się, że wpływ na tęsknotę jakiejś części młodych Czechów za bohaterstwem przesiąkniętym romantyzmem wywiera współczesna kultura masowa. Bajkowo-romantyczni bohaterowie amerykańskiego kina dostarczają w jakiejś mierze wzorców postaw i zachowań młodym Europejczykom, w tym Czechom. W świecie filmu heroiczny wybór sprawiedliwości, dobra i piękna nie wiąże się z ponoszeniem przykrych konsekwencji, niekiedy przez resztę życia i nie tylko przez samego bohatera, lecz także przez jego otoczenie. W filmie kłopoty zazwyczaj dość szybko się kończą, władze państwowe pojmują i naprawiają swój błąd, społeczność otacza bohatera głębokim szacunkiem. Oto nagroda za niezłomną obronę sprawiedliwości, dobra i piękna. Daleki byłbym od podważania sensowności kręcenia tego typu dydaktycznych opowieści, świetnie zagranych i opakowanych we wszelkie efekty, na jakie pozwala współczesna technika filmowa. Nie zmienia to jednak faktu, że są to przede wszystkim powiastki dydaktyczne, które, jeśli odzwierciedlają rzeczywistość, to w bardzo luźny sposób.

Dlaczego sąsiadujące ze sobą narody są w gruncie rzeczy mało sobą zainteresowane?

Drugie źródło rozbratu z realizmem i tęsknoty za heroicznością pośród młodego pokolenia Czechów widziałbym w postaci Václava Havla. Prezydent Czechosłowacji w latach 1989-1992 oraz Republiki Czeskiej w latach 1993-2003 przez 13 lat wywierał wpływ na społeczno-polityczno-kulturalne życie Czechów, pełniąc najwyższą funkcję państwową. Ale przecież jego oddziaływanie w społeczeństwie istniało (chociażby poprzez takie książki jak „Listy do Olgi" wydane potajemnie w Czechosłowacji oraz „Largo desolato"), zanim stał się najwyższym dostojnikiem państwowym. Zbiór wartości, który uosabia Havel, najlepiej odzwierciedla może jego esej „Siła bezsilnych". Sygnatariusz i główny rzecznik Karty 77 dowodzi w nim, że poprzez „życie w prawdzie" obywatele są w stanie obalić dyktatorski system bez uciekania się do przemocy.

Piotr Kimla

eprasa.pl ada987d974

Błazen w Davos

Prezydent Argentyny ze swoimi pomysłami znalazł w mekce kapitalistów przyjazną publikę

Jakub Dymek

Prezydent Argentyny Javier Milei miał w Davos „zaorać socjalizm" i globalizm.

Javier Milei, „anarchokapitalistyczny" prezydent Argentyny, zawitał do Davos – na doroczną imprezę globalnych elit – a polska prawica zachłysnęła się z zachwytu. Milei, znany z pozowania z piłą mechaniczną i wyzywania oponentów od „komuchów", miał w Davos „zaorać socjalizm". Ciekawy wybór okoliczności, bo szwajcarski kurort to chyba ostatnie miejsce, gdzie można się natknąć na socjalistów. Mówimy wszak o imprezie sponsorowanej przez BlackRock, BP, Bain Capital, Bayera i radę biznesu Królestwa Bahrajnu (a zauważmy, że wymieniłem tylko sponsorów na literę b). Pomysł, że tu właśnie wykuwa się bunt przeciwko globalnym korporacjom, jest co najmniej ekstrawagancki.

Ta sprzeczność nie zagłuszyła jednak burzy oklasków zgotowanej prezydentowi Argentyny przez polską prawicę po jego wystąpieniu. „Argentyńskim lwem", który „nie boi się iść pod prąd całemu światu" i pod którego rządami Argentyna stanie się „globalnym przykładem sukcesu", nazywa go Warsaw Enterprise Institute. Łukasz Warzecha pisze na stronach Forum Polskiej Gospodarki, że Argentyńczykom można „pozazdrościć" przywódcy. Janusz Korwin-Mikke chwali i dodaje, „że od 60 lat mówił to samo, w tym samym stylu i tą samą manierą". To prawda.

Milei dostał od organizatorów spotkania w Davos okazję wygłoszenia „wystąpienia specjalnego" do zgromadzonej publiczności. I było ono w rzeczy samej specjalne – lecz chyba nie w tym sensie, w jakim widzą to polscy piewcy argentyńskiego prezydenta. Była to bowiem kondensacja wszystkich libertariańskich hitów, swoiste *the best of* ostatniego półwiecza mącenia w głowach przez ekonomiczny i polityczny margines.

Argentyńczycy nie będą sprawowali kontroli nad podażą pieniądza, kosztem kredytu, stopami procentowymi i kursem waluty – będą to robili za nich Amerykanie.

Mogliśmy więc usłyszeć tradycyjne złote myśli, że podatki to kradzież, rynek nigdy się nie myli, a wszelkie próby regulowania gospodarki prowadzą na manowce. Dalej jednak robi się ciekawiej. Wszystkie – cytuję wprost argumenty prezydenta – systemy polityczne poza jego własnym to „komunizm". „Nie ma zasadniczych różnic pomiędzy faszyzmem, chadecją, nacjonalizmem, socjaldemokracją, komunizmem i nacjonalizmem, a także narodowym socjalizmem, progresywizmem i globalizmem", głosił Milei.

„Wszystkie twierdzą, że państwo powinno kontrolować wszystkie aspekty życia jednostek", precyzuje Argentyńczyk. Narzędziami totalnej kontroli i ucisku są m.in. „drukowanie pieniędzy, dług, kontrola stóp procentowych". Słowem, sam fakt, że państwo istnieje, ma własną walutę i kontroluje mechanizm emisji pieniądza oraz ustalanie stóp procentowych, świadczy o tym, że jest to państwo socjalistyczne/komunistyczne, ergo niemoralne i sprzeczne z jedynym godnym człowieka porządkiem.

Co warte dodania, Javier Milei jest zaskakująco konsekwentny w swoich przekonaniach. Jak przystało na kogoś, kto uważa idee banku centralnego i własnej waluty za komunistyczne i niemoralne – jest za zlikwidowaniem jednego i drugiego. W Argentynie jego marzeń i planów oficjalną walutą powinien być dolar,

FOT. WORLD ECONOMIC FORUM/BENEDIKT VON LOEBELL

eprasa.pl ada987d974

a bank centralny nie powinien istnieć wcale. Jak rozumiemy, większą wolność od „komunizmu" ma zapewnić Argentyńczykom fakt, że nie będą sami sprawowali kontroli nad podażą pieniądza, kosztem kredytu, stopami procentowymi i kursem waluty – będą to robili za nich Amerykanie.

Ale za łatwo byłoby zbyć to wystąpienie stwierdzeniem, że prezydent Argentyny to sekciarz, a jego wykład jest dowodem obłędu albo szaleńczej odwagi w mówieniu tez niepopularnych. Milei rzeczywiście wyjaskrawił swoje tezy, by wstrząsnąć zgromadzonymi w szwajcarskim kurorcie politykami, szefami funduszy inwestycyjnych i reprezentacją arabskich szejków. Nie „zmasakrował socjalistów" – bo żadnych tam nie było – lecz pracował na laurkę u sponsorów i ewentualnych patronów jego politycznego projektu.

Ów wykład o złu państwowej ingerencji i dobrodziejstwach nieskrępowanego kapitalizmu był przecież zachętą dla globalnych funduszy i wielkich korporacji, by poparły jego plan – nawet jeśli argentyńskie społeczeństwo będzie protestować przeciwko niemu na ulicach, a większość parlamentarna nie podniesie ręki za jego reformami. A to właśnie się dzieje – Milei i wspierające go partie próbują ograniczyć prawo do protestu, podczas gdy związki zawodowe zaczynają właśnie protest w stolicy. Milei próbuje wprowadzić swój plan za jednym zamachem, zanim zorganizuje się opozycja wobec niego. W takich okolicznościach – gdy w Argentynie nakręca się hiperinflacja, rodzi społeczny opór, a z większością parlamentarną dla jego pomysłów jest krucho – Milei wygłaszał swój „antykomunistyczny" manifest.

Wystąpienie prezydenta Argentyny w Davos pokazuje, że globalistyczne elity są gotowe wchłonąć tego rodzaju „bunt" i „radykalizm" – Javier Milei jest bowiem dla reprezentowanego w Davos porządku nie przeciwnikiem, lecz użytecznym narzędziem.

Z punktu widzenia wielkich funduszy, ponadnarodowego kapitału i akolitów globalizacji bez granic Milei może dowolnie pomstować na „globalne elity" – ważne, żeby w ich interesie łamał opór świata pracy, prywatyzował majątek narodowy i ułatwiał życie wielkim korporacjom. Reszta to dekoracja, która ma stworzyć wrażenie egzotyki i odwracać uwagę od treści jego programu – a ten musi się podobać elitom w Davos, tak jak podobał się im każdy inny program wyprzedaży państwowych przedsiębiorstw i prywatyzacji usług publicznych w Ameryce Południowej.

Różnica jest taka, że dziś wprowadzający te rozwiązania ma wprawdzie fryzurę wilkołaka, ale już nie mundur pułkownika czy brunatną koszulę – więc łatwiej go sprzedać. A w Davos szuka kogoś, kto go kupi. W Polsce zaś część prawicy bije temu brawo i domaga się podobnej polityki w naszym kraju. Czasami zresztą porównując Argentyńczyka do Balcerowicza. Ironia polega na tym, że gdyby ktokolwiek wprowadził u nas podobne rozwiązania, Polska nie byłaby w tym miejscu, w którym jest – lecz raczej w roli kolejnej Ukrainy.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Ulica i zagranica nie pomogą PiS

Partia Kaczyńskiego zaczyna wyglądać jak parodia formacji Tuska rodem z pasków w dawnym TVP Info

Marcin Giełzak

Powiadają, że prawdziwy dziennikarz to człowiek, który potrafi wytłumaczyć rzecz, której sam nie rozumie. Ja muszę przyznać, że nie pojmuję, dlaczego Jarosław Kaczyński uznał, że najlepszą formułą bycia w opozycji wobec rządu Donalda Tuska będzie ta, którą zwykło się nazywać „ulica i zagranica". Innymi słowy, PiS chce kopiować to, co samo uważało za najgorsze praktyki w czasach, gdy na czele opozycji stali kolejni liderzy obozu liberalnego. Moje zdziwienie jest tym większe, że najtęższe umysły prawicy muszą być świadome, że lider Koalicji Obywatelskiej odniósł sukces nie dlatego, że stosował metody, które podpowiadaliby mu Mateusz Kijowski i Marta Lempart, usłużni dziennikarze albo nadgorliwi celebryci, ale właśnie dlatego, że przyjął do wiadomości, że aby pokonać PiS, trzeba najpierw uznać prawdę PiS. Obecny premier wie, że jest następcą nie Ewy Kopacz, ale Mateusza Morawieckiego, i nie ma problemu z kontynuowaniem rozbudowy instytucji państwa opiekuńczego, utrzymaniem zwiększonych nakładów na wojsko, pilnowaniem po staremu granicy, a nawet odbudowywaniem pałacu Saskiego. PiS tymczasem zachowuje się tak, jak gdyby nie wyciągnęło żadnych wniosków z przegranych wyborów. Nie wydaje się też, aby szczególnie dużo refleksji poświęciło opracowaniu taktyki zdobywania serc i umysłów zagranicznych przywódców oraz liderów opinii. Dla postronnego obserwatora jest przecież jasne, że poddawana przez lata miękkiej haideryzacji polska prawica nie zdoła zniechęcić kontynentalnego establishmentu medialno-politycznego do osoby byłego przewodniczącego Rady Europejskiej i szefa Europejskiej Partii Ludowej. Równie naiwne jest przekonanie, że da się rozpalić żywą społeczną emocję wokół uwolnienia niezbyt lubianych ministrów Kamińskiego i Wąsika; nieufni wobec partyjnych notabli Polacy nie dali się przekonać, że polityk w więzieniu równa się więźniowi politycznemu. Nie pomoże tu nawet opozycyjna legenda obydwu polityków z czasów PRL. O ile bowiem nie da się zaprzeczyć, że dzięki odwadze i poświęceniu zbudowali oni wtedy wielki kapitał społeczny, o tyle nie sposób uniknąć wrażenia, że w III RP rozmienili ten kapitał na drobne. Poza tym nawet mało zorientowany obywatel wiedział, że wolność mógł im zwrócić w dowolnej chwili – i w końcu zwrócił – prezydent Andrzej Duda.

Cena przesady

Z faktu, że starania te nie wywołują skutków pożądanych przez dzisiejszą opozycję, nie wynika jednak, że nie sprowokują one efektów wysoce niepożądanych z punktu widzenia interesu państwa. Z łatwością mogę sobie wyobrazić europejskiego polityka, który będzie przekonywał, że wydatki na wspólnotowe projekty UE należy odchudzić, bo pieniądze wydane na niestabilną, niepraworządną, nieprzewidywalną Polskę to pieniądze zmarnowane. Podobnie amerykański kandydat na prezydenta może utrzymywać, że absurdem jest ponosić realne koszty bronienia przed rosyjską dominacją narodu, który mentalnie i instytucjonalnie bardziej przypomina *russkij mir* aniżeli świat zachodni. Także zagraniczni inwestorzy zaczną sobie zadawać pytanie, czy warto lokować kapitał albo budować fabrykę w kraju, w którym nie jest jasne, kto wydał wyrok w kluczowej sprawie: sędzia czy neosędzia, czy dana ustawa na pewno obowiązuje, czy jest wzruszalna. Jak wreszcie można poważnie traktować państwo, którego prezydent wykorzystuje rozmowy na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos do przekonywania najbardziej wpływowych ludzi na świecie, aby nie myśleli o jego kraju jako o stabilnej demokracji liberalnej i państwie prawa?

By pojąć, z jak dziwaczną sytuacją mamy do czynienia, zadajmy pytanie, czy umiemy sobie wyobrazić Emmanuela Macrona, który pisze listy do przywódców zagranicznych, aby zwrócić ich uwagę na wewnętrzne problemy prawno-ustrojowe Francji? A może mieści nam się w głowie Frank-Walter Steinmeier, który łapie na korytarzu premiera Belgii lub prezydenta Rumunii, aby uświadomić ich w kwestii tego, jak źle się mają sprawy u niemieckiego nadawcy publicznego? Względnie czy wolno nam pofantazjować o brytyjskim ministrze edukacji, który zaprasza Elona Muska, aby odwiedził w więzieniu dwóch posłów zatrzymanych za przekroczenie uprawnień, jak gdyby najbogatszy człowiek na świecie był tym żywo zainteresowany, a głównymi bohaterami całej sprawy byli Nelson Mandela i Václav Havel? Mało tego, jeśli prawdą jest, że pierwotnym zamiarem było przetrzymanie ministrów dwa dni w Pałacu Prezydenckim, a następnie

Ile czasu i pieniędzy będziemy potrzebować, aby Rzeczpospolita przestała być postrzegana jako republika bananowa bez bananów?

eprasa.pl ada987d974

posłanie ich na pisowski marsz, aby to na nim zostali aresztowani, to musimy dojść do wniosku, że prezes Kaczyński uruchamia procesy, nad którymi niebawem nikt, nawet on sam, nie będzie w stanie zapanować. Nietrudno sobie wyobrazić, że tłum stanąłby w obronie Kamińskiego i Wąsika. Moglibyśmy oglądać, w polskich i światowych mediach, sceny prawdziwie dantejskie. Regularna bitwa uliczna z udziałem wiodących polityków to obrazki, które kojarzymy raczej z Trzecim Światem niż z sercem Europy. Nie wspominam już o tym, że tworzenie wrażenia, że Polska jest państwem dysfunkcjonalnym i nie do końca poważnym, nie buduje wśród jej obywateli przekonania, że warto na to państwo płacić podatki czy ponosić dla jego dobra wyrzeczenia. Niebawem zresztą czekać może nas inna szarpanina: Kamińskiego i Wąsika ze strażą marszałkowską. Mamy bowiem rozbieżne interpretacje w sprawie tego, czy ich mandaty poselskie wygasły i czy mogą oni wrócić do normalnej pracy w Sejmie.

Nawet najpotężniejsze mocarstwa i najbrutalniejsze reżimy dbają o swoją reputację i wizerunek. Rządy wykupują usługi agencji PR, fundują instytuty, łożą na promocję swojej kultury, inwestują w sport, tworzą własne anglojęzyczne media, aby wzmacniać swój przekaz, słowem nie szczędzą wydatków na działania z zakresu dyplomacji publicznej. Ile my będziemy potrzebować czasu i pieniędzy, aby Rzeczpospolita przestała być postrzegana jako republika bananowa bez bananów? Upór PiS przy tym, aby umiędzynarodowić nasz wewnątrzkrajowy spór polityczny, jest działaniem skierowanym nie przeciw rządowi i jego dyskusyjnym decyzjom, ale przeciw państwu i jego żywotnym interesom. Prezes gotów jest zapłacić tę cenę w imieniu nas wszystkich, choć zarówno „ulica", jak i „zagranica" pozostają głuche na jego apele. Postawa Kaczyńskiego to – parafrazując Winstona Churchilla – zagadka opakowana w tajemnicę, ukryta we wnętrzu enigmy. Ale być może istnieje do niej klucz. Tym kluczem jest słowo partia.

Najpierw prawica, potem Polska

O ile zatem ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że nie da się przekonać euroatlantyckiego i krajowego głównego nurtu, że od 15 października żyjemy pod okupacją wewnętrzną, o tyle najtwardszego elektoratu PiS przekonywać nie trzeba – on już w to wierzy. W jego oczach partia Jarosława Kaczyńskiego pozostaje dzielną opozycją, nawet kiedy jest u władzy, bo sama musi odpierać ataki przeważających sił Niemiec i Rosji, amerykańskiej ambasady i kalifornijskich korporacji, lewicowych liberałów i libertyńskiej lewicy, UE i LGBT. Prezesa uświęca opór przeciw nowoczesnemu światu, nawet jeśli wydaje polecenia z kancelarii premiera czy zasiadając na stolcu na Nowogrodzkiej. Dla wiernych wyborców jest on kimś w rodzaju prymasa Wyszyńskiego uwięzionego w Komańczy; jego opór dodaje im sił. Charyzma Kaczyńskiego w istocie bardziej przypomina tę właściwą duchownemu niż politykowi. Kalkuluje on jednak jak typowy polityk i z wyliczeń tych musi mu wychodzić jedno: jeśli PiS ma przetrwać, to musi się oprzeć na lojalnych kadrach i żelaznym elektoracie.

Kierowana twardą ręką Donalda Tuska była opozycja wyraźnie się konsoliduje. Lewica (minus Razem) najpewniej pójdzie do wyborów samorządowych wspólnie z Platformą Obywatelską, wyrzekając się tym samym resztek autonomii. Trzecia Droga, żyrując bezwzględne przejęcie TVP, dała się „umoczyć w praworządność" i nie będzie już mogła zajmować wygodnej pozycji symetryzującego stronnictwa, które na równi potępia ekscesy władzy PiS, jak i PO, samemu stanowiąc centrową alternatywę względem wszelkich skrajności. Równoległy proces obserwujemy jednak na opozycji obecnej: rekonsolidację obozu Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Kaczyński zdaje się wierzyć, że „dediabolizacja" jego stronnictwa byłaby wstępem do jego dekompozycji. Innymi słowy, jeśli pozwoli na wyjęcie cegły z muru, to mur niechybnie się zawali. A prezes nie ma ochoty zostać Gorbaczowem polskiej prawicy. Oto cały paradoks stratega z Żoliborza: o państwie myśli on w kategoriach krótkoterminowych, taktycznych, dojutrkowych, politykę i losy partii rozważa zaś z perspektywy przyszłych dekad.

Nie wolno też bagatelizować faktu, że najtrudniej utrzymać dyscyplinę w armii, która przegrywa. Dla Kaczyńskiego jest to wyzwanie tym większe, że za chwilę problemem będą żołd i aprowizacja: PiS jak żadna inna partia władzy było przecież zależne od państwowego skarbca. Mało tego, jak wykazałem powyżej, nawet najbardziej lojalni mogą mieć wątpliwości, czy wódz wie, dokąd tę nadwątloną armię prowadzi. Zanoszenie skarg pisanych w obcych językach przed niewidzialne trybunały, obrona notabli, których można zwyczajnie ułaskawić – wszystko to wygląda raczej jak rozpaczliwa próba znalezienia punktu odbicia niż jak realizowany z żelazną konsekwencją, dawno przygotowany plan. Jak już bywało w przeszłości tej partii, kiedy moment jest niełatwy, następuje zaostrzenie retoryki i postulatów. To swoista próba

Jarosław Kaczyński boi się powiedzieć: „Niech się spiera tysiąc szkół", bo za chwilę może mieć tysiąc kandydatów na następcę.

W oblężonej twierdzy nie ma czasu ani miejsca na dyskusje. Kto zacznie zadawać pytania, ten zakwestionuje swoją przyszłość w PiS.

eprasa.pl ada987d974

lojalności wobec formacji i jej szefa: dla kogo ów skręt w prawo jest zbyt ostry, ten musi na zakręcie wypaść. Szef obecnej opozycji boi się powiedzieć: „Niech się spiera tysiąc szkół", bo za chwilę może mieć tysiąc kandydatów na swojego następcę. Trauma lat 90. uczy, że z przekonania, iż każdy poseł, który przyswoił sobie katolicko-narodowy frazes, nosi w plecaku buławę marszałka Piłsudskiego, nic dobrego dla prawicy nie wynikło. W oblężonej twierdzy nie ma czasu ani miejsca na dyskusje. Kto zacznie zadawać pytania, ten zakwestionuje swoją przyszłość w PiS. Wyświechtany bon mot, który powstał w nowojorskich trzewiach Partii Demokratycznej w połowie XIX stulecia, że lepiej stracić kontrolę nad państwem niż nad partią, tutaj sprawdza się stuprocentowo. Kto przegrał ostatnie wybory, ten może wygrać kolejne, ale ten, kto przegra partię, nie ma po co do następnej elekcji stawać.

Innej opozycji nie będzie

„Silny rząd rządzi krajem, silna opozycja rządzi rządem", stwierdził swego czasu Alberto Moravia. Włoski pisarz wiedział, co mówi – zręczny polityk, nawet wysadzony z fotela premiera, nadal będzie w stanie narzucać tematy, określać obszary sporu, brylować w mediach, mobilizować tłumy. Sam fakt, że patrzy ministrom na ręce, ma sprawiać, że niejednemu ręka zadrży, zanim podejmie decyzję niepopularną, niemądrą czy nielegalną. I odwrotnie – czasem władza musi wykonać krok, na który nie ma ochoty, tylko po to, aby uciszyć lub uprzedzić opozycyjną krytykę.

W świecie idealnym PiS mogłoby uznać klęskę wyborczą za swoiste szczęście w przebraniu, szansę na „odrodzenie w upadku". Kurs na totalną polaryzację zniweczył zdolność koalicyjną partii Kaczyńskiego, uniemożliwił jej powalczenie o centrowych czy choćby centroprawicowych wyborców i grę na rozbicie opozycji np. poprzez zachowanie poprawnych relacji z PSL. Postawienie na zepchnięcie Konfederacji pod próg również okazało się błędem – zyskali na tym przeciwnicy PiS. Zaprzepaszczono też szansę na stworzenie koalicjanta na prawo od prawicy. Zamiast bowiem anektować partię Kukiza, można było ją zachować jako alianta przyciągającego nieco odmienny elektorat. Wszystkie te niepowodzenia miały wspólny mianownik: radykalizację przekazu w imię polaryzacji politycznej. Porażka tej linii mogłaby posłużyć za pretekst do osłabienia wpływu „zakonu PC" i twardogłowych, jednocześnie dając szansę młodszym, bardziej umiarkowanym i technokratycznym działaczom. Takie kadry byłyby lepiej predestynowane do tego, aby kompetentnie recenzować politykę rządu oraz proponować rozumną alternatywę. Mogłyby one także dokonać otwarcia na inne środowiska, zarówno wśród wyborców, jak i partnerów politycznych. Delikatny rebranding formacji byłby też użytecznym zabiegiem socjotechnicznym, pozwalałby zdystansować się wobec nadużyć ostatnich ośmiu lat. Wydaje się jednak, że PiS będzie trwało przy błędach, które sprawiły, że nie było w stanie utrzymać się u władzy. Straci na tym nie tylko partia Jarosława Kaczyńskiego, ale również nasza demokracja.

Marcin Giełzak

Bon mot, że lepiej stracić kontrolę nad państwem niż nad partią, tutaj sprawdza się stuprocentowo.

„Boże, coś Polskę..." pod więzieniem

Tę pełną wzniosłości pieśń religijną i patriotyczną zapamiętałem jako kilkuletni chłopiec z katedry łomżyńskiej. Był początek 1945 r., dopiero co wróciliśmy do zniszczonego miasta po przejściu frontu. Wiara w moc tej pieśni, śpiewanej z wielkim przejęciem przez umęczony okupacją tłum, była niezwykła i przez to – do tej pory – wyznacza ona dla mnie poziom powagi danego momentu. Potem jeszcze kilkakrotnie miały w naszym kraju miejsce ważne i wzniosłe wydarzenia, kiedy „Boże, coś Polskę..." w podniosłym duchu śpiewaliśmy w kościołach.

Ale po raz pierwszy tę wspaniałą pieśń usłyszałem pod murami więziennymi, zaintonowaną przez tłum w obronie przestępców odsiadujących wyroki sądowe. Wielotysięczny Marsz Wolnych Polaków z 11 stycznia szedł ulicami Warszawy pod gmach Telewizyjnej Agencji Informacyjnej z pieśnią „Ciebie, Boga wysławiamy". Tłum nienawistny, ale z krzyżem i biało-czerwonymi flagami. PiS, zawłaszczając poszczególne dziedziny życia społecznego, przejęło także – przy bierności, a często poparciu episkopatu – monopol na wiarę. Uświęcone tradycją pieśni kościelne i modlitwy stały się narzędziami w walce politycznej przeciw Koalicji 15 Października utworzonej z woli wyborców.

Sięganie do wiary w Boga w „obronie" utraconej stacji propagandowej i prawomocnie skazanych urzędników państwowych – czy można upaść niżej? I dlaczego aktywiści partii wykorzystują te głęboko zakorzenione w naszej tradycji pieśni religijne do otumanienia pisowskiego ludu? Może lepiej byłoby zapoznać się z 11 tomami tajnych akt Wąsika i Kamińskiego, dać spokój Bogu, a pomodlić się w skupieniu za kolegów ministrów? Podłość bez granic.

Jeszcze jedna uwaga do poziomu intelektualnego, nie ludu pisowskiego, ale znanych aktywistów PiS. Panowie, wrzeszcząc: „Ruda wrona orła nie pokona", dajecie świadectwo prymitywizmu, braku jakiejkolwiek wyobraźni czy lotności umysłu. Rudą wronę znamy, pokażcie waszego orła! I czy jest on jeszcze zdolny do lotu?

Piotr Kijewski

eprasa.pl ada987d974

Rozmawiają Katarzyna Kasia
i Grzegorz Markowski

Nowoczesne społeczeństwo podzielone

Jedność czy marzenie o familiarnej zgodzie wszystkich z wszystkim jest archaiczną ułudą

KATARZYNA KASIA: „Prześniona rewolucja" ukazała się w 2014 r. i spowodowała ogromną zmianę w naszym myśleniu. Co się zmieniło od 2014 r.? Czy niektóre rzeczy, które pan tam napisał, rzeczywiście zostały przedyskutowane?
GRZEGORZ MARKOWSKI: Pan napisał: „Moim celem jest wybudzać, przebudzać". To udało się w którejś z tych spraw kogoś obudzić?

– Ten cytat z Benjamina mówi dokładnie, że celem pisarza historycznego może być tylko przebudzenie, i nic innego. Inna i przeciwstawna filozofia to pisanie historii „ku pokrzepieniu serc". A odpowiadając na pana pytanie – wydaje mi się, że tak. Tak jak to zwykle zresztą bywa, to proces, w którym fale się podnoszą, opadają, odbijają od brzegów… Sądzę, że w tym czasie rozpoczął się pewien proces, bo wpisałbym w tę historię zmian świadomości przede wszystkim inteligencji polskiej jeszcze np. książkę Jana Sowy „Fantomowe ciało króla", a potem tę całą falę historii chłopskiej, ale też ogromną pracę, jaką wykonują badacze Zagłady i w szczególności Centrum Badań nad Zagładą Żydów, np. tą wielką publikacją „Dalej jest noc". To paradoksalne, bo wtedy, kiedy Sejm uchwalił prawo, że nie wolno szkalować narodu polskiego, zainteresowanie tą książką wzrosło wielokrotnie. Dodajmy, jak na taką dość drobiazgową, fachową pracę historyczną. I w tym sensie wydaje mi się, że to, co ogólnie rzecz biorąc, wielu z nas irytuje, martwi, niepokoi, to znaczy ten nawrót ostrego nacjonalizmu czy katonacjonalizmu z elementami faszyzującymi, ma charakter backlashu. On ma też swój społeczny wymiar, wykorzystuje błędy transformacji. Ale to jest backlash, to znaczy reakcja na pewien proces, który się dokonuje. I moim zdaniem on się dokonuje nie w sposób niepowstrzymany. I ta zmiana świadomości będzie postępowała.

G.M.: A co pan uważa za zmiany nie do powstrzymania?

– Na przykład świadomość tego, jak przebiegała okupacja i Zagłada Żydów w Polsce. Nie w tym sensie, że to aktualnie jest powszechnie uczone w szkołach – dlatego że nie jest – ale dlatego, że świadomość inteligencji w tej sprawie, szczególnie inteligencji uniwersyteckiej, jest właściwie już ukształtowana. Jeszcze w latach 90. słyszałem wypowiedzi w środowiskach akademickich głównie akcentujące to, że Żydzi to żydokomuna i współpracowali z bolszewikami. Dzisiaj oczywiście są ludzie, którzy tak będą formułować swoje myślenie o stosunkach polsko-żydowskich, ale świadomość ciemnej strony udziału etnicznych Polaków w tym, co się nazywa obrzeżami Zagłady, stała się dość powszechna. I w tym sensie to już fundamentalnie się zmienia. Podobnie kwestia chłopska. Nieprzypadkowo powstają wszystkie książki dotyczące tego, że dola chłopska to nie tylko piękne stroje łowickie, ale że to była potworna niewola, opresja, wyzysk. Tym była dawna, folwarczna Polska. I ta świadomość staje się coraz bardziej powszechna. Ona zaczyna krążyć jako wiedza dla każdego. Jest cały ruch muzealników, którzy starają się dawne muzea wsi polskiej, czysto etnograficzne dotychczas, zacząć kształtować w kierunku muzeów, które pokazują też stosunki społeczne.

G.M.: A nie cepelii.

– A nie cepelii. I w tym sensie wydaje mi się, że to się tak czy inaczej dokonuje. Problemem Polski jest to, że w ogóle jest w niej mało młodych ludzi, więc ci, którzy są najlepszymi odbiorcami tego rodzaju wiedzy, są w pewnym sensie mniejszością. A poza tym mają swoje dużo poważniejsze problemy, jak katastrofę klimatyczną. Ale nie zmienia to faktu, że ten proces stopniowo się dokonuje.

> Problemem Polski jest to, że w ogóle jest w niej mało młodych ludzi.

G.M.: Czyli zaczynamy wiedzieć coś na temat swojej relacji z narodem żydowskim. Zaczynamy coś wiedzieć na temat chłopskich korzeni. Pan w „Prześnionej rewolucji" jeszcze o kilku prześnionych sprawach pisze, ale spróbujmy wyjaśnić (…) dlaczego nieświadomość w tych sprawach jest tak niebezpieczna.

– Najniebezpieczniejsze dla każdego w ogóle społeczeństwa, polskiego w szczególności, jest hołdowanie różnego rodzaju iluzorycznym opowieściom na swój własny temat, kliszom, wymarzonym wizerunkom itd. Tego rodzaju mity po prostu kierują energię społeczną w zupełnie bezsensowny sposób i mogą tę

eprasa.pl ada987d974

PROF. ANDRZEJ LEDER
– filozof

energię zupełnie zmarnotrawić. Jest bardzo ciekawa książka Ksawerego Pruszyńskiego „W czerwonej Hiszpanii", napisana w 1937 r. On w pewnym momencie analizuje mentalność Hiszpanów, a w szczególności ludzi, którzy zdobyli duży majątek, czyli rodzącej się burżuazji, w okresie przed wybuchem wojny domowej. I on pisze o tym, że podobnie jak w Polsce ktoś, kto zdobył wielki majątek w Hiszpanii, nie zainwestuje go w produkcję, w badania naukowe ani nic takiego. On ten majątek zainwestuje w ziemię. Ucieknie w gruncie rzeczy do tego świętego spokoju i do tego, żeby mieć taką działkę albo dużą działkę i na tej działce dwór, i sobie tam siedzieć na tronie.

G.M.: Otoczony tujami, które dobrze oddzielają od sąsiada.

– I będzie zajeżdżał sobie swoim maybachem na tę działkę i w ten sposób spędzi resztę życia.

K.K.: Czyli będzie fejkowym ziemianinem, a nie prawdziwym Knechtem.

– Właśnie o tym mówię. I to jest bardzo ciekawe, bo Pruszyński to widzi w Hiszpanii lat 30., mówiąc: „W Polsce jest dokładnie tak samo". Wszyscy chcą być tymi ziemianami. I kto ostatecznie robi przemysł? Niemcy i Żydzi. I wydaje mi się, że w tym sensie tworzenie jakiejś iluzorycznej opowieści o nas samych jest czymś, co po prostu kieruje energię społeczną w kompletnie szaleńczych albo takich właśnie gnuśnych kierunkach. Może nawet największym problemem nie jest szaleństwo, tylko przede wszystkim ta gnuśność, która była typową cechą takich folwarcznych, ziemiańskich czy latyfundystycznych społeczeństw.

K.K.: Ale powiedział pan o kwestii nowych studiów nad Zagładą Żydów, które doprowadziły do uchwały sejmowej o zakazie szkalowania narodu polskiego. I jeżeli ktoś zaczyna dłubać w naszych iluzorycznych fundamentach, ujawniając właśnie to, że one nie są prawdziwe, to szybko okazuje się, że szkaluje, że podburza i przede wszystkim nie jest patriotą, bo patriotyzm jest takim kijem, którym się odgania tych wszystkich profesorków od naszego cokołu, na którym stoi posąg prawdziwego Polaka katolika. Czy jest możliwe budowanie wspólnoty, jeżeli ma się takie pojęcie patriotyzmu?

– Po pierwsze, wydaje mi się, że polskie społeczeństwo jest w tej sprawie bardzo podzielone. To znaczy, że nieprzypadkowo ten podział na mniej więcej 30-40%, które głosują w miastach, i 30-40%, które głosują poza miastami (ja oczywiście upraszczam, bo to nie jest kwestia miejsca zamieszkania, tylko typu mentalności), jest aktualnie fundamentalnym podziałem politycznym. I również stosunek do patriotyzmu i tego, jak rozumie go, powiedzmy, pani prezydent Dulkiewicz, a jak go rozumie Jarosław Kaczyński. Już nie mówię o pośle Kowalskim. I teraz powiem coś nieoczywistego: jedność i wspólnota wcale nie wydają mi się jednoznacznie pozytywnymi wartościami. Ten polityczny i kulturowy podział jest już pewnego rodzaju osiągnięciem, wyraża różnorodność postaw Polaków. Jedność czy takie marzenie o familiarnej zgodzie wszystkich z wszystkim jest moim zdaniem kolejną archaiczną ułudą. Nowoczesne społeczeństwa to społeczeństwa politycznie podzielone, są bowiem społeczeństwami dynamicznymi, które się zmieniają, a do zmiany, jak wiadomo, ludzie mają różny stosunek i właśnie m.in. pod tym względem fundamentalnie się dzielą politycznie.

G.M.: Ale to też jest supercieka-we, bo jak mówimy o marzeniach i o lękach, to jest to z jednej strony niewątpliwie marzenie, a z drugiej strony wielki lęk. My przecież tej historii o strasznym podziale, o różnicy bardzo się boimy. To jest przywoływane jako dowód na to, jak bardzo z nami źle. A pan profesor mówi: „Hurra!".

– Poniekąd tak. To jest jedna z rzeczy, które wydają mi się właśnie taką pułapką myślową – ta iluzja jedności, tego, że Polacy powinni być pogodzeni ze sobą i tak wspólnie działać ku czemuś tam, nie wiadomo czemu dokładnie, znaczy jakiemuś dobru wspólnemu, ale każdy je rozumie inaczej. To, że polskie społeczeństwo jest podzielone politycznie właśnie, jest dowodem, że jest już stosunkowo nowoczesne. Ale trudno przyjąć mu to do wiadomości. Taki moment przejściowy. Na pytania, które stawia współczesność, odpowiada się w różny sposób. Na tym polega pluralizm społeczny i nawet demokracja. Ale ponieważ polskie społeczeństwo źle znosi podziały, wzbudza to mnóstwo furii. Zamiast tego, żeby po prostu być podzielonymi i jakoś umieć z tym żyć, jakaś część tego społeczeństwa uważa to, że inni myślą inaczej, za skandal i obrazę bożą i jest gotowa tych innych ukamienować. Ale to jest na razie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ada987d974

jakaś część i nie zostaliśmy jeszcze ukamienowani. Choć – i to jest moment niepokojący – może to się zdarzyć. W historii wielu europejskich społeczeństw, które przeszły tego rodzaju ewolucję, dochodziło do wojny domowej. I ja nie jestem wcale pewien, czy w Polsce nie będziemy mieli w pewnym momencie wojny domowej, co jest czymś zupełnie innym niż podział polityczny. Wojna domowa dzieje się, kiedy jedna część społeczeństwa próbuje taki podział polityczny zlikwidować przemocą. Ale na razie jesteśmy w sytuacji podziału politycznego i wcale mi się nie wydaje, żeby to było coś takiego, od czego należy uciekać.

K.K.: Przypomniał mi się René Girard i „Kozioł ofiarny". On pisze o tym, że przemoc rodzi się tam, gdzie nie ma różnorodności, to znaczy to ujednolicenie, odróżnorodnienie to jest moment straszny. To jest moment, kiedy trzeba się zacząć bać.

– Tak, i na pewno w polskim społeczeństwie są też siły polityczne, które chciałyby właśnie takiego ujednolicenia kosztem jakiegoś kozła ofiarnego. No i to szukanie kozła ofiarnego… Pewne grupy polityczne, głównie zresztą jest to radykalna prawica, prowadzą takie poszukiwania stale. No ale na razie to się nie udało i czy się uda, tego nie wiemy.

G.M.: W tym, co pan mówi, pobrzmiewa takie założenie, że jest jakaś część społeczeństwa, która z kolei: a) jest w stanie przyjąć do wiadomości, że możemy być różni, b) jest w stanie, wiedząc o tej różnorodności, z tą drugą stroną coś negocjować, poszukiwać części wspólnej. A ja mam wrażenie, że niestety w tej sprawie – albo przyjmiecie 100% naszych opinii, albo zniknijcie – obie strony myślą podobnie. Obie strony oczekują od siebie pełnego podporządkowania.

– Nie, nie, z tym bym się nie zgodził. Uważam, że ta strona, która nazywana jest demokratyczną, przede wszystkim chciałaby, żeby ta druga strona dała jej święty spokój, co też jest do jakiegoś stopnia problemem. Ten podział polityczny nakłada się na podział ekonomiczny. Wiadomo, że wielkomiejska klasa średnia chciałaby sobie właśnie dalej być wielkomiejską, jeździć na narty tam, gdzie jeszcze się da pojeżdżać, mimo katastrofy klimatycznej…

K.K.: Generować PKB.

– Tak. I jeść ośmiorniczki. A ta klasa ludowa, która się wściekła i się buntuje, w ogóle im na to nie chce pozwolić. I wydaje mi się, że jest też ogromnym problemem w Polsce właśnie to, że strona demokratyczna tak naprawdę zupełnie nie potrafi odnieść się do tego, jak bardzo ten podział polityczny wiąże się z właśnie różnego rodzaju zaszłościami z okresu transformacji istniejącymi do dzisiaj. Zwrot socjaldemokratyczny Donalda Tuska wyraźnie nie cieszy się powodzeniem w klasie średniej i istnieje ryzyko, że co najmniej jej część będzie próbowała uciec do Konfederacji, mamiona hasłami o wolności gospodarczej.

K.K.: Właśnie dzisiaj usłyszałam coś, co bardzo mocno dało mi do myślenia. Jeszcze nie miałam czasu się nad tym głębiej zastanowić, ale się z wami podzielę. Leszek Balcerowicz powiedział, że najbliżej, jeżeli chodzi o poglądy ekonomiczne, jest mu do Konfederacji. I to zapaliło wszystkie czerwone lampki w mojej głowie.

– To jest dokładnie to, o czym mówię. Ja też słyszałem tę wypowiedź. Ci klasycy, którzy firmują neoliberalizm w Polsce, absolutnie nie są gotowi przyjąć do wiadomości, że jedyny sposób utrzymania pokoju społecznego to państwo opiekuńcze. Łącznie z dobrami wspólnymi, publiczną służbą zdrowia, edukacją i tak dalej. Jeżeli Leszek Balcerowicz mówi, że ekonomicznie najbliżej jest mu do Konfederacji, to jest to dzwonek alarmowy. Budzi nas do świadomości, że strona demokratyczna nie tyle chce, żeby wszyscy myśleli jak ona, jej największa część, klasa średnia, ile chce, żeby ci, którzy nie myślą jak ona, dali jej święty spokój.

G.M.: Nie przeszkadzali w miłym życiu. (…) Kasia pyta o patriotyzm, ale pan też sięga po rozróżnienie tego patriotyzmu. Tam jest wprowadzone pojęcie patriotyzmu lukrowanego i patriotyzmu krytycznego. Ten pierwszy u nas kwitnie, ten drugi ma mocno pod górkę. O czym są oba te pojęcia i dlaczego rzeczywiście z tym krytycznym mamy kłopot?

– To też niesłychanie ciekawa sprawa związana z historią Europy i z tym, co się wydarzyło w pierwszej połowie XX w., czyli przede wszystkim z wielkimi zbrodniami, niemieckimi w ogromnej

eprasa.pl ada987d974

większości, ale do których dołączyli się inni Europejczycy. Mówiliśmy już o Polakach, ale to dotyczy też Francuzów i wielu innych narodów europejskich. Uświadomienie sobie tych zbrodni, swoich zbrodni, i wzięcie za nie odpowiedzialności stało się dla części społeczeństw nowym sposobem budowania tożsamości i dumy narodowej. Dla pewnej części niemieckiego społeczeństwa takim probierzem dojrzałości stała się zdolność do krytycznego spojrzenia na własną historię. Taka duma z tego, że potrafimy uznać winy naszych ojców i dźwigać odpowiedzialność za nie. I właśnie Niemcy mieli to błogosławieństwo niewątpliwej winy, więc ten proces…

w Algierii, w Anglii – historii kolonialnej, w USA – wymordowania rdzennych mieszkańców czy handlu niewolnikami. Ale sprawa żydowska w wielu krajach była i jest wyjątkowo trudna – choćby we Francji, kiedy dopiero Chirac po prostu zaczął mówić prawdę o reżimie Vichy. Echem tego jest też aktualna waga w tych krajach świadomości postkolonialnej. To oznacza, że Europejczycy potrafią się mierzyć – czasami w sposób nieco, powiedziałbym, skrajny – z długami, jakie narody europejskie, społeczeństwo europejskie, zaciągnęło w okresie kolonializmu. Ze zbrodniami „naszych ojców". W dzisiejszej Anglii przechwałki w stylu „to my nauczyliśmy

albo innym Kosowym Polem. I tego rodzaju historii jest bardzo wiele w świecie, natomiast uderza mnie, że to dotyczy tych społeczeństw, których podmiotowość jest krucha i chwiejna.

K.K.: (…) W kontekście „Prześnionej rewolucji" pojawiły się wątki klasowe, a takim podziałem, który cały czas powraca w różnych dyskusjach, jest podział na lud i elity. Pan mówi: klasa średnia wielkomiejska kontra ludzie, którzy mieszkają w mniejszych miejscowościach, na wsiach itd. Tylko że od 2015 r. jesteśmy w sytuacji, w której ta klasa średnia wielkomiejska jest tą gorszą, tą, która jest uprzywilejowana i trzeba jej te przywileje odebrać po to, żeby dowartościować ten teoretycznie istniejący lud. (…) Kto właściwie jest kim? Czy ten podział w ogóle w Polsce da się utrzymać? Czy elitą jest profesor uniwersytetu, który zarabia 6 tys. zł na rękę, czy właściciel dużego gospodarstwa rolnego, który zarabia 60 tys.? (…)

– Rzeczywiście jest to przedmiot niezwykle intensywnych dyskusji w bańkach facebookowych. Wszyscy wszystkich cancelują; za to np., że ktoś zrobi sobie zdjęcie ze swoją biblioteką. I zostaje za to wyrzucony, bo jest klasistowski.

K.K.: Albo będzie Trzaskowskim i się przyzna, że znał Geremka. Rany boskie!

– Wydaje mi się, że to jest związane z głęboką zmianą społeczną, do której dochodzi na współczesnej globalnej Północy, wynikającą z przeniesienia ogromnej części produkcji, która dawniej tu się odbywała, na globalne Południe. W związku z tym na Północy nie ma już klasycznego konfliktu pracodawcy kontra klasa robotnicza – oczywiście ona nadal istnieje, ale już nie odgrywa takiej roli jak dawniej – a w związku z tym klasa ludowa ma zupełnie inny charakter. Jest prekariatem. (…)

Najniebezpieczniejsze dla każdego społeczeństwa, polskiego w szczególności, jest hołdowanie iluzorycznym opowieściom na swój własny temat.

G.M.: Zwróciłem uwagę już wcześniej na ten zwrot „błogosławieństwo winy", który jest dość szokujący.

– Bo też myślę, że on utrudnia różnego rodzaju samozakłamywanie siebie. To znaczy oczywiście to nie jest tak, że Niemcy nie potrafią się zakłamywać, i wiadomo, że są bardzo duże grupy w Niemczech, które próbują tę całą niemiecką historię XX-wieczną opowiadać w taki sposób, żeby było miło…

K.K.: Im!

– Im, oczywiście. Na przykład konsekwencje zakłamanej historii widać w dawnym NRD, czyli we wschodnich landach, natomiast w zachodnioniemieckim społeczeństwie bardzo duży i znaczący odłam potrafił z tą winą po prostu jakoś się zmierzyć. To się jednak właściwie zaczęło podczas rewolty młodzieżowej 1968 r., kiedy młodzi pytali rodziców: „co ty wtedy robiłeś/łaś?!". I dokonało dopiero w latach 70., 80. i 90. To było apogeum tego procesu. I to pokazało w ogóle taką możliwość, która potem przetoczyła się przez zachodnią Europę. W innych krajach mogło to dotyczyć innych spraw – we Francji zbrodni popełnionych w czasie wojny

Hindusów, jak budować koleje żelazne (czy jeść widelcem)" wydają się śmieszne i nie na miejscu. Jest jednak jeszcze jeden uderzający aspekt tej sprawy. Ten sposób rozumienia swojej tożsamości i dumy narodowej dotyczy silnych. Społeczeństwa, które potrafiły w ogóle tego rodzaju dyskusje rozpocząć, to zwykle te, które są nadal bardzo silne ekonomicznie, politycznie czy społecznie. To dotyczy właśnie Niemców, Brytyjczyków i Amerykanów, to dotyczy Francuzów do jakiegoś stopnia, czyli najpotężniejszych społeczeństw zachodnich. Te inne społeczeństwa, które zawsze miały kłopot ze swoją podmiotowością, z tym, żeby być sprawczymi, mają w sobie ogromny lęk przed spojrzeniem innych, przed zszarganiem swojego wizerunku. I rzeczywiście mają kłopot z tym, żeby potem potrafić otwarcie spojrzeć na swoją historię, winy swoich ojców i powiedzieć: „Tak, wiemy, że tak było. Potrafimy to wziąć na siebie". W związku z tym albo zakłamują, albo lukrują tę historię i mają tendencję do tego, żeby wyłącznie pysznić się właśnie swoją bitwą pod Grunwaldem

Fragmenty rozmowy z książki Katarzyny Kasi i Grzegorza Markowskiego *Siedem życzeń. Rozmowy o źródłach nadziei*, Znak Koncept, Kraków 2023

eprasa.pl ada987d974

Ratujmy nasze dzieci

Coraz więcej dzieci i młodych osób w Polsce próbuje odebrać sobie życie. Tak źle jeszcze nie było

Anna Stachowiak

W 2023 r. odnotowano 2139 prób samobójczych wśród dzieci i młodzieży do 18. roku życia. 146 zakończyło się śmiercią – wynika z raportu Fundacji GrowSPACE. Już drugi rok z rzędu liczba młodych osób chcących odebrać sobie życie przekracza 2 tys. – Aż 409 prób odnotowano na Pomorzu. Ponad 200 prób – w województwach łódzkim i śląskim. Największy wzrost nastąpił w województwie wielkopolskim. Tam też najwięcej prób, aż 18, zakończyło się śmiercią – mówił na konferencji prasowej Dominik Kuc z GrowSPACE. W rzeczywistości tych tragicznych zdarzeń może być jeszcze więcej – nie każde jest zgłaszane policji.

Bodźce, bodźce

– Psychiatria nie jest działką medycyny, gdzie zarówno przyczyny, jak i skutki zaburzeń psychicznych są zero-jedynkowe. Kryzys zdrowia psychicznego, który obserwujemy, zarówno u dzieci, jak i u dorosłych, jest wynikiem tego, że przez lata żyliśmy na kredyt. Nie chodzi o ten w banku, ale o kredyty, jakie zaciągaliśmy na zdrowie. Bo przecież po zarwaniu jednej nocy na projekt nic się nie stało. To może sen jest dla słabych? Im więcej nie śpię, tym więcej mogę pracować. Jeżeli nie mam aktywności fizycznej, to jutro nie stanę się inwalidą. Gdy maltretuję swój mózg bodźcami ze wszystkich stron, on jutro nie przestanie pracować. Będzie jednak próbował kompensować te wstrząsy i zacznie powoli wysiadać. Stopniowo pojawią się trudności z emocjami, potem zaburzenia lękowe, depresja albo zwyczajne zmęczenie tak duże, że pomyślę, że już nie wytrzymam ani jednego dnia dłużej. Do tego dołóżmy biologiczny aspekt pracy naszego ciała. Wszystkie neuroprzekaźniki, neurohormony, gdy są nieprawidłowo wydzielane, zaburzają całą autoregulację organizmu. To powody kryzysów psychicznych. To samo dzieje się w organizmach dzieci – tłumaczy psychiatrka Maja Herman.

Dominik Kuc na konferencji przypomniał, że średni czas oczekiwania na wizytę u psychiatry dziecięcego na NFZ wyniósł 238 dni. To specjaliści, których brakuje. Na całą Polskę jest ich zaledwie 555, a zawód wykonuje 521. Tymczasem potrzeby są gigantyczne, co pokazuje nie tylko najnowszy raport fundacji, ale także poprzednie badania. Z „Młodych Głów" Fundacji Unaweza Martyny Wojciechowskiej wynika, że dzieci i młodzież borykają się z przeciążeniem w szkole, zmęczeniem, brakiem czasu dla siebie oraz presją ze strony szkoły i często rodziców. Czują się osamotnione i zdezorientowane. Zbyt wiele zwłaszcza jest takich, które mówią o braku chęci do życia. Podobne wnioski płyną z raportu Fundacji Moonka o dojrzewaniu chłopców. Ten kryzys psychiczny ma wielorakie przyczyny, a wśród

Już drugi rok z rzędu liczba młodych osób próbujących odebrać sobie życie przekracza 2 tys.

eprasa.pl ada987d974

najważniejszych należy wymienić zarówno ogromny skok technologiczny, który dokonał się w ostatniej dekadzie, postępującą cyfryzację świata i presję ze strony mediów społecznościowych, które kreują i promują fałszywe standardy piękna i sukcesu, sprawiając, że dzieci czują się zmuszone do udziału w tym pełnym iluzji wyścigu, jak i pandemię COVID-19 oraz izolację społeczną narzuconą w związku z koronawirusem.

3 mld na psychiatrię dziecięcą

Wszystko to dzieje się w czasie, który z rozwojowego punktu widzenia jest dla dzieci i młodzieży bardzo trudny – w okresie dojrzewania. Brakuje specjalistów, rządowych programów prewencyjnych i pieniędzy, choć przyjęcie przez Sejm ustawy zakładającej budżet w wysokości 3 mld zł na psychiatrię i onkologię dziecięcą jest krokiem w dobrym kierunku. Ministra zdrowia Izabela Leszczyna 16 stycznia odpowiadała w Sejmie na pytania dotyczące funkcjonowania resortu zdrowia, w tym wsparcia opieki psychiatrycznej dzieci i młodzieży.

– Na pewno z funduszu medycznego w tym roku, z tego subfunduszu przeznaczanego na modernizację podmiotów leczniczych, będzie rozpisany konkurs na inwestycje właśnie w tym zakresie. Dzieci po pandemii i dość trudnym czasie dla wszystkich mają prawo do leczenia w jak najlepszych warunkach (...). Oprócz oczywiście tego, że dodatkowo 75 mln zł przeznaczamy na świadczenia w zakresie psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej – mówiła.

Do planowanych działań odniosła się wiceministra edukacji i pełnomocniczka ds. zdrowia psychicznego uczniów i uczennic Paulina Piechna-Więckiewicz. – Będę rozmawiać z Ogólnopolskim Związkiem Zawodowym Psychologów, z samorządowcami i ekspertami – zapewniała w TOK FM. – Musimy rozmawiać o tym, jak zachęcić psychologów do pracy. To są kwestie nie tylko finansowe, ale także warunków pracy psychologów, sprawdzania kompetencji osób, które przychodzą na etaty specjalistów, i tego, jak możemy wesprzeć samorządy. To jest też kwestia sprowadzenia psychologów do małych miejscowości, nawet na kilka godzin. Rzeczywiście hasło „Psycholog w każdej szkole" nie jest jeszcze do końca realizowane, ale będziemy dążyć do tego, żeby tak się stało – dodała.

Co poszło nie tak

Do najważniejszych przyczyn podejmowania prób samobójczych przez dzieci i młodzież należą przemoc rówieśnicza, problemy w rodzinie i kryzysy zdrowia psychicznego. To dane, które podaje zarówno fundacja w raporcie, jak i policja. Przedstawiciele fundacji pokazują statystyki, z których wynika, że zaufanie do psychologów szkolnych ma zaledwie 5% uczniów i uczennic.

Maja Herman zaznacza, że tu nie ma prostych odpowiedzi i nie znajdziemy ich, patrząc np. pięć lat wstecz: – Żeby zrozumieć, dlaczego dziś czytamy takie liczby w raportach GrowSPACE, musimy spojrzeć na to mocno retrospektywnie, bo to, co poszło „nie tak", sięga dziesięcioleci. Alarmów psychologów i psychiatrów nikt nie słuchał. Już ponad 20 lat temu mówiliśmy, że tempo zmieniającego się świata i rozwoju technologicznego jest najwyższe w historii ludzkości. Nigdy nie było tak ogromnego skoku rozwojowego. Mózg nie miał czasu ewolucyjnie się przystosować do tego wszystkiego, na co go naraziliśmy. Ilość bodźców go przerosła, a co za tym idzie, mamy do czynienia z globalnym kryzysem zdrowia psychicznego.

Ekspertka dodaje, że aktualne nastolatki i młodzi dorośli to pokolenia, które pod kątem przystosowania miały najgorzej. – Dlatego w tej grupie problem jest tak palący. I przypominam – a to, co powiem, będzie brutalne – że jeśli uda im się uchronić przed próbami samobójczymi, to dalej będą osobami z problemami psychicznymi i będą wymagać systemowej opieki psychiatrycznej, której też nie będziemy dla nich mieć.

Maja Herman podkreśla, że rozwiązań trzeba także szukać gdzie indziej. – Osoby z tego raportu to osoby obciążone życiem we współczesnym przebodźcowanym świecie, do tego nie miały przewodników, którzy pomogliby im zadbać o higienę cyfrową czy w ogóle o higienę zdrowia psychicznego. Dopiero teraz dorośli zaczynają się uczyć o mediach społecznościowych, o profitach z nich, ale i o zagrożeniach dla zdrowia. Gdy więc pada pytanie, kto jest winny, odpowiadam: zbieg niefortunnych zdarzeń, niesłuchanie ludzi, którzy bili na alarm, państwo, które sprawy zdrowia psychicznego i pacjentów psychiatrycznych traktowało jako niewarte uwagi, bo kapitału politycznego nie można było na nich zbijać – wylicza. Brak specjalistów jej zdaniem, choć bardzo istotny, to jednak sam koniec problemu.

Na Pomorzu odnotowano 409 prób samobójczych, w województwach łódzkim i śląskim – ponad 200.

Nie przegap kryzysu

Nie jest też tak, że rodzice nie zwracają uwagi na dzieci. – Zwracamy uwagę, ale nie do końca tam, gdzie trzeba. Każdy rodzic powinien obowiązkowo przechodzić szkolenie z mediów społecznościowych, uczyć się o nich, uczyć się o tym, co dzieci robią w sieci, kim są ich idole. Obejrzeć „ostatnio oglądane" w YouTubie swojego dziecka, a nie mówić: „Media społecznościowe to zło". Media nie znikną. A skoro nie znikną, to nauczmy się ich – radzi ekspertka.

Jak nie przegapić kryzysu u swojego dziecka? Nie dewaluować tego, co dziecko mówi i co sami widzimy. Nie uspokajać się: „Każdy tak ma", bo nawet jeśli każdy tak ma i to nic takiego, w każdej chwili może się z tego zrobić coś wielkiego. Dzieci ze względu na chwiejność nastroju wynikającą z normy rozwojowej przeskakują od euforii do dysforii, od radości do smutku. I wszystko to zasługuje na wysłuchanie. ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ada987d974

Chcą być silni i niezależni

Nastoletni chłopcy wstydzą się słabości i marzą, by odnieść sukces

Rozmawia Anna Stachowiak

Teo Łagowsk_

Bartłomiej Rydzewski

TEO ŁAGOWSK_ I BARTŁOMIEJ RYDZEWSKI
– osoby pracujące z młodzieżą

Co w dojrzewaniu jest najtrudniejsze dla polskich chłopców?

– Trudno odpowiedzieć i podać jedno konkretne wyzwanie czy trudność bez spłaszczenia całej rozmowy o polskich chłopakach. Dr Zofia Małkowicz i dr Katarzyna Chajbos-Walczak, badaczki, które stworzyły raport „Nastoletni chłopacy o dyskryminacji i swojej codzienności" Fundacji HerStory, naprawdę bardzo fajnie odmalowały ten moment dojrzewania, opierając się na tym, co mówili chłopacy o sobie, o przemocy, o dyskryminacji, szacunku, grupie. Najogólniej rzecz biorąc, w wieku nastoletnim najtrudniejszy jest rozdźwięk pomiędzy tym, czego potrzebuję, a potrzebuję autonomii i niezależności, a tym, co mogę tu i teraz – i tym, czego oczekuje ode mnie otoczenie.

Spróbujmy to jednak sprecyzować.

– Wczytując się w głosy chłopaków w raporcie, można zobaczyć, jak ambitne cele chcą osiągnąć w życiu i jak często widzą tę drogę jako bardzo trudną, smutną i naznaczoną osamotnieniem. Uważają się za wyłącznych kowali swojego losu, obwiniają się o niepowodzenia, nie widząc, jak dużo zależy od przywilejów, zasobów i ograniczeń. Często też nie znają nieprzemocowych sposobów radzenia sobie z trudnościami, które napotykają. Bardzo ważne, niosące wiele wyzwań, są relacje z grupą rówieśniczą, tworzenie własnej tożsamości, konflikty wewnętrzne, ale też obciążenie zajęciami szkolnymi oraz doświadczenie dyskryminacji i przemocy. Wielką rolę odgrywa kategoria wstydu, a wszystko to osadzone jest w przemianach społeczno-kulturowych, których doświadczamy, a w których męskość jest ujmowana specyficznie.

> W wieku nastoletnim największy jest rozdźwięk między tym, czego potrzebuję, a potrzebuję autonomii i niezależności, a tym, co mogę tu i teraz i czego oczekuje otoczenie.

Czyli jak?

– Chłopcy są zdezorientowani, bo ten stary wzorzec, z jednej strony, pozostaje silny i dominujący, z drugiej – mocno się zdezaktualizował, a nowego brakuje. W ich świecie jednak wciąż bardzo istotna jest kategoria siły. Oni zmagają się z czymś, co określamy jako przymus siły. Takiej siły, do której trzeba aspirować, a postrzegana jest jednowymiarowo. Ten przymus bycia silnym, który mają mocno uwewnętrzniony, ale też odczuwają jako presję ze strony otaczającego ich świata, stosują zarówno w stosunku do siebie, jak i wobec rówieśników.

To presja, którą stwarzają dorośli?

– Oczywiście, dorośli również żyją w świecie zorientowanym na pieniądze, sukces, siłę i wytrzymywanie, dorośli ten świat kreują. Dodatkowo dochodzą po prostu wyzwania rozwojowe, czarno-białe postrzeganie świata, ludzi i relacji i uczenie się przez eksperymenty, że to wszystko jest bardziej skomplikowane. W tej presji, apoteozie siły szkoła też nie bardzo pomaga, a właściwie ją wzmacnia. Chłopacy nie odnajdują się w zakazach i nakazach, te rodzą w nich bunt. Oni szukają tego, co pomoże im zrealizować ich wartości i cele. Mówią:

eprasa.pl ada987d974

chcę coś w życiu osiągnąć, chcę sobie poradzić, chcę być samodzielny, jednocześnie uważają, że nie powinni prosić o pomoc.

Są przekonani, że ze wszystkim muszą sobie poradzić sami?

– Że muszą zacisnąć zęby i dać radę, „zapanować nad sobą", jak to ujmują, w taki wręcz przemocowy sposób. Przy czym oni przecież nie mają jeszcze narzędzi do tego, żeby sobie z tą presją poradzić, żeby być dla siebie dobrym, nie mają także gdzie się tego nauczyć. Oczywiście taką przestrzeń do rozmowy na ten temat stwarzamy na naszych warsztatach. Widzimy wówczas, jak ogromne jest na to zapotrzebowanie, ale w obecnych warunkach pojawiamy się w szkole tylko na czas warsztatów, potem znikamy.

Mówicie o „zapanowaniu nad sobą", ale chodzi chyba także o zapanowanie nad innymi, prawda? Wnioski z raportu w kwestii dyskryminacji w środowisku rówieśniczym nie napawają optymizmem, to ogromny problem. A jeśli dyskryminuję, to chyba właśnie demonstruję tę siłę, o której rozmawialiśmy? W raporcie pojawia się porównanie do plemion.

– Chodzi o ustalenie hierarchii, ale rzeczywiście ta siła, przejawiająca się także w dyskryminowaniu innych, często pojawia się podczas warsztatów. Ci chłopcy bardzo się obawiają słabości, tego właśnie się wstydzą, nie chcą jej doświadczyć, a jeśli już doświadczają – okazywać jej. To się łączy z panowaniem nad sobą, nad emocjami, bo pokutuje przeświadczenie, że silny chłopak żadnych słabości mieć nie może.

Sprecyzujmy jednak, że owa siła nie musi być czymś jednoznacznie złym, bo można na niej też budować. Pomoc, solidarność, wspólnotę – to również wybrzmiewa w opowieściach chłopaków. Kiedy mówią o ważnych dla siebie rzeczach, mówią o dobrych relacjach z innymi, o rodzinie, którą chcą założyć, o przyjaźni, o trosce o innych.

To troska o swoich, tych z własnego plemienia?

– Rzeczywiście w dorastaniu chłopców dominuje myślenie plemienne, bardzo spolaryzowane, na zasadzie opozycji my-oni. Czyli ustalają swoją pozycję w stosunku do reszty świata, a tu niezwykle ważną rolę odgrywa właśnie ta grupa. Dużo opowiadają o procesie wchodzenia w grupę, a grupa buduje swoją tożsamość m.in. przez własny, wewnętrzny język. Ma swoje poczucie humoru, używa ostrych, często niewybrednych żartów – w taki sposób ustala hierarchię i rozpoznaje „swoich". To z kolei, chęć przynależności i bycia uznanym za „swojego", wiąże się z lękiem przed odmiennością. Chłopcy często mówią o tym, że fajnie jest być wyluzowanym kolesiem, kimś, kto jest pozytywnie odbierany przez innych. Jeśli grupa ma taki ideał, a pojawia się ktoś, kto do niego nie przystaje, może dojść do odrzucenia przez grupę. Ale najpierw będzie chciała tego nieprzystającego przetestować, czyli zobaczyć, jak reaguje na ostre żarty, albo go „przyprostować". Chłopacy mówią, że ich intencją jest, żeby temu innemu było łatwiej, żeby nie odstawał.

Ale ta chęć przynależności, identyfikacji z grupą była zawsze obecna. Dlaczego teraz jest trudniej, co widać w statystykach dotyczących zdrowia psychicznego i innych raportach, choćby „Młodych Głowach" Fundacji Unaweza?

– Patrząc na rozwój edukacji antydyskryminacyjnej i antyprzemocowej, można zauważyć, że my jako dorośli dopiero uczymy się stawiać odpowiednie pytania i brać odpowiedzialność za to, żeby nie było tak trudno i żeby nikt nie zostawał za burtą. Dziś wszystko jest też bardziej zniuansowane – wciąż silny jest ten tradycyjny, patriarchalny model mężczyzny, ale pojawiają się także inne wzorce męskości. Stąd bierze się dezorientacja chłopców, którzy nie wiedzą, za jakim wzorcem mają podążać. Z drugiej strony pojawiły się nowe wyzwania, choćby te związane z mediami społecznościowymi i cyberprzemocą.

Właśnie, przemoc. Potrafią ją rozpoznać? Mam tu na myśli przede wszystkim przemoc psychiczną. Potrafią zdefiniować, czy są jej ofiarami, a może sprawcami?

– Tutaj raczej nie ma zaskoczeń, bo mieli kłopot nie tylko z rozpoznaniem przemocy wobec innych, ale także w określeniu, czy sami jej doświadczają. Jest potencjał, bo pytani o przemoc psychiczną znali dużo odnoszących się do niej określeń. Tylko z rozpoznaniem w praktyce jest kłopot.

Oczywiście chodzi o to, że jeśli ktoś doświadcza przemocy, to w jakiś sposób jest słaby, a słabości się boją. Doświadczanie przemocy wiąże się także ze wstydem, bo uważają, że nie są wystarczająco silni, by sobie poradzić.

Co poza siłą i radzeniem sobie jest dla chłopaków ważne?

– Mają osiem podstawowych pragnień, co bardzo wybrzmiewa w raporcie. Chcą być niezależni, radzić sobie w życiu, chcą być docenieni i podziwiani za sukces,

Chłopcy otwierają się, kiedy czują się bezpieczni, traktowani podmiotowo, z szacunkiem i uwagą. I nieoceniani.

Teo Łagowsk_ – specjalist_ ds. komunikacji i PR w Fundacji HerStory, psycholog, filolożka, specjalizuje się w komunikacji równościowej zmiany społecznej i promocji projektów edukacyjnych, prowadzi działania edukacyjne o społeczności LGBTQ+. W projekcie „Chłopaki na rzecz równości" odpowiadał_ za redakcyjne przygotowanie publikacji raportu „Nastoletni chłopacy o dyskryminacji i swojej codzienności".

Bartłomiej Rydzewski – certyfikowany trener antyprzemocowy w metodzie SZTAMA. Współprowadził warsztaty SZTAMA dla chłopaków ze zróżnicowanych środowisk i w różnym wieku. Od ośmiu lat streetworker w Grupie Animacji Społecznej „Rezerwat", przez cztery lata asystent edukacji romskiej w Szkole Podstawowej nr 26 w Poznaniu, asystent międzykulturowy przy projektach integracyjnych.

FOT. FUNDACJA HER STORY (2)

eprasa.pl ada987d974

panować nad emocjami i ciałem, wierni ideałom. Chcą mieć dobre relacje, a w przyszłości założyć rodziny. Chcą też być pozytywni i zdyscyplinowani, walczyć ze swoimi słabościami. Ważnym, często pojawiającym się wątkiem jest praca nad ciałem na siłowni, co postrzegają równocześnie jako pracę nad emocjami, swoiste wykuwanie siebie, charakteru, walkę ze słabościami. Nie chodzi tu tylko o bicepsy i rzeźbę, raczej właśnie o pracę nad sobą, bo wiedzą, że trzeba nad sobą pracować, żeby osiągnąć sukces. A na tym im zależy. Wśród osób, które podziwiają, bardzo często pojawiali się sportowcy. Okazuje się też, że takimi bezpiecznymi dorosłymi, z którymi chcą rozmawiać, są nauczyciele i nauczycielki WF oraz przedmiotów technicznych. Czyli ta szkoła także nie jest do końca czarno-biała, jest na czym budować.

Jak szkoła może wspierać chłopców? Ta szkoła, która jest w kryzysie, zawiodła, w której nie ma wystarczającej liczby psychologów?

– Nie dość, że tych psychologów często w ogóle nie ma, to jeszcze w rozmowach z chłopcami wcale nie pojawiają się jako osoby, do których można się zwrócić. Są za to inne osoby, którym oni ufają – i znów warto na tym budować. Pytasz, jak szkoła może pomóc. Przede wszystkim otworzyć się na know-how, które mają organizacje pozarządowe związane z edukacją, na wiedzę ekspertów i ekspertek, na warsztaty, metody, które działają tak, żeby ta przepaść w szkolnictwie była zasypywana. W raporcie jest cały model działania i superkonkretne rekomendacje, jak rozmawiać z chłopakami, jak z nimi pracować, co będzie skuteczne, co nie.

A co będzie skuteczne?

– Najkrócej mówiąc, bardzo ważne jest, żeby chłopcy mieli wiedzę na temat przemocy i dyskryminacji oraz tego, jak tym zjawiskom zapobiegać. I na temat tego momentu w życiu, w którym są. Chodzi po prostu o większą wiedzę o dorastaniu, ale nie na zasadzie urządzania pogadanek, tylko słuchania ich i rozmowy. W takich warunkach można pomóc im zrozumieć, co jest przemocowe czy dyskryminacyjne, wzmacniać ich tak, by zobaczyli, że szacunek dla odmienności czy troska o innych są jak najbardziej dobre dla ich celów. Można też towarzyszyć im w wybieraniu innych rozwiązań niż dyskryminacja czy przemoc oraz uczyć, jak reagować na dyskryminację i przemoc, bo oni naprawdę chcą to wiedzieć. Widzimy to na warsztatach. Otwierają się, kiedy czują się bezpieczni, traktowani podmiotowo, z szacunkiem i uwagą. I nieoceniani. Tylko tyle i aż tyle.

Anna Stachowiak

Bezpiecznymi dorosłymi, z którymi chcą rozmawiać, są nauczyciele i nauczycielki WF oraz przedmiotów technicznych. Czyli szkoła nie jest czarno-biała, jest na czym budować.

eprasa.pl ada987d974

Oko w oko

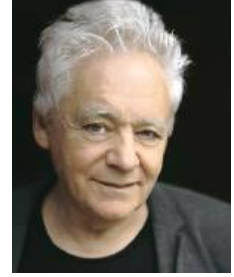

Tomasz Jastrun

Bańka pękła

Donald Tusk z mównicy sejmowej sugerował, że najistotniejszym i niskim motywem pisowskiej rewolucji były pieniądze. Jesteśmy dopiero na początku ujawniania, jak wzbogacili się ludzie tej partii. A to, co już wiemy, jednych oburza, drudzy natomiast zazdroszczą. Nie o to jednak chodziło prezesowi. Jego projekt nie był tylko interesem, miał wymiar ideologiczny. Pisałem już o tym nieraz, ale to kluczowy temat. Kaczyński i kapłani jego sekty uważali, że prawicowo-religijny konserwatyzm został zagnany przez liberałów i lewicę do ciemnego kąta, zamknięty w gettach. Trzeba było więc zburzyć mury. Ambicje były wielkie. Zamierzano sformatować nowego Polaka, patriotę bez refleksji nad komplikacjami polskiej historii, nacjonalistę. Konserwatywnego w myśleniu o sprawach społecznych i obyczajowych. I stworzyć nową polską opowieść patriotyczną. To miała być reakcja na zawłaszczenie przez liberałów i lewicę opowieści o Polsce. Nasza polskość została skundlona i skażona poczuciem niższości wobec Europy, a też naznaczona „pedagogiką wstydu". „Pedagogika wstydu", wzruszający termin, ukochany przez pisowskich „intelektualistów", to ujawnianie naszych wad i ciemnych, wstydliwych rozdziałów historii. Choćby pokazanie płonącej stodoły w Jedwabnem. A własną historię trzeba idealizować, by wzmocnić ducha narodu. PiS miało przywrócić ojczyźnie dumę i opowiedzieć światu o naszej wielkiej historii.

Polska miała się stać zamożnym chrześcijańskim krajem, który pokaże, że nie trzeba się poddawać zmianom obyczajowym, LGBT itp. W tym celu wykreować trzeba było własne patriotyczne elity i stworzyć dzieła artystyczne. Nie udało się. Nic się nie udało. Mimo przejęcia placówek kulturalnych, teatrów, pism literackich, instytucji filmowych nie powstało ani jedno prawdziwe dzieło artystyczne w tym zdrowym narodowym nurcie. Bańka mydlana, która właśnie pęka, pryskając wszystkim w oczy pianą. Wystarczył na to miesiąc. PiS zraziło do siebie nie tylko ludzi o liberalnych poglądach, ale też wszystkich myślących zdroworozsądkowo i racjonalnie, propaganda w mediach przypominała tę z czasów stalinowskich. I okazało się, że nowa idea połączyła się z pazernością. PiS kupowało najemników, ale kupowało także społeczeństwo, rozdając pieniądze. Teraz rozbita armia pisowska uchodzi, dźwigając na plecach wory pełne łupów. I złorzeczy.

•

Barbara Nowacka jest nową minister edukacji. Co za kontrast po Czarnku. Ładna fizycznie i moralnie, twarda i miękka, ostra i łagodna, o liberalnych poglądach. Widzi, jak beznadziejnym miejscem stała się szkoła, nie lubią jej uczniowie, nauczyciele i rodzice uczniów. To jest dramat. Program skostniały i przeładowany, co widzę też po swoich dzieciach. Ma być odchudzony, unowocześniony. Sam się zastanawiam, czy powinny być „Dziady" i podobnie ciężkie, dzisiaj już mało czytelne lektury. To straszne, co piszę. Mój ojciec kochał Mickiewicza, napisał jego świetną biografię, która przez długie lata była szkolną lekturą. Ale był przed wojną nauczycielem i karmienie uczniów trudną literaturą zdawało mu się przymusowym karmieniem gęsi. A przecież kochali go uczniowie. Jest też zapowiedź zniesienia prac domowych dla uczniów najmłodszych klas i ograniczenie ich zadawania w przypadku starszych uczniów. To poluzowanie bolesnego gorsetu.

Według PiS polskość została skundlona i skażona poczuciem niższości wobec Europy.

Nowacka zauważa, że jest dramat z wychowaniem seksualnym. Dla PiS był to temat wstydliwy, który najlepiej przemilczeć. Uczniowie sami się więc kształcą w internecie. A tam – hulaj dusza, wszystko jest, a najwięcej pornografii. Nigdy młodzież nie była tak świadoma jak dzisiaj, ale czy o to nam chodzi, by odbywało się to w takiej formie? Fioł seksualny stoi na straży męskiej duszy pisowskiej. A w nocy po cichu do burdelików.

•

Samochodem do Giżycka, hotel w dawnym zamku krzyżackim. Droga była śnieżna, śnieg niewiele pomaga szpetnym miasteczkom. Mimo wszystkich estetycznych zmian na lepsze nadal bez liku tej dawnej brzydoty. I ona mi się odruchowo kojarzy z pisowskim elektoratem, z brzydotą tej partii. Stare Giżycko niestety zburzono, więc brakuje dawnej zabudowy, ale miasto wygląda porządnie i estetycznie. W hotelu w pięknej sali jadalnej, w bałaganie, książki na półkach. Ile tam dobrej literatury zdegradowanej do roli dekoracji.

•

Mój felieton, wysłany w środę rano, już nie zobaczy, jak Wąsik i Kamiński próbują się wedrzeć na salę sejmową. Dwóch męczenników, heroicznych głodomorów, objął akt łaskawości Dudy. Prezydent się wzbraniał, bo niby już ułaskawił, więc głupio tak po raz drugi. Poświęcił jednak swój prestiż z litości, ma miękkie serce i ma złudzenia, że jakiś prestiż mu jeszcze został. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

Kiedy sommelierka traci smak

Po świecie chodzi wiele osób ze stwardnieniem rozsianym, które są nieświadome choroby i uważają się za zdrowe

Guy Leschziner

Rodzice mojej matki pochodzili z Bagdadu i to tam się urodziła. Dorastała w domu na brzegu dużej rzeki – Eufratu lub Tygrysu (gdy się wyprowadzali, była zbyt mała, żeby to zapamiętać). W domu żydowskim, w którym mówiło się po arabsku. Pamiętam, jak dziadek jakieś pół wieku po opuszczeniu Iraku przesiadywał pod drzewem w słońcu, popijając z małej szklanki z grubego szkła kawę, którą babcia parzyła na piecu w niewielkim miedzianym dzbanku, i grał z kolegami w tryktraka. Cierpki, przypalony zapach kawy zmieszany z nutami kardamonu. Dźwięk gardłowego irackiego akcentu dobiegającego z ust mężczyzn, którzy tak właśnie spędzaliby czas w Bagdadzie. (…)

Po wejściu do domu dziadków zastawałem stół obstawiony jedzeniem – na samą myśl o nim wciąż cieknie mi ślinka: parujący ryż z szafranem i soczewicą, *kibbeh* (kulki z pszenicy zagniecionej z mięsem jagnięcym, cynamonem i orzeszkami pinii) lub klopsiki w sosie morelowym, a do tego *amba*, pikantny słodko-kwaśny dip z mango, limonki i mieszanki przypraw – dobitny przykład na to, że jedzenie może przejść do historii. (…)

Z kolei rodzina ze strony mojego ojca była zupełnie inna. Jego matka, a moja babka, uciekła z Berlina w 1931 r., kiedy tylko pojawiły się pierwsze oznaki kłopotów – w wieku zaledwie 16 lat sama, bez rodziców, wsiadła na statek płynący do Palestyny. Była twarda i harda, zamieniła mieszczański dom w metropolii uważanej w tamtym okresie za szczytowy przejaw cywilizacji na życie w skrajnej nędzy. Jej relacje z jedzeniem były skomplikowane. Dla niej było to po prostu paliwo, zło konieczne pozwalające przepracować cały dzień, a nie przyjemność, którą można się delektować. (…)

Pod względem fizycznym moi dziadkowie nie mogliby się bardziej różnić. Ona miała masywną budowę, była silna niczym wół, a jej głos był potężny. Mimo agresywnych taktyk kulinarnych babci dziadek pozostał jednak chudy jak patyk, wolał mówić półszeptem, a po domu poruszał się wolno. Gdy żona nakładała mu na talerz górę jedzenia, on tylko je skubał. Dopiero kiedy trochę podrosłem, zdałem sobie sprawę, że jego niechęć do potraw była kwestią melancholii, która przenikała całe jego życie. Dziadek został aresztowany w „noc kryształową" w Breslau – wtedy niemieckim mieście, w którym się urodził, obecnym Wrocławiu – po czym słuchał eksplozji granatów ciskanych przez nazistów do wnętrza głównej synagogi stojącej naprzeciwko komisariatu, w którym go przetrzymywano. Udało mu się uciec z Trzeciej Rzeszy niedługo przed wybuchem II wojny światowej, w czerwcu 1939 r. Z całej rodziny przeżył tylko on i jego brat, reszta zginęła w obozach. (…)

Kilka lat przed śmiercią mój dziadek stracił węch. Pamiętam, jak jego słaby i tak apetyt całkiem zanikł, przez co ten szczupły mężczyzna stał się tak kruchy, że zdawało się, iż w każdej chwili może złamać się na pół.

Jak można sobie wyobrazić, kuchnia mojego dzieciństwa była mocno zróżnicowana, każda potrawa zaś przypomina mi o innym aspekcie historii rodzinnej – jej początkach, traumach, migracjach. (…)

W trakcie półrocznego stażu na oddziale onkologii regularnie widywałem pacjentów, u których błona śluzowa jamy ustnej dotknięta była bolesnym stanem zapalnym na skutek leków, które tłoczyliśmy im do żył. Środki stosowane do chemioterapii biorą na cel mechanizmy pozwalające komórkom się dzielić i rozmnażać, tym samym uszkadzając gwałtownie rosnące nowotwory. Skutkiem ubocznym tej farmakologicznej bitwy jest jednak niszczenie innych szybko się replikujących tkanek, takich jak skóra (podrażnienia i ból wnętrza dłoni i stóp), szpik kostny (anemia i obniżony poziom białych krwinek) czy jelita (możliwe obfite biegunki). Pacjenci, których usta są obolałe, a języki opuchnięte, tracą smak, który powraca stopniowo w miarę rekonwalescencji. Jeśli jednak pominąć te konkretne okoliczności kliniczne, zaburzenia smaku zdarzają się niezwykle rzadko. Wśród innych potencjalnych przyczyn wymienić można stosowanie leków, które wpływają na działanie kubków smakowych lub produkcję śliny. (…)

Bywa, że czas okazuje się najlepszą metodą diagnostyczną.

Spośród pacjentów, których miałem okazję przyjmować w swoim gabinecie, zaledwie garstka skarżyła się w pierwszej kolejności na utratę lub zmianę smaku. Jedną z tych osób jest Irene. Po raz pierwszy „spotkaliśmy się" na początku drugiej fali pandemii COVID-19. (…) Mieszkała w Londynie od jakiegoś czasu, ale pochodziła z Toledo w Hiszpanii. Wyglądała jak typowa młoda Hiszpanka (miała 29 lat).

Irene skierowano do mnie z poradni periodontologicznej. Od pięciu miesięcy doświadczała utraty smaku – z uwagi na okoliczności, gdy po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę, była pewna, że bezobjawowo przeszła koronawirusa. Brak smaku był jednak niepokojący w związku z tym, że Irene jest sommelierką. I to nie byle gdzie: od kilku lat pracuje

eprasa.pl ada987d974

w restauracji wyróżnionej gwiazdką Michelina. Jej powołanie ma bezpośredni związek z podniebieniem, od którego zależy cała jej kariera.

Pytam Irene, czy zawsze miała wyrafinowane podniebienie, czy z tego właśnie względu pociągał ją świat wina. Okazuje się jednak, że chodziło o zwykły przypadek.

– Gdy miałam pięć lat, pomagałam babci gotować. Zawsze lubiłam gotować w domu. Moja rodzina pochodzi częściowo z południa Hiszpanii, a częściowo z północy. Północ szczyci się swoją gastronomią – fantastycznymi owocami morza, kuchnią Galicji i Kraju Basków. Z kolei na południu

króluje wieprzowina: *jamón ibérico de bellota* to kulinarny odpowiednik złota. Szynkę tę wytwarza się z mięsa czarnych świń iberyjskich, hodowanych w lasach dębowych Andaluzji i Estremadury.

Rozmowa o potrawach z rodzinnych stron Irene sprawia, że cieknie mi ślinka.

– Przez dwa lata studiowałam sztukę, historię sztuki, malarstwo i tym podobne, ale i tak wiedziałam, że chcę pracować w restauracji. Szczerze mówiąc, chciałam zostać szefem kuchni.

Na początek Irene poszła na kurs kelnerski, umożliwiający wniknięcie do branży restauracyjnej, potem zdobyła dyplom z hotelarstwa. Doświadczywszy jednak życia na zapleczu i na sali wśród klientów, zdała sobie sprawę, że praca za drzwiami prowadzącymi do kuchni nie jest dla niej.

– W tamtym momencie stwierdziłam: „Po co mam siedzieć w kuchni, skoro tak naprawdę chcę przebywać z ludźmi?”.

Staż w wyróżnionej gwiazdką Michelina restauracji w Marbelli przeciągnął się do czterech lat, w trakcie których Irene uznała, że największą przyjemność sprawia jej łączenie jedzenia z winem. Po uzyskaniu stosownego dyplomu wiedza na temat win otworzyła jej drzwi do lokali w całej Hiszpanii, a w ciągu ostatnich dwóch lat – także w Londynie. (…)

Wyjaśnia mi, że ludzie kojarzą wina ze znajomymi smakami i zapachami, sommelierzy muszą więc być obeznani z szeroką ich gamą, której bez szkoleń mogliby nie rozpoznać. Spędziwszy sporo czasu w prowincji Malaga, na południowym skraju Półwyspu Iberyjskiego, Irene płynnie posługiwała się już językiem owoców, zwłaszcza tropikalnych, takich jak marakuja czy kaki (persymona), słabiej znała za to aromatyczne przyprawy, choćby goździki lub cynamon.

Latem 2020 r., w przerwie między ogólnokrajowymi kwarantannami, Irene zauważyła coś dziwnego. Restauracje zaczęły się wówczas ponownie otwierać po okresie stagnacji wymuszonym przez koronawirusa i mogła wrócić do pracy.

– Po jednej stronie ust smak miałam inny niż po drugiej – wspomina.

Proszę, żeby dokładnie opisała te różnice, ale ma z tym trudności. (…)

– Wrażenie było takie, że po jednej stronie smak był trochę bardziej papkowaty. (…) Wrażenia związane z jedzeniem i napojami były bardziej… No, nie wiem, jak to wyrazić. Kremowe. Na początku uczucie było jakieś takie kremowe.

Po jednej stronie ust smak miałam inny niż po drugiej.

Irene precyzuje, że w pierwszej kolejności zmieniło się uczucie w ustach, które porównuje z wełnistym wrażeniem wywołanym zjedzeniem chipsów Pringles. Zaczęła od zrobienia sobie testu na koronawirusa, który na szczęście wyszedł negatywny. Po kilku dniach odnotowała dyskomfort w okolicy zębów mądrości. Po wizycie u lekarza dostała receptę na antybiotyk, który miał wyleczyć domniemaną infekcję stomatologiczną. Leki nie pomogły jej jednak pozbyć się symptomów, które pogarszały się z każdym dniem. Irene zaczęła doświadczać braku czucia w prawej części ust, dziąsłach, policzku, a z czasem – w całej prawie stronie twarzy. (…)

– Byłam już wtedy poważnie zestresowana. Od dwóch tygodni nie potrafiłam wyczuć kwasoty wina. Myślałam: „Straciłam swoje życie. Nie mam już smaku”. Czekałam właśnie na awans. Chciałam robić coraz więcej rzeczy związanych z winem. Nikt nie wiedział, skąd bierze się mój problem. Nikt nie wiedział, kiedy minie. Miałam ochotę krzyczeć: „Dajcie mi coś, żebym odzyskała smak!”.

Jej nieustępliwość doprowadziła do licznych wizyt u dentysty, a ostatecznie także do konsultacji w poradni chirurgii szczękowo-twarzowej. Po rozmowie z chirurgiem trafiła zaś do mnie, czyli neurologa. Chirurg zlecił rezonans magnetyczny twarzy, aby sprawdzić, czy doszło do uszkodzenia nerwów przewodzących informacje o smaku. Choć się okazało, że nerwy są całe, to na jaw wyszło coś innego.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ada987d974

Na zdjęciu widać białą puszystą plamkę w pniu mózgu. Wygląda na stan zapalny obejmujący obszar zawierający jądra służące za punkt wnikania sygnałów dotyczących smaku i czucia twarzy. Ewidentnie wyjaśnia to objawy Irene.

Choć nie ulega wątpliwości, gdzie znajduje się źródło problemu, jego przyczyny wciąż są jednak niejasne – stan zapalny w ośrodkowym układzie nerwowym mogą powodować niezliczone czynniki, w tym rozmaite zaburzenia o charakterze autoimmunologicznym czy następstwa infekcji wirusowych. Najbardziej prawdopodobną przyczyną, zwłaszcza u młodej kobiety, jest jednak stwardnienie rozsiane. Cechą charakterystyczną tej choroby jest pojawienie się „plam" stanów zapalnych w ośrodkowym układzie nerwowym, stanowiących przejawy niekontrolowanego ataku układu odpornościowego na części mózgu i rdzenia kręgowego. Dokładna natura tego zjawiska nie jest w pełni znana, lecz badania rezonansem magnetycznym ujawniają rozwój niewielkich obszarów uszkodzeń korelujących z „nawrotami": nagłym wystąpieniem objawów neurologicznych, takich jak utrata wzroku, osłabienie, odrętwienie lub utrata kontroli nad pęcherzem moczowym. Napaść układu odpornościowego na układ nerwowy jest wymierzona w komórki wytwarzające osłonkę mielinową, czyli grubą otoczkę białkową powlekającą neurony niczym gumowa warstwa przewodu elektrycznego.

Mielina przyspiesza przekazywanie impulsów elektrycznych i wspomaga utrzymanie zdrowia leżących pod nią komórek nerwowych, odpowiadających samemu przewodowi biegnącemu w organizmie. Tak więc utrata mieliny prowadzi przede wszystkim do obniżenia prędkości przesyłu informacji, oprócz tego jednak szkodzi też neuronom przewodzącym impulsy. Zależnie od obszaru i uszkodzonych obwodów mogą wystąpić różne objawy.

Gdy byłem stażystą, regularnie widywaliśmy pacjentów, których ciała i układy nerwowe zostały zdewastowane przez tę właśnie chorobę – chorzy doznawali paraliżu bądź ślepoty wywołanych niekontrolowanym stanem zapalnym wgryzającym się w mózg i rdzeń kręgowy. (…)

Z czasem zdaliśmy sobie jednak sprawę, że po świecie chodzi wiele osób ze stwardnieniem rozsianym, które są nieświadome swojej choroby i uważają się za zdrowe. Niewielkie, utajone obszary dotknięte stanem zapalnym dałoby się co prawda uchwycić na zdjęciach mózgu, ale ich istnienia nie podejrzewa ani dana osoba, ani nawet jej lekarz.

W ciągu dwóch ostatnich dekad ta dziedzina neurologii zmieniła się nie do poznania. Porzekadło głoszące, że neurologia to nauka oferująca tysiące diagnoz, lecz tylko jedno lekarstwo – sterydy – stało się nieaktualne. Obecnie dostępne są niezliczone formy leczenia – zastrzyki, wlewy dożylne czy tabletki – dzięki którym można udaremnić ataki układu odpornościowego na układ nerwowy.

W niektórych przypadkach tego typu leki potrafią całkowicie zahamować rozwój stwardnienia rozsianego, w innych zaś spowalniają tylko jego działanie i postęp. Choroba stała się zatem w pewnym stopniu możliwa do leczenia czy wręcz wyleczenia (…). Nie chcę przez to powiedzieć, że osoby chorujące na stwardnienie rozsiane nie doświadczają już poważnej niepełnosprawności, lecz to, że w przypadku coraz większej ich liczby wcale do tego nie dochodzi.

Irene sprawia wrażenie zaskakująco nieporuszonej, mimo że już wcześniej wspominano jej o możliwości wystąpienia u niej stwardnienia rozsianego. Skupia się przede wszystkim na odzyskaniu smaku. Informuję ją, że najpierw musimy wykluczyć wszystkie możliwości, i wysyłam na badania krwi. Zdjęcia mózgu pokazują pojedyncze miejsce dotknięte zapaleniem, lecz przyglądając się im uważnie, można dostrzec maleńkie punkty stanów zapalnych w innych miejscach, co może wskazywać na stwardnienie rozsiane. Niezwłocznie umawiamy się na ponowne badanie rezonansem magnetycznym, które potwierdza, że tymczasem nie powstały żadne nowe stany zapalne – pierwotna „plama" tylko dojrzewała, jak można się było spodziewać po pojedynczym przypadku zapalenia. Z punktu widzenia diagnostyki można jedynie czekać i obserwować, szukając dowodów na istnienie nowych stanów zapalnych w postaci kolejnych symptomów albo na kolejnych zdjęciach rezonansem magnetycznym. Bywa, że czas okazuje się najlepszą metodą diagnostyczną.

W kwestii objawów u Irene pojawiają się jednak oznaki poprawy, i to nie tyle pod wpływem jakiejś konkretnej metody leczenia, ile raczej w wyniku przemyślanej bezczynności lekarskiej. Odrętwienie twarzy osłabło, choć kobieta wciąż ma duże trudności z wyczuciem kwaśnych i cierpkich smaków.

Zdumiewa mnie to, że Irene przez cały ten czas pracuje jako sommelierka, wciąż testuje wina i dopasowuje je do nieznanych sobie potraw. Pytam, jak jej się to udaje, skoro cierpi na tak poważne zaburzenia smaku.

– Szczerze mówiąc, zanim do tego doszło, moje umiejętności były mocniej związane ze smakiem w ustach niż z nosem – wyjaśnia. – Naturalnie usta i nos są połączone, i jeśli nie czuje się czegoś nosem, to nie wyczuwa się tego także w ustach. Ale ja zawsze polegałam na podniebieniu bardziej niż na nosie. Od kiedy cierpię na to coś, musiałam zacząć trenować nos.

Pytam, jaki wpływ miał ten stan na jej zdolność do łączenia wina i potraw w pary. Nie spodziewam się odpowiedzi, którą od niej usłyszę – że był on względnie niewielki.

– Te połączenia są trochę subiektywne, prawda? Daję wina do spróbowania kolegom i koleżankom i pytam, co o nich myślą. Próbuję ich z nimi i jeśli mówią: „Wow, świetne, niesamowite", to myślę: „Okej, w takim razie dla mnie też jest dobre".

Chwilę później Irene dodaje jeszcze:

– Jestem osobą, która potrafi się dostosować do wszystkiego.

Fragmenty książki prof. Guya Leschzinera *Kobieta, która widziała zombie. Kiedy zmysły stają się twoim wrogiem*, przeł. Marcin Sieduszewski, Znak Literanova, Kraków 2024

eprasa.pl ada987d974

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Niepisany los

Najbardziej żałuję, że przestałem pisać dziennik, choć raczej powinienem uściślić: przestał mi się pisać, bo to samopis był – rodzaj porannej higieny umysłowej, kiedy myśli samopas puszczone, bez cenzury superego, ale też bez obróbki literackiej, układały się w raport duchowy z poprzedniego dnia, a czasem i z tego, co we śnie się przeżyło. Pisało się z górą przez 30 lat, od nastoletnich rozterek pryszczatego prawiczka począwszy, zapisywały się życie, dojrzewanie ciała i wieczna niedojrzałość duszy, utrwalały się tysiące wydarzeń, jako i niewydarzeń, a wszystko po to, by, kiedy już sam o sobie zapomnę, zgodnie z genetyczną tradycją demencji starczej w mojej rodzinie, móc sobie przeczytać swoje życie od nowa, jakbym album zdjęć z przeszłości oglądał. Aż tu przyszła przed kilku laty pokusa diabelska, by się wykpić z umowy wydawniczej na prozę, na którą sił nie starczyło – zaoferowałem dziennik z lat warszawskich, wydawca przyjął, wydał, tak się ukazały „Rozmemuary". I wtedy nagle poczułem, że to błąd o konsekwencjach dalekosiężnych – bo, po pierwsze, nie da się zrobić literatury z czegoś, co było pisane wyłącznie do użytku wewnętrznego, to jakby podać tatara komuś, kto zamówił stek *well done*, po drugie, raz skalany upublicznieniem raptularza nie mogłem już oprzeć się myśli, że cokolwiek w nim nagryzmolę, znowu w przyszłości będzie mogło się ukazać w druku, a zatem włączyłem funkcję czuwania w autocenzurze. To wyklucza pisanie dziennika, a pisać „Dziennika" mi się nie chce, mam lepsze pomysły na autofikcję prozatorską.

Tak to lenistwo pozbawiło mnie jednej z największych intelektualnych przyjemności, a zarazem skutecznej autoterapii, dodatkowo wpędzając w stan nihilistycznej permanencji – bo zdążyłem przywyknąć, że co niezapisane, to nieprzeżyte. Żyję więc od kilku lat, ale nie przeżywam, albo odwrotnie – moje przeżycia nie składają się na życie, tak czy owak odnoszę wrażenie tkwienia w jakimś powidoku egzystencji, skoro nie jest mi pisany żaden los. A chciałoby się czasem odwrócić pióro od tych wszystkich spraw wagi państwowej, wyemigrować wewnętrznie i pisać o tym, co przytrafiło się mnie, Wojciechowi Kuczokowi, nie zaś mnie – obywatelowi kraju rozgorzałego. Wciąż bowiem przytrafiają mi się rzeczy dobre, a najlepszą spośród nich jest ojcostwo.

Dzieci Mazowsza zaczęły tegoroczne ferie nadzwyczaj wcześnie, przeto zdążyłem już Antka np. zaciągnąć na manowce podziemne i przekonać się bodaj ostatecznie, że trzecie z kolei dziecko moje absolutnie nie połknęło bakcyla speleologicznego. Owszem, trochę jaskiniowej gimnastyki w fajnym towarzystwie to zawsze jakaś heca, która pozwala uniknąć nudy, ale już widzę, że dzisiejszy ośmiolatek w dorosłym życiu, podobnie jak jego starsi brat i siostra, do grot już nawet nie splunie. Nijak go ten rodzaj znikania z powierzchni ziemi nie rajcuje. Także górskie wędrówki są dopuszczalne tylko pod warunkiem pakietu dodatkowych atrakcji, w postaci rówieśników na szlaku, z którymi można się powygłupiać, smażenia kiełbasek pod wiszącą skałą albo poszukiwania skarbu zbójników (czyli jakiejś zmyślnie ukrytej skrzynki geocache). Antek jest uzależniony od dziania-się, monotonia marszu pod górę odbiera mu siły, natura nie zachwyca sama w sobie, jeśli nie jest scenerią akcji – umiem się z tym pogodzić i w przeciwieństwie do mojego własnego ojca nie ględzę: „Podziwiaj widoki, mały diable!".

Nie da się zrobić literatury z czegoś, co było pisane wyłącznie do użytku wewnętrznego.

Jeszcze jedno dziecię mieszczańskie mi się chowa, trudno, tym bardziej trzeba go zabierać za młodu w miejsca, których jako dorosły będzie unikał. Widać inny mu los pisany, wierzę, że znacznie lepszy niż mój. Na pewno jaśniejszy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTubie i LinkedIn

eprasa.pl ada987d974

Skowronek dalekiej północy

Gdzie można spotkać górniczka?

Konrad Malec

Ilekroć nadchodzi najpiękniejsza pora roku, mój układ nerwowy zaczyna odbierać mrowienie, a oczy wyszukują zimowych gości z dalekiej północy. Od lat usiłowałem spotkać się szczególnie z górniczkiem i… co roku ponosiłem klęskę. W grudniu Marek Twardowski, wyszkowski ptasiarz, wstawił w jednym z portali zdjęcia tych ptaków. Ponieważ obszary, na których łazimy za ptakami, w znacznej mierze się pokrywają, odezwałem się do niego. Na kolejny wypad pojechaliśmy razem.

Barwny jak górniczek

Górniczki zamieszkują tundrę dalekiej północy oraz turnie wysokich gór całej półkuli północnej. Obszary pomiędzy nimi są co najwyżej odwiedzane przez te ptaki w trakcie wędrówek. Porozrywany zasięg spowodował, że wyróżniono ponad 40 podgatunków górniczków, często znacznie różniących się szczegółami ubarwienia. Tu warto wspomnieć, że jeden z podgatunków zamieszkuje Kolumbię, tym samym jako jedyny z około stugatunkowej rodziny skowronków przekroczył równik. Żółto-czarne elementy czynią górniczka najbarwniejszym jej przedstawicielem.

Kolejne „naj" to występowanie najdalej na północ i najwyżej w górę spośród wszystkich skowronków. Tak duża rozpiętość geograficzna, połączona ze zmiennością wyglądu i śpiewu oraz różnicami genetycznymi, każe części naukowców uważać, że górniczek to raczej kompleks blisko spokrewnionych gatunków. Ilu? Minimum czterech, choć może być ich o wiele więcej. Większość jednak uważa górniczki za jeden gatunek, mimo że podstawowym kryterium rozdzielenia gatunków jest izolacja rozrodcza. I ta ma miejsce, jeśli nie z uwagi na niemożność spłodzenia jaj w związkach górniczków z zachodniej Kanady z tymi z północnej Europy, to z uwagi na izolację geograficzną (trochę jak lwy i tygrysy, w zoo się krzyżują, w naturze się nie spotykają).

Tu zauważę, że krzyżujące się ze sobą, blisko spokrewnione czarnowrony i wrony siwe, jeszcze dwie dekady temu traktowane jako podgatunki, dziś są uznawane za osobne gatunki, mimo owego krzyżowania się (mieszańce mają niższą przeżywalność). Ba! W Wiedniu widziałem więcej mieszańców niż czarnowronów.

Po śpiewie je poznacie

Wspomniałem, że górniczki różnią się fizycznie i akustycznie. Zacznę od śpiewu. Naukowcy z Kolumbii wykazali znaczące różnice w śpiewie między ich górniczkiem a ptakami z Ameryki Północnej i Europy. Nie tylko oni je zauważyli, samice górniczków również – te z Ameryki Południowej były znacznie mniej zainteresowane miłosnymi trelami kawalerów z innych kontynentów.

Podobny przypadek obserwowano w Wielkopolskim Parku Narodowym, gdzie stwierdzono obecność ortolana (pięknie śpiewającego ptaka, któremu niejaki Beethoven ukradł piosenkę, czyniąc z niej znany motyw V Symfonii) odzywającego się w dialekcie charakterystycznym dla

eprasa.pl ada987d974

ptaków z Brandenburgii. Kilkanaście lat później Wielkopolskę wizytował inny ptak, śpiewający na modłę czesko-saksońską. Żaden z tych samców nie odniósł sukcesu, ortolany dziewczyny są najwyraźniej niczym Wanda, co nie chciała Niemca. Zaznaczę tylko, że mówimy tu o jednym gatunku, ptaki jak ludzie, języka (w większości wypadków) uczą się od dorosłych, różnią się więc w zależności od regionu.

Rozbieżności w ubarwieniu z kolei przebadali Amerykanie i wykazali, że tamtejsze podgatunki różnią się nie tylko zakresem żółci i czerni u samców, ale też wzorami na grzbiecie. Różnice te były wyraźniejsze u samic, co w pierwszej chwili wydaje się zaskakujące. Chodzi jednak o dopasowanie się do podłoża. Tam, gdzie było ono drobnoziarniste, kontrasty u samic (u samców także, ale mniejsze, często nieistotne statystycznie) były wyraźniejsze, a poszczególne plamki drobniejsze, tam zaś, gdzie przeważało podłoże żwirowe, kontrasty były słabsze, a plamki większe. Wynika to z biologii rozrodu, u skowronków chłopaki nie siedzą na jajach, a gniazda znajdują się na ziemi. Różnice w kontrastach ułatwiają maskowanie się wysiadującej samicy.

Druga szczególna rzecz dotyczy jasności ptaków. Okazuje się, że w im suchszym i cieplejszym miejscu żyją górniczki, tym mają jaśniejszą barwę. Jasne ubarwienie odbija więcej promieni słonecznych, tym samym ptak mniej się nagrzewa i łatwiejsza staje się termoregulacja oraz oszczędna gospodarka wodna (przegrzane ptaki wprawdzie się nie pocą, ale sapią jak psy, w ten sposób szybciej odparowując wodę wraz z ciepłem). Oczywiście ptaki z zimniejszych miejsc są ciemniejsze, co pozwala lepiej absorbować ciepło i tym samym wydawać mniej na ogrzewanie. Ostateczne ubarwienie jest najbardziej optymalnym kompromisem między maskowaniem się, utrzymaniem odpowiedniej temperatury i nawodnieniem ciała.

Wege? Tylko w gościach

Wyprawa z Markiem początkowo nie wróżyła sukcesów. Brnęliśmy przez zaorane pola, pokrywając kalosze pokaźną warstwą żyznego błota. Czasem udawało się wejść na ściernisko czy ugór. Spotykaliśmy rzepołuchy i myszołowy włochate, innych gości z dalekiej północy, oraz stadka makolągw. Te ostatnie zapewne również wpadły na ferie zimowe, choć nie można wykluczyć, że to miejscowe ptaszyska. Było też kilka skowronków, jeszcze parę lat temu niewidywanych na północnym Mazowszu o tej porze roku. To efekt zmian klimatu. Wszystkie te obserwacje były sercu miłe, ale… nie dla nich tu przybyliśmy.

Marek co chwila wyrzekał: „Tu były, serio!”. Wiem, wiem, widziałem zdjęcia, zresztą to porządna firma, nie zmyśla, by podbudować sobie ego. Spróbujemy na innych polach, ale jeszcze postanawiamy obejść jeden kawałek, bez wiary, na wszelki wypadek, by potem nie żałować, że coś przeoczyliśmy. I to był najlepszy pomysł tego dnia! Słyszymy ciche popiskiwanie, Marek strzyże uszami (a przynajmniej takie sprawia wrażenie), podniecenie maluje się na jego twarzy. Wzmagam czujność. I oto dostrzegamy osiem ptaków lecących tuż nad niską miedzą. Spadają na ściernisko i giną nam z oczu. Podchodzimy bliżej, ptaki się niepokoją, podrywają do lotu. Stoimy cierpliwie, aż ochłoną. Po chwili lądują w typowym dla siebie miejscu, na zaoranym polu.

Wydawać by się mogło, że ptak z taką ilością żółci i tak kontrastowym rysunkiem sam wejdzie w lornetki. Tymczasem zaskakująco trudno drania dostrzec. Wreszcie dobrze je widzimy. Ustawiam lunetę, Marek sięga po aparat. Górniczki wcale nie ułatwiają zadania, uganiają się za ziarenkami chwastów i pożniwnymi resztkami. Jak na takie maluchy biegają nadzwyczaj szybko, sprawiają wrażenie małych myszek, z tym że zdają się znacznie ruchliwsze. Poszukując pokarmu, przesuwają się ku krawędzi pola, na szczęście dla nas w stronę zaparkowanego pojazdu. Idziemy powoli za nimi, co chwila gapię się w lunetę, póki górniczki nie odbiegną kawałek dalej. Za każdym razem przesuwamy się za nimi, sycę oko ich widokiem, z boku słyszę trzask migawki.

Górniczki zamieszkują tundrę dalekiej północy oraz turnie wysokich gór całej półkuli północnej.

W im suchszym i cieplejszym miejscu żyją górniczki, tym są jaśniejsze.

Wreszcie pole się kończy, ptaki startują, zataczają pętle, szukając nowego miejsca ze smakołykami. Trwa to kilka minut, odlatują dość daleko. Odpuszczamy, nie ma co im kuprów zawracać. Idziemy do samochodu, wówczas Marek wspomina mimochodem, że czasem na tych polach spotyka poświerkę, innego gościa z północy, ale o wiele mniej licznie wizytującego Polskę. Napięcie znów rośnie, wytężamy wzrok, ale wyczerpaliśmy limit szczęścia. Wprawdzie odwiedzamy jeszcze kilka miejsc, przy okazji zgłaszamy obserwacje do ogólnopolskiej bazy Ornitho, ale jedyne, co nas czeka, to duże stado makolągw z dodatkiem rzepołuchów, skądinąd bliskich krewniaków. I oczywiście kolejne włochacze.

O ile, będąc u nas w zimowej gościnie, górniczki pasą się na polach ziarenkami, o tyle w rodzinnych stronach są niemal wyłącznie mięsożerne. Pochłaniają ogromne ilości owadów, niemało pierścienic i nieco pająków. W Fennoskandii zanotowano spadki liczebności górniczków, zwłaszcza uwidoczniło się to w Szwecji. Przynajmniej na tamtejszych nizinach, bo istniało domniemanie, że spadki nie dotyczą ptaków z gór, choć nie było też przesłanek, że jest inaczej. Ot, proza życia, na północy zabrakło ornitologów, by to sprawdzić. A może inne trudności stały za tym, że badań na wyższych wysokościach

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ada987d974

nie prowadzono? Wszak tamtejsze góry są właściwie bezludne, nie ma turystów ani schronisk górskich. Ciężkie warunki zniechęcają ludzi, więc trudno o dane.

Przez lata prowadzono badania nad wpływem intensywności żerowania reniferów na zagęszczenie górniczków, ale nie wykazały one istotnych różnic między terenami z wypasem renów a tymi z niewielką liczbą zwierząt. Tymczasem górniczków ubywało, aż znalazły się na czerwonych listach Szwecji i Finlandii. Przy okazji badano inne ptaki współwystępujące z górniczkami. Wprawdzie nie tylko tym ostatnim się pogorszyło, ale uzyskane wyniki dla innych gatunków nijak się miały do spadku liczebności górniczków. Trwający od przełomu lat 60. i 70. trend spadkowy odwrócił się wraz z końcem minionego stulecia i górniczki w Skandynawii (z Finlandii nie udało mi się odnaleźć danych) zaczęły odbudowywać liczebność. Problem leżał zupełnie gdzie indziej, na… zimowiskach.

Za ciepło

Górniczki zamieszkujące na północ od nas zimują nad Morzem Wattowym. Dla niewtajemniczonych – owo morze jest nim tylko z nazwy, w rzeczywistości to przybrzeżne wody Zatoki Niemieckiej na Morzu Północnym, o długości ok. 450 km i szerokości 10-30 km, rozciągające się od południowo-zachodniej Dani, przez Niemcy, po Holandię. Od pełnego morza akwen odcina łańcuch Wysp Fryzyjskich. W czasie odpływu znaczna część dna Morza Wattowego jest odsłaniana, dając ptakom niesamowite możliwości zdobycia pokarmu. Ale korzystają z tego głównie siewkowce, mewy i inne ptaki związane z wodami i terenami przybrzeżnymi. Całe morze jest transgranicznym obszarem światowego dziedzictwa UNESCO, a na terytoriach Niemiec i Holandii powołano cztery rezerwaty biosfery. Dodatkowo Holendrzy utworzyli w swoich granicach dwa, a Niemcy trzy parki narodowe. Wszystkie trzy państwa wspólnie zarządzają obszarem, by był on przyjazny dla przyrody, i wydaje się, że dobrze to działa. Pomyśleć tylko, że w podobny sposób przed wojną wspólnie ze Słowakami zarządzaliśmy Pieninami, a po zmianie ustrojowej początków lat 90. mieliśmy razem z Niemcami chronić dolną Odrę, powołując parki narodowe po obu stronach granicy. Niemcy swój pomysł zrealizowali niemal od ręki, my od przeszło trzech dekad nie zrobiliśmy nic, by park narodowy powstał (mimo bogatej dokumentacji naukowej obszaru; szczególnie dobrze poznane są ptaki).

W zachodniej Polsce górniczki spotykane są coraz rzadziej, przesunęły się za Wisłę.

Morze Wattowe w latach 60. zostało obwałowane, by chronić nisko położone obszary nadmorskie. Wszystko zmieniło się z końcem ubiegłego stulecia, gdy zaczęto demontować wały, oddając teren przyrodzie. Górniczki odzyskały miejsce żeru na solniskowych łąkach zalewowych, na których zimowały. To pokazuje, jak ważna w ochronie ptaków, i całej przyrody, jest współpraca międzynarodowa. To bardzo istotne również w naszym kontekście, bo i my jesteśmy krajem zimującym górniczki (i nie tylko), chociaż najprawdopodobniej ptaki u nas goszczące pochodzą z północnej Rosji, a nie ze Skandynawii, jak często się uważa.

Pewności nie ma, badania w tym zakresie są w powijakach. O ile się orientuję, jest osiem informacji zwrotnych z odczytanych obrączek, od ptaków oznaczonych na szwedzkich lęgowiskach. Wszystkie zimowały na wybrzeżach Morza Północnego (jeden odczyt pochodził z Hiszpanii, ale niemal na pewno to pomyłka). Na północy Szwecji czy Norwegii rzadko obrączkuje się ptaki, bo niewielu ludzi mogłoby je tam odczytać, a w północnej Rosji tym bardziej jest to skazane na porażkę. Mimo wszystko może kiedyś uda się odpowiedzieć na pytanie, czy górniczki zimujące w Polsce są Moskalami (w sensie geograficznym, nie należy ich utożsamiać z imperialistycznymi zapędami wschodniego sąsiada).

Kończąc wątek rosyjski, kilka lat temu w północno-wschodniej Syberii wydobyto ze zmarzliny ptaka sprzed 46 tys. lat. Okazał się nim górniczek, niemal na pewno przedstawiciel grupy, z której wywodzą się dwa dzisiejsze podgatunki.

Wprawdzie górniczki na naszej czerwonej liście nie figurują, ale obejmuje ona wyłącznie gatunki lęgowe, jej autorzy wskazują, że podobny dokument powinien powstać dla ptaków przelatujących przez Polskę i u nas zimujących. W starszej literaturze znajdujemy informacje, że górniczek jest ptakiem niezbyt licznie zimującym u nas, przeważnie w zachodniej części kraju. Obecnie w zachodniej Polsce górniczki są coraz rzadsze, przesunęły się za Wisłę. A i tu coraz trudniej je spotkać. „Przed laty widywałem więcej stad i były liczniejsze”, wyznał Marek w czasie wyprawy.

Idąc dalej, rozmawialiśmy o tym, że wypad zakończył się sukcesem, bo tu, na Kurpiach, niedaleko Bugu, zostało jeszcze trochę miedz, a pod nogami widywaliśmy rdest ptasi i inne chwasty, zapewniające pokarm ptakom. Cieszyliśmy się, że w ramach wspólnej polityki rolnej rolnicy muszą ugorować kawałki pól (o ile chcą otrzymać dopłaty), właśnie z myślą o ptakach. Ale nie tylko ubytek pokarmu jest dla zimujących u nas ptaków dotkliwy, prawdopodobnie robi się u nas za ciepło.

Zmiany klimatu to kolejny problem, który wymaga współpracy międzynarodowej. Tylko jak to osiągnąć w coraz bardziej podzielonym świecie? W świecie targanym coraz liczniejszymi konfliktami zbrojnymi, które same z siebie sporo dokładają do zmian klimatycznych. Tymczasem, by zatrzymać dalsze ocieplenie, musimy zacząć działać natychmiast. Inaczej stracimy dużo więcej niż górniczki i inne ptaki.

Konrad Malec

eprasa.pl ada987d974

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Płytko wstrzyknięta pogarda

Najpierw lecą szyje, potem leci wszystko. I tedy siwi, wysuszeni lub obwiśli, wyższościowi, wyrachowani – bywa, że obnosimy się z dziwnie powszechną pogardą dla ostrzykanych. Kpimy wyniośle z nabrzmiałych warg glonojadów, war-obciągar i klonów. Superstarzy, superstare (retorycznie) – będziemy tymczasem złośliwie świecić nieostrzykanym przykładem z nieskalanego świata siwizny, zębizny, zmarszczyzny. Z godnością będziemy świecić, z wysoka.

I nawet już nie pamiętamy, skąd nam do głowy przyszło, że stosowanie (lub nie) botoksu to ma być niby test na inteligencję. Skąd pomysł, że akurat niestosowanie botoksu (albo podobnych wybiegów) pomaga „starzeć się z godnością"? Czy przypadkiem w ten sposób nie przyjmujemy pozy kogoś, kto ma biegunkę na przyjęciu, ale wciąż jeszcze stoi, błyska zalotnie oczami, coś peroruje uparcie i nie rozumie, że wszyscy już widzą, jak mu mina stopniowo rzednie? Ale tak serio, skąd ta powszechna, sarkastyczna, łatwa pogarda dla „botoksiarzy"? Nie jest aby ździebko klasistowska? Czy nam, niemajętnym może, ale „czytającym", zdarza się w ogóle z szacunkiem pomyśleć o narodzie ostrzykanych? Że może mieli mniej szczęścia i rodzice w dzieciństwie nie zabierali ich do teatru? Że może nie wszyscy mają dość kapitału symbolicznego, żeby myśl o starzeniu się sublimować w sztukę?

Przez ten cały botoks wróciłam do tekstu Sophie Fontanel, która już w 2005 r. opisała słynną toksynę jako nowy mit współczesności. Francuska pisarka i influencerka podkreślała odwrotny efekt, jaki rzekomo osiągają osoby korzystające z toksyny: jej zdaniem botoks w twarzy skupia uwagę na wieku i stanowi przyznanie się do lęku przed odrzuceniem. Ale „destrukcyjna plastyczność", czyli tzw. nagłe, spowodowane nieszczęściem albo chorobą starzenie się, też skupia uwagę na wieku. Można powiedzieć, że starość w ogóle sprawia, że myślimy o wieku. A lęk przed odrzuceniem nie jest czymś, do czego trzeba się specjalnie przyznawać. Jest naturalny, biologiczny i racjonalny.

Kiedy czytałam tekst Fontanel 10 lat temu – wydawał mi się pokrzepiający. Teraz wydaje się śmieszny i nietrafiony. Zdania o tym, że przez botoks pozbawiamy się autorytetu, jaki dają zmarszczki, to przecież obłuda. Bo kto właściwie wysoko je ceni? Kto da podwyżkę za dodatkową zmarszczkę? Kto chętniej przyjmie na etat po sześćdziesiątce? „Wolność, jakiej dostarczają zmarszczki"? Czyli co konkretnie? Proszę wymienić profity.

Fontanel i niektórzy inni „starzejący się godnie" znaleźli sposób na obsługę własnej frustracji – pogardę dla „botoksiarzy". Ale nawet popularnej Francuzce wymsknęła się odrobina prawdy: „Gdyby to naprawdę był cudowny produkt, gdybyśmy krążyli we mgle i wychodzili z niej trochę młodsi, śmierć byłaby od nas trochę dalej, nadal byłaby naszym kresem – abyśmy mogli pozostać filozofami i ludźmi – ale przychodziłaby łagodnie – o tak, wszyscy by się na to zdecydowali".

Nadal to brzmi klasistowsko, prawda? Oznacza bowiem, że ci, którzy nie stosują botoksu, są bardziej spostrzegawczy (on „nie działa"), mają mniej złudzeń, silniej się opierają perswazji i reklamie. Szukałam zatem badań, które (wiadomo) potwierdzą, że to klasowe: kto biedny i niewykształcony, ten bierze botoks w usta, czoło i dolinę łez. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna: toksyny botulinowej używają zwykle kobiety wykształcone (94% ma wykształcenie wyższe lub średnie) i z dużych miast.

> Zaczynam podejrzewać, że z botoksem jest jak z Miłoszem, Zagajewskim, Szymborską i Herbertem – ma szczęście, że się dobrze nazywa.

Tymczasem w internetowej wersji Słownika języka polskiego ktoś złośliwie dopisał pod hasłem „botoksiara": „Typ kobiety przywiązującej nadmierną wagę do wyglądu. Określenie od botoksu, który tego typu kobiety często wstrzykują sobie w usta w celu ich powiększenia". Naprawdę? W jaki sposób kogoś determinują implanty, makijaż permanentny, tatuaże?

Wygląda na to, że botoks rzeczywiście jest jednym z mitów współczesności. Demonizowany, oskarżany, to znów przeceniany, jest przecież czymś, co nie mówi o nas niczego ważnego. Na forach dotyczących poprawiania urody przeczytałam tyle nazw zabiegów, stymulacji, masaży i narzędzi, że niewiele z nich udało mi się zapamiętać. Zaczynam więc podejrzewać, że z botoksem jest jak z Czesławem Miłoszem, Adamem Zagajewskim, Wisławą Szymborską i Zbigniewem Herbertem – ma szczęście, że się dobrze nazywa. To musiało mu dać ze 20 punktów do kariery. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ada987d974

KOWARY – miasto dywanów i gobelinów

Zakłady takie jak ten w Kowarach były atrakcyjnym miejscem dla artystów tworzących tkaniny unikatowe

Katarzyna Jasiołek

W latach powojennych brakowało niemal każdego rodzaju surowca, co odczuwali oczywiście również artyści. Nawet duże fabryki miały problem z dostępnością materiałów do produkcji. Na Dolnym Śląsku – wbrew wszelkim przeciwnościom losu – nie zamierzano jednak zwalniać tempa. Do 1949 r. zostały tam uruchomione niemal wszystkie zakłady o profilu związanym z przemysłem włókienniczym. W 1946 r. ruszyła produkcja w wytwórni włókien sztucznych we Wrocławiu, a w Jeleniej Górze – produkcja stilonu, modernizowano następne fabryki. W kolejnych dekadach wszystko nabrało tempa. Na całym świecie znane były lny z Mysłakowic, adamaszki z Bielawy, koronki igłowe z Jeleniej Góry, chusteczki z Lubania i w końcu dywany i wykładziny z Kowar.

Fabryka w Kowarach została opuszczona przez Niemców w 1945 r., wcześniej produkowano w niej siatki ochronne i koce dla wojska. Opuszczający zakład właściciele i pracownicy celowo zniszczyli maszyny, a ich części poniewierały się na strychach i piwnicach w całej okolicy. Rozpoczęcie produkcji było utrudnione zarówno ze względu na brak parku maszynowego, jak i z uwagi na brak wiedzy na temat produkcji dywanów. Początkowo fabryka kopiowała stare wzory. Komórka wzorcująca powstała tutaj dopiero w 1964 r. Zatrudnieni w niej plastycy opracowywali projekty dywanów, a ich pomysły sprawiły, że w latach 70. fabryka przeżywała rozkwit. Zatrudnienie znalazło tutaj 3 tys. mieszkańców miasta i okolic.

Powstawanie projektów nadzorowała Bożenna Burgielska, absolwentka Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, która w 1969 r. objęła kierownictwo wzorcowni. Do produkcji wykorzystywano wysokiej jakości wełnę importowaną z Nowej Zelandii, Anglii, a nawet z Tybetu. Możliwości kolorystyczne były nieograniczone, maszyny nowoczesne, a wyroby miały wyraźnie malarski charakter, co podobało się nie tylko w kraju, lecz także za granicą.

Wiele przemysłowych miast na Dolnym Śląsku utrzymywało kontakty z artystami, absolwentami wyższych uczelni plastycznych, kształcących projektantów przemysłowych. Kontakty te wspierała zresztą propaganda polityczna, która przejawiała się chociażby pod postacią projektu Ministerstwa Kultury i Sztuki „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką". Był on dla dyrektorów zakładów przemysłowych pretekstem do podejmowania decyzji o wspieraniu artystów niezatrudnionych na etatach, ale chcących realizować swoje pomysły w zakładach produkcyjnych. W Bolesławcu i Wałbrzychu odbywały się praktyki i plenery dla projektantów ceramiki, w Szklarskiej Porębie i Polanicy – dla artystów szklarzy. A co z tkaniną?

Zakłady produkcyjne, takie jak ten w Kowarach, były atrakcyjnym miejscem dla artystów tworzących tkaniny unikatowe. Nie tylko jako miejsce do odbycia praktyk studenckich czy podjęcia później pracy w ośrodku wzorcującym, ale także jako źródło surowca. W latach 70. na terenach podgórskich zlikwidowana została hodowla owiec, nie było także rodzimej produkcji włókna lnianego. Skąd więc brać materiał niezbędny do pracy twórczej? Z fabryk takich jak ta w Kowarach! Jednak nie chodziło o to, aby podzieliły się tym, co im samym jest niezbędne do produkcji, czy też oddawały lub sprzedawały nadwyżki. Trzeba było rozegrać to sposobem…

Znalazła go Ewa Maria Poradowska-Werszler, która w 1967 r. skończyła studia na Wydziale Projektowania Wnętrz i Sprzętów wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Ponieważ zawsze interesowała się tkaniną i sama tkała, na początku lat 70. odwiedziła wystawę tkanin Jadwigi Zaniewickiej i Moniki Piwowarskiej – artystek z warszawskiej Pracowni Doświadczalnej Tkactwa Artystycznego ZPAP. To one poradziły jej, co zrobić, aby móc prezentować we Wrocławiu, gdzie właściwie nie było tkaniny (tylko szkło i ceramika), tkaninę artystyczną. Idąc za ich radą, Poradowska-Werszler zebrała kilka absolwentek różnych wydziałów PWSSP, którym bliskie było rękodzieło związane z tkaniną, i zarejestrowała Grupę Tkacką „10 x Tak". Nastąpiło to w 1972 r., a już cztery lata później został podpisany dokument, który otwierał artystom drogę do kowarskiej fabryki, a samemu miastu miał na kolejne dekady zapewnić ich regularne wizyty. (…)

Plastycy z Kowar opracowywali projekty dywanów. Dzięki nim w latach 70. fabryka przeżywała rozkwit.

eprasa.pl ada987d974

Reklama fabryki dywanów. Kowary, 1985 r.

Pierwszymi uczestniczkami kowarskich spotkań były członkinie Grupy „10 x Tak". Pomysł pojawił się w 1973 r., a inauguracyjna impreza odbyła się rok później i trwała przez trzy tygodnie października i listopada – rzeczywistość wyprzedziła zatem podpisanie umowy. Podczas pobytu każda z artystek wykonała ręcznie na ramie pionowej gobelin o wymiarach 150 na 150 cm. Krosna przygotowała zakładowa stolarnia. Fabryka zapewniła artystkom nie tylko materiały niezbędne do pracy, lecz także zakwaterowanie i wyżywienie. O to, aby artyści w pierwszym dniu pleneru dostali wełnę do pracy, dbała wspomniana Bożenna Burgielska. Przędza dywanowa, stanowiąca odpad poprodukcyjny, który spada pod krosna mechaniczne, czekała przygotowana w wielkich jutowych workach. Była doskonale uprzędziona, a paleta dostępnych kolorów okazała się niemal nieograniczona. Radość była jednak największa, gdy twórcy mogli sami wybrać wełnę do pracy wprost z hali produkcyjnej. (…)

Chociaż wydarzenie w zasadzie nie miało programu, obowiązywała zasada, w myśl której bez względu na wiek czy tytuł naukowy uczestnicy zwracali się do siebie po imieniu. Szybko tworzyła się serdeczna, rodzinna atmosfera sprzyjająca kreatywności i wymianie doświadczeń warsztatowych. W tym miejscu chcę zwrócić uwagę, że moim celem było stworzenie „warsztatu tkackiego". Nazwa pleneru „Warsztat Tkacki – Kowary" kojarzyła się z rozwiązywaniem problemów technicznych i technologicznych oraz z poznawaniem tajników kunsztu tkackiego. Był to wyjątkowy czas dzielenia się umiejętnościami, które można było opanować w atmosferze przyjacielskich rozmów, pokazów i wymiany własnych doświadczeń.

Poradowska-Werszler nie zamierzała początkowo wyjść poza ramy skromnego spotkania, jednak szybko okazało się, że większy rozmach przedsięwzięcia jest nieunikniony. Informacja o plenerze błyskawicznie rozniosła się po kraju i poza jego granice. Artyści zabiegali o możliwość uczestnictwa, telefon w domu Werszlerów we Wrocławiu wciąż dzwonił, spływały także listy z pytaniami, czy są jeszcze miejsca na plenerze i według jakiego klucza dobierani są jego uczestnicy. Artyści najwyraźniej nie chcieli przepuścić jednej z niewielu okazji do spotkania na żywo z twórcami z zagranicy. Było to możliwe od 1976 r., kiedy wydarzenie przestało mieć charakter krajowy i przybrało nazwę Międzynarodowego Pleneru „Warsztat Tkacki – Kowary". Do miasta zaczęli przyjeżdżać już nie tylko artyści z ośrodków akademickich w kraju, ale także z zagranicy, zapraszani na wydarzenie ze względu na swój dorobek artystyczny w dziedzinie tkaniny. Polskie twórczynie i twórcy mogli u źródła zasięgnąć informacji o światowych konkursach, nawiązać kontakty z organizatorami wystaw za granicą, skorzystać z zagranicznej wymiany kulturalnej i oczywiście wziąć udział w corocznych zbiorowych wystawach tkaniny artystycznej.

Pierwszymi zagranicznymi gośćmi na kowarskim plenerze byli Reine Navin i Gunilla Skyttla ze Szwecji. Ich obecność wniosła powiew zachodniej sztuki. Rozbudzali ciekawość wśród grupy polskiej swoim podejściem do kreacji i swobody duchowej. Charakteryzowało ich duże poczucie humoru, które potęgowało się w czasie codziennych, skromnych posiłków. Znaleźli nazwę dla kaszanki, którą najczęściej serwowano na obiad i nawet na kolację, był to „polski kawior". W ten sposób wywołali burzę ogólnego śmiechu i rozluźnili napięcie spowodowane niedoskonałością menu.

W 1977 r. do Kowar przyjechali artyści z Czechosłowacji, Finlandii i NRD. W następnych latach dolnośląskie miasteczko odwiedzali twórcy z coraz to nowych krajów: Białorusi, Chorwacji, Danii, Francji, Holandii, Mołdawii, Niemiec, Rosji, Ukrainy, USA czy Węgier. W 1981 r. pojawiła się nowość – pierwsza wystawa z cyklu „Twórczość wyrażona w tkaninie". W Galerii Fabryki Dywanów zaprezentowane zostały prace Agaty Buchalik-Drzyzgi. Zupełnie inny pod tym względem był plener zorganizowany w 1982 r. – nie tylko nie wzięli w nim udziału artyści zagraniczni, lecz także nie było na nim wystaw. Artyści postanowili spędzić czas jedynie przy pracy twórczej. Nie zorganizowali prezentacji wizualnej swoich tkanin, tym samym nie odbyły się spotkania wernisażowe, które zwykle są okazją do spotkań ze społecznością lokalną. Cisza była

FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

symbolem protestu wobec polityki rządu – pisała organizatorka.

W kolejnym roku odbył się jubileuszowy plener i po raz pierwszy wystawa poplenerowa (prezentująca prace uczestników z lat 1981 i 1982) została zorganizowana w Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze. W 1984 wystawę poplenerową zobaczyć można było w BWA we Wrocławiu, w 1985 – w Muzeum Okręgowym w Jeleniej Górze, w 1986 – w Muzeum Architektury we Wrocławiu. W kolejnych latach miejsca się powtarzały, a te wędrówki wystawy sprawiły, że łatwiej było dotrzeć do nowych odbiorców. W 1989 r. znów nastąpiła zmiana. Zamiast jednej wystawy indywidualnej powstały dwie: Agaty Buchalik-Drzyzgi w Galerii Fabryki Dywanów w Kowarach oraz Konrada Zycha w Galerii Tkackiej „Na Jatkach". Ponieważ plener organizowany został po raz piętnasty, towarzyszyła mu także 15. Jubileuszowa Międzynarodowa Wystawa Poplenerowa „Warsztat tkacki – Kowary". Została otwarta w listopadzie w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Potem prezentowana była także w BWA we Wrocławiu, Zielonej Górze, Poznaniu i Białymstoku. (…)

Lata 80. były wyjątkowo trudnym okresem dla osób wykonujących wolne zawody. Dlatego też w czasie 11. pleneru artystki wykonywały, oprócz swoich tkanin, także pracę zleconą przez pewną francuską firmę. Jej efektem była kolekcja swetrów zrobionych na drutach z wełny, z jedwabnymi aplikacjami, która pozwoliła zasilić budżety twórczyń. W 1988 r. liczba uczestników imprezy podwoiła się. Podczas gdy niektórzy artyści pojawili się w Kowarach raz, dla innych miasto to stało się miejscem na tyle istotnym, że wracali tu co roku na trzy jesienne tygodnie, aby móc w spokoju popracować i spotkać się w gronie znanych sobie osób. Jedną z takich artystek była mistrzyni splotu Maria Teresa Chojnacka.

Rok 1990 był rokiem rekordowej liczby uczestników pleneru – do Kowar przyjechało niemal trzydzieścioro artystów. (…) W kolejnym roku zaszły nieoczekiwane zmiany. Dotychczasowe miejsce zakwaterowania plenerowiczów zostało sprywatyzowane, a w Kowarach nie było innego, które mogłoby przyjąć artystów, więc przenieśli się oni do Wojskowego Domu Wczasowego „Śnieżynka" w Szklarskiej Porębie. Fabryka wycofała się ze sponsorowania pleneru, zatem ze względów ekonomicznych spotkanie zostało skrócone do dwóch tygodni i tak już pozostało. Na szczęście, dzięki staraniom Bożenny Burgielskiej, artyści nadal byli zaopatrywani w materiały tkackie, które przewożono dla nich z Kowar do Szklarskiej Poręby autobusem zakładowym. Zainteresowanie wydarzeniem nie zmalało – wzięły w nim udział 22 osoby z Polski i zagranicy, podobnie jak w poprzednim roku zorganizowano także wystawy towarzyszące w Jeleniej Górze, Wrocławiu i Kowarach. Ustanowiona została również coroczna nagroda imienia Agnieszki Lackorzyńskiej-Sienkiewicz, zmarłej członkini Grupy „10 x Tak". Nagrody przyznawane były za prace prezentowane na aktualnej wystawie poplenerowej, decydowało o nich jury w zmieniającym się składzie, do którego zawsze wchodziła osoba uhonorowana w ubiegłym roku.

W 2009 r. Fabryka Dywanów upadła. Na szczęście nie oznaczało to braku wełny potrzebnej do tkania.

Rok 1992 to przenosiny do Domu Wczasowego „Legniczanka" w Bierutowicach, należącego do władz miasta. W sezonie organizowane były tutaj wczasy pracownicze, potem obiekt pustoszał i stanowił idealne miejsce na plener tkacki. Uczestnicy niezmiennie korzystali z wełny kowarskiej, a na wydarzenie przyjeżdżali twórcy z Polski i zagranicy.

W latach 90. w plenerach uczestniczyło nawet 40-50 osób, oprócz artystów także historycy sztuki, muzealnicy, osoby obserwujące to, co dzieje się w tkaninie artystycznej. Niektórzy, tak jak Irena Huml, odwiedzali Kowary jesienią przez lata. (…)

Rozmach wydarzenia był coraz większy, jednak nie zmieniało się to, co od początku było jego podstawą. Uczestnicy plenerów uczyli się od siebie nawzajem, dzielili się umiejętnościami wyniesionymi z domu lub też zdobytymi w toku kształcenia. W gronie plenerowiczów nie brakowało specjalistów od splotów, patchworków, koronki klockowej. (…) Pod koniec lat 90. zostały wprowadzone włókna lniane jako podstawowy materiał w pracach artystycznych. To dzięki pozyskaniu sponsora – Zakładów Lniarskich „Orzeł" w Mysłakowicach, w których artyści zaopatrywali się w odpady przędzy lnianej i resztek metrażowych pochodzących z hal produkcyjnych. Ukraińskie artystki wprowadziły do repertuaru twórców przyjeżdżających do Kowar batik chłodny, a potem także technikę batiku gorącego, zarówno na jedwabiu, jak i na pisankach. W 2005 r. artystka z Niemiec zaprezentowała wytwarzanie wojłoku z runa owczego, czyli filcu na mokro. Surowce podarował wrocławski ogród zoologiczny. (…)

Inną wprowadzoną techniką było plecionkarstwo. Bożenna Burgielska wtajemniczała artystów w proces projektowania i produkcji dywanów, pokazując, jak różniło się przygotowanie projektu w latach 70. i w dobie projektowania z wykorzystaniem komputera.

W 2001 r. sympozjum po latach wróciło do Kowar – bazą noclegową i warsztatową stał się hotel Przywodzie. (…) W 2009 r. Fabryka Dywanów upadła. Na szczęście nie oznaczało to braku wełny potrzebnej do tkania. (…) W ostatnich edycjach festiwalowi towarzyszyło każdego roku po kilkanaście ekspozycji, które można było obejrzeć nie tylko na Dolnym Śląsku. W 2023 r. przypadły 50. urodziny kowarskiego pleneru.

Fragmenty książki Katarzyny Jasiołek *Tkanina. Sztuka i rzemiosło*, Marginesy, Warszawa 2023

eprasa.pl ada987d974

NA EKRANACH

Obsesja

reż. Todd Haynes, prod. USA, w kinach od 2 lutego

Jest między nimi różnica 23 lat. Dla jednych dużo, dla drugich nie. I na stwierdzeniu, czy dużo, czy nie, pewnie by się skończyło czepianie małżeństwa Gracie Atherton-Yoo (Julianne Moore) i Joego Yoo (Charles Melton), gdyby nie fakt, że poznali się, gdy ona miała 36 lat, a on 13. Sprawa wyszła na jaw, gdy Gracie była w ciąży. Urodziła w więzieniu. Po odbyciu kary pobrali się i teraz żyją najlepszym życiem. Ale czy faktycznie jest im tak kolorowo? Na to pytanie musi sobie odpowiedzieć Elizabeth Berry (Natalie Portman), która przygotowuje się do roli Gracie w poświęconym jej filmie. Aktorka przyjeżdża do domu państwa Yoo, gdzie wychodzą na jaw coraz ciekawsze rzeczy na temat gospodarzy. Reżyser Todd Haynes znów składa hołd klasyce kina i wypycha na plan pierwszy silne kobiety, rewelacyjnie grane przez Moore i Portman. Co z tego jednak, skoro „Obsesja" często się ślamazarzy, a wystylizowane kadry nie są w stanie przykryć tego, że choć film dotyka drażliwego tematu pedofilii, robi to w sposób skandalicznie grzeczny. A przecież reżyseruje jeden z ojców New Queer Cinema, zaliczanego do bardziej prowokacyjnych nurtów w kinie!

Artur Zaborski

NA POWAŻNIE

Dramat po rozwodzie

Powstałą w 1797 r. operę wystawiają wspólnie warszawski Teatr Wielki-Opera Narodowa oraz Festiwal w Salzburgu. Tym razem zamiast w starożytnej Grecji rzecz dzieje się we współczesnej, bogatej Austrii, w środowisku elity biznesowej. Medea jest cudzoziemską żoną dobrze sytuowanego Jazona, który porzuca ją dla lepszej partii. Scenę wypełniają sprzęty i kostiumy z najwyższej półki. Wkraczamy też do nocnego klubu, gdzie panie tańczą na rurze. Tragiczny finał rozgrywa się jednak na stacji benzynowej. I tu wyobraźnia widzów nie jest wystawiona na próbę.

Bronisław Tumiłowicz

Luigi Cherubini, „Medea", kierownictwo muzyczne Patrick Fournillier, reżyseria Simon Stone, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 21 stycznia 2024

KURTYNA W GÓRĘ

Niewinność za kratami

Policealne Studium Aktorskie im. Aleksandra Sewruka, istniejące przy olsztyńskim Teatrze Jaracza od 1991 r., wykształciło już ponad 200 absolwentów. Trzyletnią naukę w nim wieńczy spektakl dyplomowy. Najnowszy to „Niewinność". Akcja toczy się w więzieniu dla kobiet, stąd na scenie aż siedem młodych aktorek i tylko dwóch panów (w roli strażnika i Romea). Osadzone opowiadają swoje historie, z których wynika, że każda – jak to w więzieniu – „siedzi za niewinność". Scenariusz to dzieło Przemysława Pilarskiego, jednego z najciekawszych dramaturgów młodego pokolenia, reżyseruje zaś Jerzy Jan Połoński, znany z upodobania do teatru muzycznego. Przedstawienie ubarwiają więc przeboje takich zespołów i wykonawców jak Maanam, Kult, Mery Spolsky, Dr Misio czy Maria Peszek. Wszystko spięte dramaturgicznie, ale młodzi wykonawcy grają bez spięcia, szczęśliwi, że akcja nie toczy się za prawdziwymi kratami.

Marek Książek

Przemysław Pilarski, „Niewinność", reżyseria Jerzy Jan Połoński, Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie (Scena u Sewruka), premiera 7 stycznia 2024

Fredro na wyprzedaży

Spektakl wystawiony przez Teatr Narodowy na zakończenie Roku Fredry tchnie starzyzną. Scenariusz przypomina montaże szkolne – pomysł wytoczenia Fredrze sprawy przed sądem historii to koncept drugiej świeżości i chyba nawet scenarzyści tak sądzą, bo w połowie widowiska o procesie zapominają. Zdarzają się i tu chwile radosne, jak przezabawny dialog Klary i Anieli w sile wieku, czyli Anny Seniuk i Ewy Wiśniewskiej, ale nie ratuje to widzów przed wrażeniem udziału w wyprzedaży zużytych materiałów. Kilka minut świetnie zmontowanych fragmentów telewizyjnych i filmowych zapisów spektakli fredrowskich też wiosny nie czyni. Przeciwnie, nasuwa niedobre dla sceny narodowej pytanie: czyżby nie było tu obsady do porządnie skrojonej inscenizacji którejś z czołowych komedii Fredry?

Tomasz Miłkowski

„Fredro. Rok jubileuszowy", scenariusz Jan Englert, Tomasz Kubikowski, Wojciech Majcherek, reżyseria Jan Englert, Teatr Narodowy, premiera 1 grudnia 2023

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl ada987d974

JOLKA

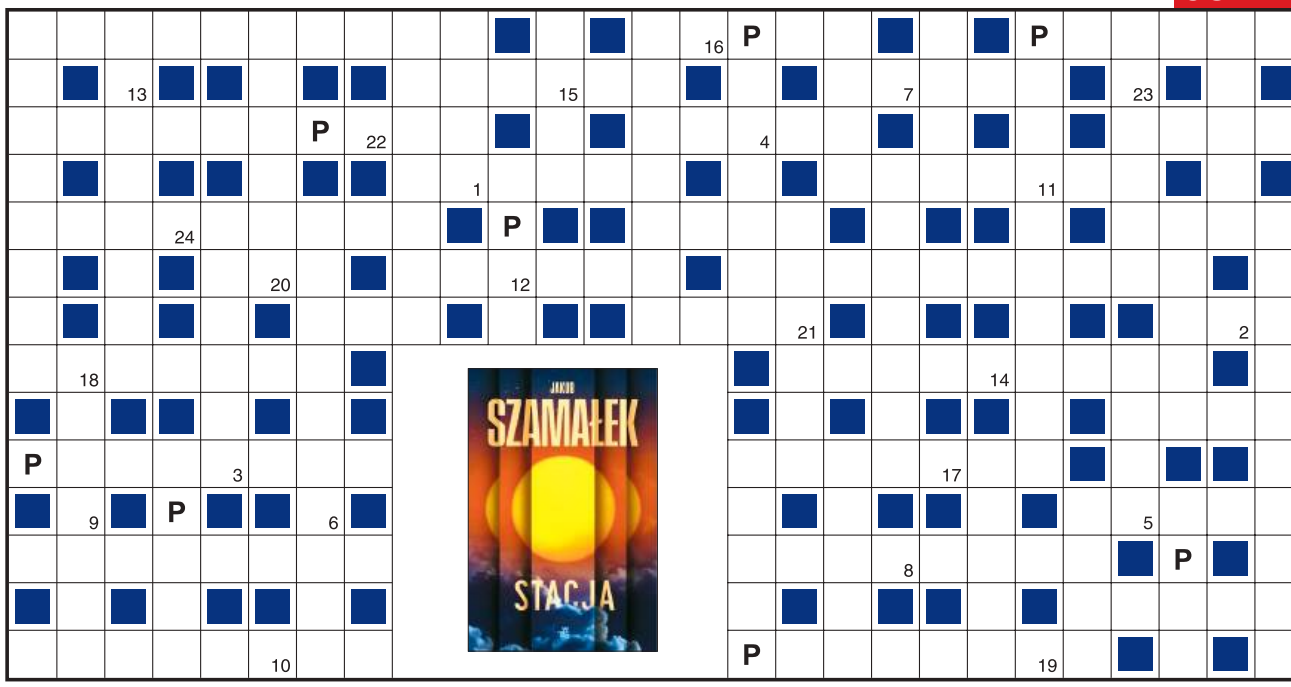

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- rytualne obmycie z łaciny
- piołunówka
- przymierze, sojusz
- kamień w pierścieniu biskupa
- jednostka natężenia prądu
- tropikalny owoc krojony w krążki
- dzwoniąca pracownica sondażowni
- wezwanie, odezwa
- niewiking w „Trzynastym wojowniku”
- maestria, kunszt
- wejście na wyższy szczebel
- port u ujścia Avonu i hotel w Warszawie
- ulica nadbrzeżna lub paryska
- czujnik, wykrywacz
- Mleczna na nocnym niebie
- członek wspólnoty religijnej w Libanie, Syrii
- „herbaciany” tytuł arystokratyczny
- namiastka, surogat
- nietolerancyjna, ślepa wiara
- widok do naklejenia na ścianę
- imię stworzone przez Mickiewicza
- wielbią go tłumy
- urządzenie do wylęgu piskląt
- osoba niepożądana lub włamywacz
- krawędź jak oszustwo
- oberżystka
- ekonomiczna lub biznes w samolocie
- bawić się cudzym – nabijać się
- kucharz na morzu
- w rękach Chaplina lub bakteria
- potocznie o więzieniu, areszcie
- głową go nie przebijesz
- jej objaw to uporczywa zgaga
- przedsiębiorca wydobywający ropę
- stroni od podręczników
- podwalina, twarda podstawa
- program informacyjny w TVP 2
- można nim objąć imprezę
- wdzierająca się wielka woda
- duże sito z większymi otworami
- pracuje w kapeluszu z siatką
- wystrzeliwana do sygnalizacji, oświetlania celu
- tonącego, sytuacji, zabytków
- pewność siebie, śmiałość
- twarzy lub w Tatrach Wysokich
- bystrzak ma łeb jak…
- umami – piąty
- lista, wykaz
- Sędzia z nim na czele i jakoś to będzie!
- wprawi szybę
- licznik wskazujący, ile za kurs
- wyczucie i subtelność w zachowaniu
- przybrzeżna roślina aromatyczna
- tam poseł to kongresmen
- horror Skolimowskiego z 1978 r.
- tajemniczy stwór z gór
- żartowniś, kawalarz
- żelastwo oddawane do skupu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1154”. Do rozlosowania książki „Stacja” ufundowane przez Grupę Wydawniczą Foksal. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 lutego 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1151” z nr. 2: *Sława jest cieniem odwagi.*
Nagrody otrzymują: Elżbieta Bącalska z Maszewa, Jan Bucior z Zagródek, Jerzy Ćwięk z Krakowa, Barbara Wanecka z Bielan Wrocławskich.

eprasa.pl ada987d974

Domknięcie

Minister Radosław Sikorski szybko i sprawnie, a przede wszystkim po cichutku, mebluje sobie MSZ, tak aby stało się użytecznym narzędziem. Idzie mu łatwo, bo rozumie ów resort i mentalność jego pracowników. Zna też różne triki – ma siedmiu wiceministrów! Tym samym pobił ministerialny rekord.

Dwóch sekretarzy stanu ma z partyjnego nadania, więc jego entuzjazmu nie budzą. Władysław Teofil Bartoszewski (Trzecia Droga) spełnił swoje marzenie i jest ważną osobą w polskiej dyplomacji. Ma za sobą nazwisko i cień ojca i będzie próbował prowadzić własną politykę, zarówno co do posad (mówił, że będzie przegląd ambasadorów), jak i w sferze symboli, o czym świadczy złożenie kwiatów na grobie Aleksandra Ładosia, symbolu polityki historycznej poprzedniej ekipy. Andrzej Szejna (Nowa Lewica) również lubi być w mediach, na razie dał o sobie znać, gdy się cieszył, że niemieccy żołnierze będą w Polsce.

Sikorski spacyfikował ich dość łatwo – obdarzył biurokratycznymi obowiązkami i dał nadzór nad Afryką i Bliskim Wschodem (Szejna) oraz Azją (Bartoszewski).

A pięciu podsekretarzy? Nie licząc Marka Prawdy, wszyscy to ludzie Sikorskiego. Ale to Prawda jest wśród nich numerem 1, już mówią, że zostanie ministrem, gdy Sikorski pójdzie na ważne stanowisko w NATO lub w UE.

O Robercie Kupieckim już pisaliśmy, przetrwał w odległym pokoiku czasy PiS, to skandal, że pisowskie MSZ nie chciało korzystać z jego wiedzy. A Henryka Mościcka-Dendys? Dziwna sprawa, ale wszyscy w MSZ mówią o niej dobrze. Zna się na sprawach europejskich. Po powrocie z placówki w Danii, za rządów Zbigniewa Raua, objęła strategiczne Biuro Inwestycji, koordynujące choćby dobiegające końca budowy ambasad w Berlinie i Mińsku.

Ech! Wreszcie Sikorski w Sejmie nie będzie musiał kłamać, że za chwilę wybuduje ambasadę w Berlinie! A poza tym, gdyby nie to, że Mościcka-Dendys dostała w nadzór strategiczne dzisiaj sprawy konsularne, typowalibyśmy ją na stanowisko ambasadora w Niemczech.

Kolejni podsekretarze to Jakub Wiśniewski (zwany „małym Wiśniewskim" w odróżnieniu od nowego szefa służby zagranicznej), człowiek do specjalnych poruczeń, i Anna Radwan-Röhrenschef, do niedawna główna macherka Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana i dyrektorka Instytutu Bronisława Komorowskiego.

Do grona ważnych osób dorzućmy Rafała Wiśniewskiego (pisaliśmy o nim) i Magdalenę Bogdziewicz. O! To ciekawy awans. Pani Bogdziewicz została dość niespodziewanie dyrektorką najważniejszej dziś w MSZ komórki – Biura ds. Przewodnictwa Polski w Radzie Unii Europejskiej. Będzie szykowała prezydencję, która przypada nam w pierwszej połowie 2025 r. Zdziwienie jej dyrektorowaniem bierze się stąd, że miała z PiS niestandardowo dobre układy. Była szefową gabinetu dyrektora generalnego Andrzeja Jasionowskiego, potem wysłano ją do Singapuru. Jak więc widać, czasami kontakty z PiS brudzą (biedny Witold Sobków), czasami – nie.

Bum! Centrala umeblowana. Ci, co przeżyli, będą grzeczni. Pora na placówki. Tu też będzie selektywnie i na spokojnie. Chyba że ojczyzna (czytaj: Donald Tusk) zażąda igrzysk.

Attaché

Próba orkiestry dętej z dzielnicy Bwaise w Kampali. Program Brass for Africa daje dzieciom i młodym ludziom z biedniejszych środowisk Ugandy, Rwandy i Liberii możliwość rozwoju poprzez muzykę. 23 stycznia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ada987d974

PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Już kiedyś podniosły się głosy odzierające Kaczyńskiego z nimbu stratega. Nigdy nim nie był, a jeśli uchodził za liczącego się gracza, to wyłącznie na tle swojej ferajny. Jest raczej dzielnicowym cwaniakiem, odważnym w grupie. (...) Aliści staruszek, mający naturę zadymiarza, uwielbia sytuacje, gdy się dymi wokół niego. Marznie pod murami więzień, nieczysto śpiewa pieśni kościelne, straszy lwim pazurem, od którego groźniejszy ma jego stary kot. Nie uznaje półśrodków, bo polityka jest dlań nie sztuką dogadywania się z innymi, ale szukaniem sposobów na anihilację przeciwnika.

WO

JOANNA WICHA,
POSŁANKA LEWICY, PIELĘGNIARKA

Na początku swojej kadencji pojechałam na 25-lecie powiatu otwockiego. Był tam prezydent Otwocka i mnóstwo samorządowców. Bałam się tego spotkania. Mówiłam z głowy, dostałam duże brawa. Potem słuchający podchodzili do mnie i zapewniali, że to było świetne, ludzkie, naturalne. Ludzie nie oczekują od nas aż takiego poziomu erudycji, jaki sobie jako politycy wyobrażamy. Przechodząc ze szpitala do polityki, zmieniłam zawód najwyższego zaufania społecznego na zawód najniższego zaufania społecznego. Ale trzeba to zmienić. Nie musi tak być, że politykom się nie ufa.

Twój STYL

ANDRZEJ PIASECZNY,
MUZYK

Jaki zapach kojarzy się panu z domem?

– Świeżego chleba. Sam go piekę, na zakwasie. Ten zapach unoszący się w domu przypomina mi powieść „Kamień na kamieniu" Wiesława Myśliwskiego. Pamiętam, że pierwszy raz czytałem ją w samolocie i popłakałem się przy fragmencie, gdy ojciec bohatera wkłada za krokiew na strychu kromkę pierwszego chleba upieczonego po żniwach. Ten obraz działa mi na wyobraźnię. Poczucie ciągłości, bezpieczeństwo i chleb – to właśnie dom.

PANI

SONIA BOHOSIEWICZ,
AKTORKA

Uważam, że sfera seksualna to ogromnie ważny element w relacji. Na pewno zmieniło się moje myślenie o seksie. Wiem, czego chcę, wiem, co jest dla mnie erotyczne, seksualne, nie mam wstydu i oporu, żeby o tym rozmawiać. Dla mnie seks zawsze musi się łączyć z emocjonalnością, nie może być wyłącznie aktem fizycznym. Nie umiem inaczej. Gdy jest się w bliskości z drugą osobą, doznania są na zupełnie innym poziomie. Seks to nie jest wyprawa po Świętego Graala, która zawsze musi się kończyć wielkim fajerwerkiem. To spotkanie dwojga ludzi. Po coś zupełnie innego. Po bliskość.

FOT. KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2)

eprasa.pl ada987d974

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

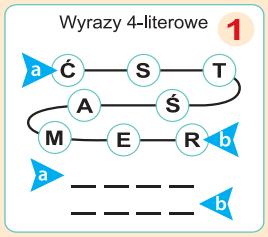

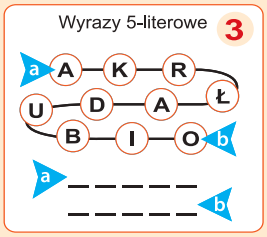

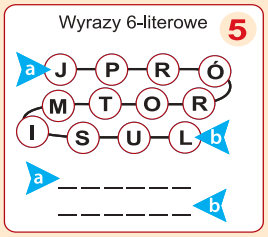

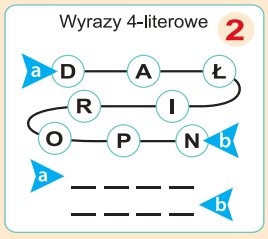

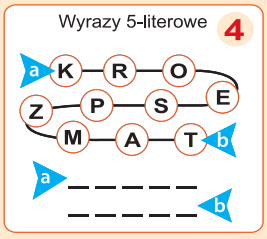

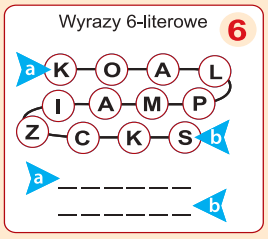

ROZWIĄZANIA: STER, MAŚĆ, DRON, PIŁA, RADIO, BUŁKA, KOSZT, AMPER, PROMIL, USTRÓJ, KOMIKS, CZAPLA

Aby język giętki…

OLGA LIPIŃSKA
O CENZURZE KOŚCIELNEJ W PRL
Dwa razy zdjęto mi przedstawienia po interwencji Kościoła. Musiałam zmienić tekst, a nawet dekoracje.

TOMASZ LEPPER
O ELEMENTARNEJ SPRAWIEDLIWOŚCI
Chciałbym, żeby panowie Kamiński i Wąsik odsiedzieli swoje.

PROKURATOR EWA WRZOSEK
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE
Wielu osobom zniszczył życie. Musi być ukarany, po to żeby już nikt nigdy więcej nie poszedł tą drogą.

KINGA DĘBSKA O ODWADZE
Odwaga to sine qua non bycia reżyserem. Na planie filmowym nie obowiązują zasady demokracji.

MACIEJ STUHR O EUFORII
We mnie euforię wywołuje widok roześmianej widowni, która zajarzyła mój żart.

DARIA ZAWIAŁOW
O MOCY WSPÓLNEGO ŚMIECHU
Dopiero przy boku miłości mojego życia zobaczyłam, jak to jest móc się śmiać.

DOROTA SUMIŃSKA O STONOGACH
Obserwuję ogromną kolonię, która gnieździ się w kompostowniku w moim ogrodzie. Codziennie je odwiedzam i przyglądam się.

MIROSŁAW BAKA O WSTYDZIE
Jestem dość wstydliwym człowiekiem i wybrałem zawód, by mój wstyd, moją nieśmiałość jakoś pokonać, obejść i ukryć.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl ada987d974

Ewa i Adam

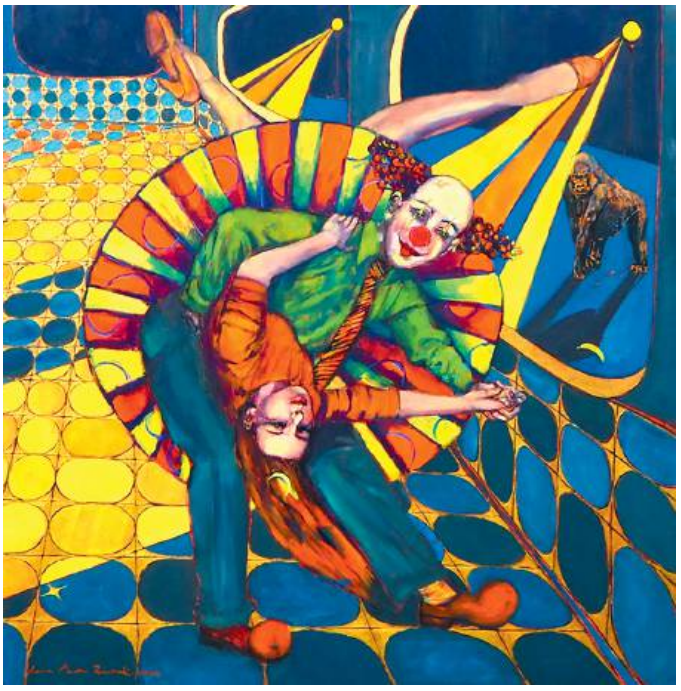

Noc

Uczta

Galeria Antresola
Chorzów, ul. Sienkiewicza 3

do 4 lutego

Anna Maria Rusinek ukończyła Państwowe Liceum Plastyczne w Katowicach oraz Akademię Pedagogiczną na Wydziale Malarstwa Instytutu Sztuki w Krakowie, pod kierunkiem prof. Stanisława Sobolewskiego. Tworzy zarówno drobne formy malarskie, jak i duże płaszczyzny figuralne. Obecnie zajmuje się aktem i portretem, a szczególnie bliski jest jej styl art déco. Charakterystyczne dla Anny Marii Rusinek są powroty do przeszłości, nie tylko w sferze idei czy formalnej. Jej sztuka to także powrót do coraz rzadszej dziś rzetelnej pracy technologicznej.

Uczta

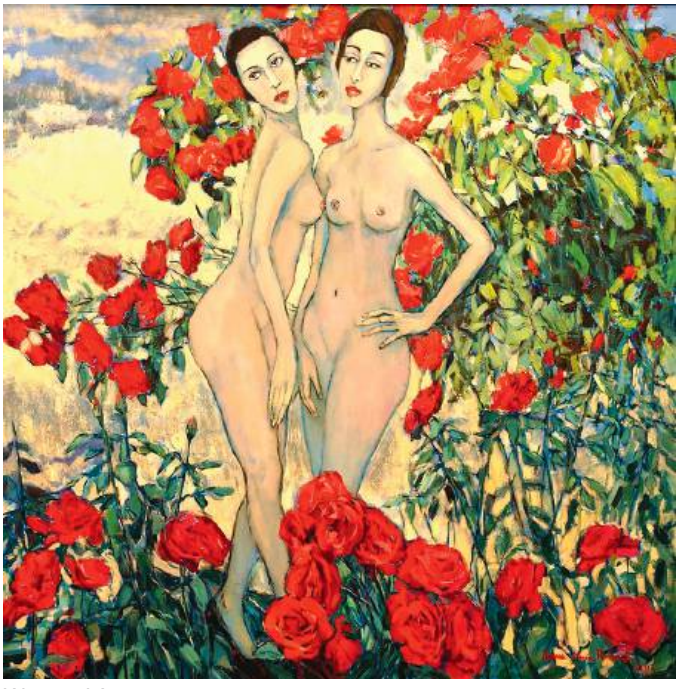

W ogrodzie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ada987d974

KORONACJA

TEKST **MAREK MODZELEWSKI** | ADAPTACJA TEKSTU I REŻYSERIA **IZABELA KUNA** | SCENOGRAFIA **JAKUB ZWOLAK**
RUCH SCENICZNY **ANNA HOP** | KOSTIUMY I CHARAKTERYZACJA **MONIKA KALETA** | REŻYSERIA ŚWIATŁA **JACQUELINE SOBISZEWSKI** | MUZYKA **MATEUSZ DĘBSKI**
ASYSTENTKI **ANNA JAROSIK, MACIEJ ŁĄCZYŃSKI** | WYSTĘPUJĄ **JULIA BUKAŁA** | **JAKUB DMOCHOWSKI** | **JULIA FLISIŃSKA** | **LUCYNA FRĄCZEK** | **MARIA KŁUSEK**
ALEKSANDER ŁYŚ | **ADAM STASIAK** | **JESSICA WALECKA** | **KAROLINA ZAWISTOWSKA**

PREMIERA 9 LUTEGO 2024

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM | Miodowa 22/24
kasa czynna stacjonarnie: wt. do pt. w godz. 15:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 15:00 – 17:00 lub do rozpoczęcia spektaklu
telefonicznie: wt. do pt. w godz. 11:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 13:00 – 17:00 pod numerem telefonu 662 155 960
e-mail: kasa@e-at.edu.pl | tel. 22 635 99 39 lub 662 155 960 | tcn.at.edu.pl | kicket.com

Spektakl dyplomowy studentów IV roku Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Warszawie. Kierunek aktorstwo, specjalność aktorstwo dramatyczne

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni
chilli zet
Przegląd

Partnerzy Teatru
kicket

POCOŚ Marta Łuchowska

STODOLA more than live music

KAZIK
& KWARTET PROFORMA
9 LUTEGO 2024

KAZIK
10 LUTEGO 2024

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

eprasa.pl ada987d974